

# RAPORT O KULTURZE

Postęp Europa

## Europa czyta – literatura w Europie

e r o a  
u o a

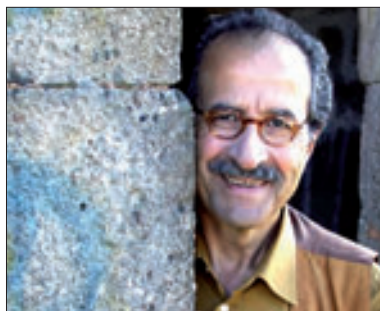
RAPORT O KULTURZE  
POSTĘP EUROPA

# RAPORT O KULTURZE POSTĘP EUROPA



## Od wyznania miłości do prostej drogi ku sławie

Dla jednego jest to najbardziej pożądana rzecz, dla drugiego trampolina do zawodowego sukcesu: każdy z autorów ma całkiem osobisty stosunek do książki. Czy może ona wzmocnić tożsamość europejską? Jaką rolę odgrywa literatura w Europie?



**Umberto Eco, Rafik Schami, Ulrike Draesner, Tim Parks, Andrea Grill** Pięciu spośród 33 autorów z 18 krajów, którzy w tym wydaniu „Raportu o Kulturze” zajmują się literaturą w Europie i europejskim rynkiem książki. Piszą o miłości do książki, badają zachowania czytelnicze w Europie, dyskutują o przyszłości słowa drukowanego i starają się odpowiedzieć na pytanie, czy istnieje literatura europejska. Chcą ustalić, czy w ostatnich latach da się zauważyć postęp w europejskich stosunkach kulturalnych.

Wstęp

Wyborna Europa *Ingrid Hamm*

4

Wielbłądy Europy *Sebastian Körber*

5

---

## 1. EUROPA CZYTA

---

*Jakie więzy tworzy książka?*

Wyznanie miłości *Umberto Eco*

10

Poza politbiurem *Adam Thorpe*

18

Radość i lęk przed upadkiem *Rüdiger Wischenbart*

26

Trud i radość czytania *Angus Phillips*

34

Dlaczego mimo wszystko zajmują się przekładami *Holger Fock*

42

„Być albo nie być tłumaczonym“ *Gabriella Gönczy*

50

Bariery na łączach <i>Steve Austen</i>	56
Z niszy w światła rampy <i>Eleftherios Ikonomou</i>	60
Piękno i jego cena <i>Hubert Winkels</i>	64
Usieciowione przestrzenie <i>Sigrid Bousset</i>	72
Pisanie na obczyźnie <i>Carmine Chiellino</i>	76
Uczyć się od Szwajcarów <i>Beat Mazenauer i Francesco Biamonte</i>	82
Językowe mocarstwo <i>Emma House</i>	86
Od czytania do komunikacji <i>Tanya Andrews i Patrick Hart</i>	89
Małe i wielkie narody tłumaczy <i>Josep Bargalló</i>	92
Opóźniona duchowa zmiana systemu <i>László L. Simon</i>	96
Długi cień Sokratesa <i>Stefano Zangrando</i>	100

---

## 2. POSTĘP EUROPA?

---

### *Jak pisarze widzą rolę kultury w Europie?*

Pośrednicy między kulturami <i>Rafik Schami</i>	110
Stara, ale niekoniecznie mądra <i>Ulrike Draesner</i>	118
Prosta droga do sławy <i>Tim Parks</i>	126
Nie wierzę w Europę, wierzę w kulturę <i>Sigitas Parulskis</i>	134
Fermentujący brzuch Europy <i>Antonio Moresco</i>	140
Taniec na linie <i>Alban LeFranc</i>	148
Użyteczny zestaw <i>Dubravka Ugrešić</i>	154
Co najmniej jak koledzy <i>Andrea Grill</i>	164
Anty-Europa <i>Slavenka Drakulić</i>	170
Kultura lęku <i>Beqë Cufaj</i>	177
Między biegunami <i>Glenn Patterson</i>	186
Duchowe osły obciążonych <i>Eeva Park</i>	194
Gdzie morze się kończy a ląd zaczyna <i>Isabel Capeloa Gil</i>	199
Tak blisko, a przecież tak daleko <i>Immanuel Mifsud</i>	203



## Wyborna Europa



Ingrid Hamm, dyrektor zarządzająca Fundacji Roberta Boscha.

Czy znacie Eevę Park, popularną pisarkę estońską? Albo Sigitasa Parulskisa, *enfant terrible* literatury litewskiej? Także Slavenka Drakulić, jedna z najpopularniejszych chorwackich pisarek, której powieści i inne prace przetłumaczono na wiele języków, znacznej części europejskiej publiczności jest zapewne nieznana. Nawet sława brytyjskiego autora bestsellerów, Tima Parksa, wyraźnie niknie poza Wyspami. Cała czwórka wymienionych pisarzy należy do 33 autorów z 18 krajów, którzy wzięli udział w niniejszym trzecim wydaniu *Raportu o Kulturze: Postępek Europy*.

Czy literatura europejska może przyczyniać się do pogłębienia wiedzy o sąsiadach i budować mosty między ludźmi? Czy mimo rozdrobnienia europejskiego rynku książki jest w stanie wspierać międzykulturowe porozumienie lub nawet dopomóc kontynentowi w uzyskaniu tak często brakującej tożsamości? Są to dwa z kluczowych pytań niniejszej edycji *Raportu o Kulturze*. Przeszkody są znaczne: większość przekładów na inne języki europejskie to przekłady z języka angielskiego. Poza nielicznymi wyjątkami na Zachodzie jak wcześniej, tak i teraz autorzy z Europy Środkowej i Wschodniej są niemal nieznani. Próbowanego znaleźć w greckiej księgarni powieść z Estonii spotka zawód. Nie ma literackich tłumaczy z języka, powiedzmy, portugalskiego na grecki i odwrotnie. A jeśli taki się znajdzie, będzie miał dochody poniżej granicy ubóstwa. „Dlatego mimo wszystko zajmuję się przekładami”, zabiera głos w omawianej kwestii przedstawiciel tej ciężko doświadczonej profesji.

Także literatura europejska, która jest faktycznie przekładana, niekoniecznie musi znajdować wzajemne zrozumienie, ale „z powodu konieczności osiągnięcia dobrych wyników sprzedaży” wzmacnia stare klisze: „skandynawska melancholia, polska trauma, francuski seks”, stwierdza Adam Thorpe. Ubolewa on, że minęły czasy, gdy uczyliśmy się norweskiego tylko po to, by czytać Ibsena. Istotnie, ochota do czytania w wielu krajach europejskich raczej słabnie. Jeśli jeszcze przed ośmiu laty co trzeci Niemiec regularnie sięgał

po książkę, to dziś czyni tak jedynie co czwarty. Badania brytyjskie wykazały, że około jedna czwarta wszystkich Brytyjczyków w ogóle nie czyta książek, a kolejne 7% czyta tylko podczas urlopu.

Jest to wszakże tylko jedna strona medalu. Są też pozytywne zjawiska. Ciągłe nowe festiwale literackie, miejsca na pobyty rezydencjalne autorów i domy literatury zmieniają literackie życie Europy. Narodowe instytuty kulturalne wyprawiają literatów na autorskie tournée. W wielu krajach europejskich istnieją stypendia dla tłumaczy i wypracowuje się główne kierunki przekładów upowszechniające literaturę danego kraju za granicą. Wspierana przez Fundację Roberta Boscha sieć HALMA (po grecku „skok”) łączy ośrodki literackie w Europie, organizuje spotkania międzykulturowe i pozwala aktorom życia literackiego – autorom, tłumaczom, działaczom – doświadczyć różności różnych kultur.

Wszystkie te wysiłki służą przekraczaniu granic językowych. W obliczu powstających nowych mediów chodzi przede wszystkim o zachęcanie młodych pokoleń w Europie do czytania. Rzeczą drugorzędną jest, czy będą to książki konwencjonalne, czy e-booki.

Wszystkim czytelnikom tego *Raportu o Kulturze* życzę inspirującej lektury i zainteresowania się znanymi i nieznanymi literatami. Dziękuję nie tylko autorom odzwierciedlającym różnorodność literatury w Europie, ale także tłumaczom, których często ukryte dokonania zasługują na wyrazy najwyższego uznania.

## Wielbłądy Europy



Sebastian Körber,  
zastępca sekretarza  
generalnego Instytutu  
Stosunków z  
Zagranicą w Stutt-  
garcie

**K**to pisze, ten przetrwa, mówi stare porzekadło. Umberto Eco wyraża swoją miłość do literatury „w nieco bardziej wyrafinowany sposób i nazywa książkę „ubezpieczeniem na życie, małą antycypacją nieśmiertelności”. Surowo wylicza wrogów książek – od robaków i pleśni po cenzorów oraz lekceważących biblioteki publiczne – i nie pozwala sobie odebrać radości z czytania. Dla tego grand seigneurza współczesnej literatury europejskiej czytanie oznacza doświadczenie zmysłowe, literatura zaś jest namiętnym dialogiem między autorem a czytelnikiem.

Trzeci tom *Raportu o Kulturze: Postęp Europa* pyta o rolę literatury i rynku książki w Europie, a także o to, jak pisarze rozumieją rolę kultury w Europie, jak definiują kulturę europejską i jaki postęp lub regres można zaobserwować w europejskich stosunkach kulturalnych. Odpowiedzi są skrajnie zróżnicowane. Tacy fachowcy, jak profesor Oksfordu Angus Philips, analizują europejskie nawyki czytelnicze i stawiają pytanie, czy Google oglupia. Czy ktoś, kto przywykł do wysyłania wiadomości na Twittera, która nie może przekraczać 140 znaków, zdołałby jeszcze i chciał czytać długie teksty w rodzaju *Wojny i pokoju* Tołstoja? Rüdiger Wischenbart nie lęka się wcale cyfryzacji i myślenia w trybie *staccato*, widząc w nich nie tyle zmierzch kultury pisanej, ile raczej szansę na powstanie nowych grup docelowych i nowych możliwości rozpowszechniania.

A pisarze? Także ich reakcje są bardzo różne. Rafik Schami, który uważa się za pośrednika między światami – dorastał w Damaszku wśród Palestyńczyków, Żydów, Ormian, Kurdów, Czerkiesów, Afgańczyków i Libańczyków, a teraz z sukcesem publikuje swoje książki po niemiecku – właśnie w roli pośrednika widzi wielką szansę dla Europy. Tim Parks natomiast, którego dzieła ukazują się po angielsku w milionowych nakładach, uważa za naiwne wyobrażenie, że pisarze mogliby wspierać dialog kultur. Wyklucza, by temat Europy mógł inspirować do pisania,

i odrzuca ideę wspierania literatury na scenie europejskiej. Myśl, że UE decydowałaby o tym, którego pisarza wspierać, a który musi się przebijać sam, uważa za więcej niż niepokojącą.

Nie zapominajmy o tłumaczach: bardzo chwaleni i źle opłacani, budują niestrudzenie mosty między kulturami i rynkami, oddzielonymi od siebie także w Europie. W tym tomie stanowią główny element, czyniąc zrozumiałymi głosy z Malty, Łotwy czy Portugalii, relacjonując własne pobudki i dbając o ukazanie się tego *Raportu o Kulturze* w pięciu wersjach językowych. Nawet jeśli, by użyć słów Rafika Schamiego, wymaga to cierpliwości wielbłąda, odwagi lwicy i głębokiego oddechu wieloryba.

*Raportu o Kulturze: Postęp Europa* nie udało się zrealizować bez partnerów. Dlatego chciałbym za wspaniałą współpracę bardzo serdecznie podziękować Fundacji Roberta Boscha, British Council, Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, Szwajcarskiej Fundacji Kultury Pro Helvetia i portugalskiej Fundacji Calouste Gulbenkiana. Cieszę się, że ten przykład europejskiej współpracy już się jakoś ustabilizował i będzie się rozwijał w przyszłości.

# EUROPA CZYTA

Mamy do dyspozycji w formie przekładów zaledwie niewielki odsetek produkcji książek krajów z nami sąsiadujących. „Czytamy jedna po drugiej książki ze Stanów Zjednoczonych a w dalszej kolejności nieliczne książki rodzime”, skarży się polski dziennikarz Adam Krzemiński. Czy można w ogóle mówić o literaturze europejskiej, jeśli z powodu braku przekładów pisarze w Europie prawie wcale nie są czytani w skali kontynentu?

Jakie znaczenie ma literatura dla tożsamości Europy? Czy nie obarczamy jej zbyt dużym ciężarem, gdy traktujemy ją jak „jucznego osła” kulturalnej różnorodności i dialogu międzykulturowego.

Jakie wiezy tworzy



książka ?

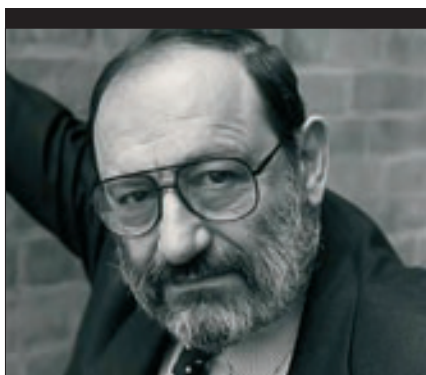






Wyznanie miłości Książka jest niezastąpiona. Zapewne można by także inaczej przekazać to, co w niej „tkwi”, ale każdy prawdziwy czytelnik wie, że dla niego jego ukochana książka coś znaczy tylko w tej formie, w jakiej stoi u niego na regale. Uwagi miłośnika książek.

*Umberto Eco*



Książki istniały jeszcze przed wynalezieniem druku, chociaż zrazu miały formę zwoju i dopiero stopniowo przybrały znaną nam dziś postać. Książka, niezależnie od formy, pozwoliła pismu się spersonalizować: zachowuje część pamięci zbiorowej, która jednak została dobrana z uwzględnieniem osobistego kąta widzenia. Gdy mamy przed sobą obeliski, stele, tablice czy nagrobki, usiłujemy je odcyfrować; musimy więc znać użyty alfabet i wiedzieć, jakie istotne informacje powinny tam być przekazane – tutaj leży pogrzebany ten i ten, w tym roku zebrano tyle a tyle zboża, ten a ten kraj został podbity przez takiego a takiego króla. Nie zadajemy sobie pytania, kto mógł to wyrycić czy wyrzezać. Gdy jednak mamy przed sobą książkę, szuka-

my osoby, indywidualnego oglądu rzeczy. Nie tylko próbujemy go odcyfrować, lecz także staramy się zinterpretować ideę, pewien zamysł. A szukając zamysłu, analizujemy tekst, który można odczytać na wiele sposobów.

Sposób czytania staje się dialogiem, ale dialogiem – i to jest właśnie paradoks książki – z kimś, kto jest nieobecny, kto nie żyje od stuleci i jest obecny tylko jako zapis. Istnieje sposób interpretowania książek zwany hermeneutyką, a gdzie jest hermeneutyka, tam jest także kult Księgi. Trzy wielkie religie monoteistyczne, judaizm, chrześcijaństwo i islam, rozwinęły się jako permanentne analizowanie świętej księgi. Księga w takim stopniu stała się symbolem prawdy, której strzeże i którą objawia tylko umięjącemu ją zapytać, że aby zakończyć dyskusję, wzmocnić tezę czy zniszczyć przeciwnika, mówi się po prostu: „Tutaj tak napisano!”.

### *Antycypacja nieśmiertelności*

Naturalnie książki mogą nas skłonić do uwierzenia w wiele kłamstw, ale mają tę cnotę, że wzajemnie się wykluczają i uczą krytycznej oceny przekazywanych nam informacji. Czytanie pomaga także

nie wierzyć książkom. Analfabeta, który nie wie, gdzie inni się myślą, nie zna także własnych racji.

Książka to ubezpieczenie na życie, mała antycypacja nieśmiertelności. Ze spojrzeniem zwróconym wstecz (niestety) zamiast w przód, ale przecież nie można mieć wszystkiego naraz. Nie wiemy, czy po śmierci będziemy jeszcze pamiętać własne doświadczenia. Wiemy za to z absolutną pewnością, że my, dziś żyjący, możemy przypominać sobie doświadczenia tych, którzy żyli przed nami, i że inni, którzy przyjdą po nas, będą pamiętać nasze doświadczenia. Także ktoś niebędący Homerem może pozostać w pamięci przyszłych pokoleń jako protagonista – powiedzmy – szczęśliwie ocalony z wypadku 14 sierpnia na autostradzie z Mediolanu do Rzymu. Oczywiście byłoby to niewiele, ale więcej niż nic. Aby przetrwać w pamięci potomnych, Herostrates podpalił świątynię Artemidy w Efezie, a potomni – niestety – uczynili go sławnym przez to, że przypominali o jego głupocie.

Niektórzy twierdzą, że dziś mniej się czyta, że młodzi w ogóle już nie czytają i że wchodzimy, jak stwierdził kiedyś pewien amerykański krytyk, w epokę *decline of literacy*. Sam nie wiem... Na pewno spędza się dziś sporo czasu przed telewizorem, i są ryzykanci, którzy nie robią nic innego, tylko oglądają telewizję,

Dystrybucja książek ma wszelkie defekty demokracji, formy rządów, która – aby wszyscy mogli się wypowiedzieć – musi oddać głos także głupkom, a nawet łajdakom.

tak jak są ryzykanci, którym sprawia przyjemność wstrzykiwanie sobie w żyły zabójczych substancji; jednak prawdą jest także to, że nigdy jeszcze nie drukowano tak wiele, jak w naszej epoce, i że nigdy wcześniej nie kwitło tyle wielkich księgarń przyciągających młodzież jak dyskoteki, młodzież, która może nie kupuje wiele, ale godzinami kartkuje, przegląda, szuka informacji.

Problemem jest raczej, również w przypadku książek, nadmiar, trudność wyboru, groźba utraty zdolności do rozróżniania. To nic dziwnego, dystrybucja książek ma wszelkie defekty demokracji, formy rządów, która – aby wszyscy mogli się wypowiedzieć – musi oddać głos także głupkom, a nawet łajdakom.

Pytanie brzmi, jak się nabywa kompetencji wyboru, bo jeśli nie będziemy się tego uczyć, grozi nam, że staniemy przed książkami bezradnie jak Funes wobec własnych niekończących się spostrzeżeń: tam gdzie wszystko wydaje się warte zapamiętania, nic już nie ma wartości, i najchętniej by się o wszystkim zapomniało.

Jak się zdobywa kompetencje wyboru? Możemy na przykład zadać sobie pytanie, czy książka, którą chcemy właśnie wziąć do ręki, należy do tych, które się po przeczytaniu wyrzuca. Ktoś powie, że przecież nie można tego wiedzieć, póki się jej nie przeczyta. Gdy jednak po lekturze dwóch czy trzech książek stwierdzimy, że właściwie nie mamy ochoty ich zatrzymać, powinniśmy przemyśleć nasze kryteria wyboru. Wyrzucić książkę po przeczytaniu jej, to jak nie chcieć więcej widzieć osoby, z którą odbyło się właśnie



akt miłosny. Jeśli tak się dzieje, to widocznie chodziło tylko o potrzebę cielesną, a nie o miłość.

Powinno się jednak dążyć do wypracowania miłosnego stosunku do książek naszego życia. Tam gdzie to się udaje, chodzi o książki skłaniające do intensywnej eksploracji, dzięki której odkrywamy, że przy każdym czytaniu odsłaniają nam coś nowego. Tu rzeczywiście chodzi o związek miłosny, bo to przecież w stadium zakochania zakochani odkrywają z radością, że za każdym razem jest tak, jakby to był pierwszy raz. Gdy stwierdzamy, że za każdym razem jest tak, jakby to był drugi raz, sytuacja dojrzała do rozstania lub, w wypadku książek, do wyrzucenia. Możliwość wyrzucenia lub zachowania książki oznacza, że chodzi tu o pewien przedmiot, który można kochać nie tylko za jego treść, lecz także za formę.

Bibliofile to ludzie, którzy zbierają książki z powodu piękna ich typografii, papieru, oprawy. Perwersyjni bibliofile pozwalają się zdominować miłości do tych wizualnych i dotykowych składników, tak że nie czytają gromadzonych książek, a nawet nie rozcinają nierozciętych, by nie obniżyć ich wartości handlowej. Każda wszakże namiętność wytwarza własne formy fetyszyzmu. Jest więc normalne, że miłośnik książek chce mieć trzy różne wydania tej samej książki, a czasem odmienność wydań wpływa na sposób, w jaki podchodzimy do lektury. Mój przyjaciel, nieprzypadkowo poeta, z którym wyprawiam się od czasu do czasu na poszukiwania starych wydań włoskich poetów, zawsze powiada, że zupełnie inaczej czyta się Dantego we współczesnym

wydaniu broszurowym niż na pięknych stronicach *edizione aldina*. I wiele osób, natrafiając na pierwsze wydanie jakiegoś współczesnego klasyka, odczuwa szczególne emocje przy lekturze jego wersów w typografii, w której czytali je ich pierwsi odbiorcy. Do wspomnienia, które książka, by tak rzec, świadomie przekazuje dalej, dochodzi jeszcze wspomnienie, którym książka ta emanuje jako przedmiot fizyczny, zapach historii, którą jest zaimpregnowana. Zwykle uważa się, że bibliofilia to kosztowna namiętność. Na pewno ktoś, kto chciałby zdobyć egzemplarz pierwszej 42-linijkowej Biblii Gutenberga, musiałby dysponować kwotą co najmniej pięciu milionów dolarów. Mówię „co najmniej”, bo przed kilkoma laty sprzedano jeden z ostatnich jeszcze dostępnych egzemplarzy (inne znajdują się w publicznych bibliotekach, chronione jak skarby), i dlatego gdyby ktoś sprzedawał ją dziś, mógłby być może zażądać podwójnej kwoty. Można jednak rozwijać namiętność zbieracką, nie będąc bogatym.

### *Robaki i zażółcenia*

Być może nie wszyscy wiedzą, że niektóre wydania z XVI wieku można mieć za jedynie równowartość dwóch posiłków

Gromadzenie książek, także na małą skalę, choćby tylko w „antykwariacie współczesnym”, często jest aktem *pietas* w sensie troski ekologicznej, powinniśmy bowiem ratować nie tylko wieloryby, foki i niedźwiedzie w Abruzji, ale również książki.

w restauracji czy dwóch kartonów papierosów. Nie zawsze to wiek książki czyni ją drogą, istnieją wydania dla miłośników, które wydrukowano przed 20 laty i które kosztują majątek, ale za cenę butów Timberland można sobie pozwolić na przyjemność postawienia na regale pięknego tomu *in folio*, by dotykać jego pergaminowej oprawy, wyczuwać konsystencję papieru, a nawet śledzić upływ czasu i oddziaływanie czynników zewnętrznych na podstawie zażółceń, śladów wilgoci, efektów działania robaków wygryzających niekiedy przez setki stron długie kręte ścieżki, których formy mogą być bardzo piękne, podobne do płatków śniegu. Także egzemplarze uszkodzone lub z ubytkami mogą nam często opowiedzieć o dramatycznych wydarzeniach – wymazane nazwisko wydawcy, aby uniknąć kłopotów z cenzurą, miejsca czy całe strony ocenzurowane przez pruderyjnych czytelników lub bibliotekarzy, zbrązowiały papier, bo wydanie wydrukowano w podziemiu na tanim materiale, znaki długiego przechowywania może w piwnicach klasztornych, sygnatury, notki, podkreślenia mówiące o zmieniających się właścicielach w ciągu wieków.

Gromadzenie książek, także na małą skalę, choćby tylko w „antykwaracie współczesnym”, często jest aktem *pietas* w sensie troski ekologicznej, powinniśmy bowiem ratować nie tylko wieloryby, foki i niedźwiedzie w Abruzji, ale również książki. Przed czym mamy ratować książki? Cóż, stare przed brakiem troski, przed zgniciem w wilgotnych, nieodpowiednich piwnicach, przed wiatrem i deszczem na straganach bukinistów.

A nowsze także przed złośliwą chorobą, która zagnieżdża się w ich komórkach.

Książki się starzeją. Niektóre starzeją się ładnie, inne mniej. Na pewno zależy to od warunków, w jakich są przechowywane, ale także od materiału, z którego je wykonano. W każdym razie wiemy, że w połowie XIX wieku miał miejsce tragiczne wydarzenie. Przystano wytwarzać papier ze szmat i zaczęto robić go z drewna. Jak można sprawdzić w każdej bibliotece, papier ze szmat potrafi przetrwać stulecia. Są książki z XV wieku, które jakby dopiero wyszły z drukarni, papier jest jeszcze biały, świeży i szeleści pod palcami. Tymczasem od II połowy XIX wieku przeciętny żywot książki, jak mówią, nie przekracza 70 lat. O niektórych książkach mających już ponad 100 lat, mimo przedwczesnego żółknięcia, można jeszcze powiedzieć, że zrobione są z wartościowego i odporne go materiału. Jednak już książki naukowe i powieści z lat 50., zwłaszcza francuskie, wytrzymują o wiele mniej niż 70 lat. Ledwie je wziąć do ręki, kruszą się jak hostie. Możemy się obawiać, że wyprodukowana dziś książka paperback zdoła przetrwać 20 do 30 lat, aby zaś się o tym upewnić, wystarczy pójść do księgarni i obejrzeć te wyprodukowane przed 10 laty, by zobaczyć, jak blisko im do przedwczesnej siwizny.

To straszliwy dramat: wyprodukowane jako świadectwa, jako zbiór wspomnień, według modelu rękopisów czy budowli architektonicznych, które powinny przetrwać stulecia, nie mogą już książki wypełniać swej roli. Każdy autor piszący nie tylko dla pieniędzy, ale i z miłości do własnego dzieła, wiedział, że powierza książce wiadomość, która będzie czytelną po stuleciach. Dziś wie, że jego książka będzie żyć niewiele dłużej niż on sam. Naturalnie treść będzie powierzana nowym

edycjom, ale nowe wydania kierują się gustem swej epoki, a ten nie zawsze ma najlepszy osąd o wartości starego dzieła. Twierdząc, że gust epoki często myli się w ocenie wartości książki, trzeba także uwzględnić błędy mędrców, to znaczy błędy krytyki. Gdybyśmy w XVIII wieku posłuchali Saveria Bettinello, Dante poszedłby na przemiał.

Wprowadzane są ostrożnie procesy związane z książką przyszłości, na przykład w wielu amerykańskich wydawnictwach uniwersyteckich podjęto wydawanie dzieł na papierze bezkwasowym, który dłużej opiera się zniszczeniu powodowanemu przez czas. Niezależnie od faktu, że wyjdzie to na dobre tylko dziełom naukowym, ale raczej nie debiutom młodych poetów, co począć z milionami książek, które wyprodukowano od schyłku XIX wieku do dziś? Istnieją oczywiście środki chemiczne, którymi można impregnować książki w bibliotekach, stronę po stronie. Jest to możliwe, ale bardzo drogie.

Istnieje naturalnie możliwość zmagazynowania wszystkiego na mikrofilmach, ale wiemy, że mikrofilm nadaje się tylko dla bardzo zmotywowanego czytelnika, który zresztą powinien mieć znakomity wzrok. Nie da się wówczas szperać po starych regałach, fascynując się przypadkowymi odkryciami. Na mikrofilmie szukamy czegoś, o czym przynajmniej wiemy, że istnieje. Nowoczesna elektroniczna technika pozwala na zeskanowanie tekstów, wrzucenie ich do komputera i wydrukowanie potrzebnych stron. Nadaje się to świetnie do przeglądania roczników gazet (zważywszy na fakt, że papier gazetowy rozpada się po około 10 latach), ale na pewno nie do wydrukowania zapomnianej 800-stronicowej powieści. W każdym razie techniki te są przydatne tylko badaczom,

a nie zwykłemu zainteresowanemu czytelnikowi. Jednak miłoścy zbieracza, który chroni starą książkę od kurzu, światła, ciepła i wilgoci, od robaków, smogu i przypadkowego zniszczenia, mogłaby też przedłużyć życie tanich wydań z lat 20. Przynajmniej do czasu, aż ktoś je odkryje na nowo, ponownie oceni i doprowadzi do nowego wydania.

Ale książki umierają nie tylko same przez się. Niekiedy są niszczone. W latach 30. XX wieku dzieła uznane przez nazistów za „zwyrodniałe” palono na stosach. Na pewno był to gest symboliczny, bo nawet naziści nie chcieli zniszczyć całej książkowej spuścizny swego kraju. Ale gesty symboliczne są tym, co się liczy. Bójmy się tych, którzy niszczą książki, cenzurują je i ich zakazują: chcą zniszczyć lub ocenzurować naszą pamięć. Kto sądzi, że książki są zbyt liczne i zbyt mało kontrolowane oraz że pamięć roślinna pozostaje zagrożeniem, ten niszczy na koniec pamięć zwierzęcą, mózg i ludzkie ciało (pamięć roślinna - p. pamięć zakonserwowana w komórkach roślin, z których zrobiony został papier - przyp. red. pojęcie z nowej książki Umberto Eco *Die Kunst des Bücherliebens*). Zaczyna się zawsze od książek, a kończy na komorach gazowych.

### *Zwielokrotnienie pamięci*

Zaś na robaki polecono mi inny środek, który ma je powstrzymać, nie zabijając ich: wielki budzik z gatunku tych, które trzymały w kuchniach nasze babcie, piekielnie głośno tykający. Nocami, gdy robaki szykują się do wyjścia ze

swoich dziurek, budzik wprawia w drżenie regał, na którym stoi, i przerażone robaki pozostają w środku. Nie żeby to było rozwiązanie w pełni ekologiczne: jeśli robaki nigdy już nie będą mogły wyjść, umrą z głodu. Ale nie ma wyboru: albo one, albo my.

Istnieją jeszcze inni wrogowie książek. Mianowicie ludzie, którzy je ukrywają. Książki można ukrywać na wiele sposobów. Skoro w końcu trochę kosztują, wystarczy brak należytej sieci bibliotek publicznych, by ukryć książki przed tymi, których nie stać na ich kupowanie. Ukrywa się też książki, dopuszczając do upadku naszych wielkich historycznych bibliotek. Ukrywających książki trzeba zwalczać, bo są równie niebezpieczni jak robaki.

Często się powiada, że nowe media informacyjne zabijają książki. Już raz w przeszłości uznano, że książka zabiła starsze media informacyjne. I tak w *Fajdrosie* Platona czytamy, jak zareagował faraon Tamuz, gdy bóg Teut, czyli Hermes, przedstawił mu swój najnowszy wynalazek, a mianowicie pismo: „Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego nauczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufawszy pi-

smu, będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, z odcisków obcych, a nie z własnego wnętrza, z samego siebie” [przeł. W. Witwicki].

Dziś wiemy, że Tamuz nie miał racji. Pismo nie tylko nie uczyniło pamięci zbędną, ale ją nawet zwielokrotniło. Powstało pismo pamięci i powstała pamięć pisma. Nasza pamięć wzmacnia się dzięki przypominaniu sobie książek, a zarazem doprowadza do ich rozmowy. Książka nie jest maszyną do blokowania myśli, które magazynuje. Jest maszyną do wytwarzania interpretacji, a więc do wytwarzania nowych myśli.

Architektura, mówi Victor Hugo (który miał przed oczyma wiele wiejskiej architektury z I połowy XIX wieku), jest skazana na dewaluację, zapada się, kurczy, staje się nędzna, szklane szyby zastępują barwne kościelne witraże. A w tym czasie drukowanie książek zwiększa się, mocno rozrasta, tworzy największy gmach czasów współczesnych, mrowie inteligencji zabiera się do budowy, która niezliczonymi spiralami pnie się coraz wyżej. „To jest druga wieża Babel ludzkiego rodu”.

Myślę, że głosy tych, którzy dziś skarżą się na upadek kultury czytelniczej z powodu nowych mediów audiowizualnych i obfitości informacji elektronicznej, będą pewnego dnia brzmieć tak patetycznie, jak dziś w znacznej mierze brzmi dla nas głos Victora Hugo. Na pewno prasa straci niektóre swoje wcześniejsze funkcje. Już teraz gazety znaczą coś innego niż dawniej, to bowiem, co było ich głównym zadaniem, rozpowszechnianie najnowszych wiadomości, dziś z wyprzedzeniem 12 godzin robi telewizja. Być może niedługo nie

Budzik z gatunku tych, które trzymały w kuchniach nasze babcie, piekielnie głośno tykający, odstrasza robaki. Nocami, gdy szykują się do wyjścia ze swoich dziurek, budzik wprawia w drżenie regał, na którym stoi, i przerażone robaki pozostają w środku.

będziemy potrzebowali już drukowanych rozkładów jazdy, tak trudno czytelnym, ale będziemy mogli w kiosku z gazetami kupić małe elektroniczne urządzenie, na którym wypiszemy po prostu dwie nazwy miejscowości i natychmiast zobaczymy wszystkie połączenia prowadzące do pożądanego celu. Na monitorze komputera możemy czytać tylko krótkie teksty przez krótką chwilę. Możemy nawet czytać na nim list miłosny, jeśli będzie krótki..., bo nie zależy on od medium, ale od tego, co mówi, i w jakim stanie ducha go czytamy. Długi list miłosny musimy jednak wydrukować, aby przeczytać go w zacisznym kąciaku.

Ludzie przywykli do czytania już kilka tysięcy lat temu. Oczy czytają, a całe ciało im towarzyszy. Czytanie to także przyjęcie właściwej pozycji, co dotyczy szyi, kręgosłupa, mięśni miednicy. A forma książki, przez stulecia badana i ulepszana ergonomicznie, jest taka, jaką ten przedmiot musi mieć, aby można go było ująć w dłonie i trzymać w odpowiedniej odległości od oczu. Czytanie ma także związek z naszą fizjologią. Rytm czytania podąża za rytmem ciała, rytm ciała podąża za rytmem czytania. Czyta się nie tylko głową, czyta się całym ciałem, i dlatego możemy nad książką płakać albo się śmiać, a gdy czytamy coś strasznego, włosy stają nam dęba. Albowiem nawet jeśli wydaje się mówić tylko o ideach, to mówi zawsze także o cudzych uczuciach i o doświadczeniach innych ciał. Jeśli nie jest po prostu książką pornograficzną, to mówiąc o ciele, prowadzi nas do idei. Nie jesteśmy przy tym niewrażliwi na odczucia naszych opuszków, gdy jej do-

tykamy, a nieprzyjemne doświadczenia z okładkami czy zgoła ze stronami z plastiku pokazują nam, jak dalece czytanie to również doświadczenie dotykowe.

Bibliofila nie przeraża ani Internet, ani CD-ROM, ani e-book. W Internecie wyszukuje on dziś katalogi antykwariatów, na CD-ROM-ie zaś dzieła, których przeciętny człowiek raczej nie mógłby mieć w domu, jak 221 tomów (in folio) *Patrologia latina* Migne'a. Z kolei w e-booku może łatwo nosić ze sobą potrzebne bibliografie i katalogi, mając dzięki temu zawsze przy sobie bezcenny rejestr, zwłaszcza gdy odwiedza antykwaryczne targi książki. Poza tym bibliofil wierzy, że nawet gdyby książki zaginęły, wartość jego zbiorów się podwoi, co mówię, dziesięciokrotni.

Bibliofil wszelako wie również, że książka ma jeszcze długie życie, i staje się to dla niego jasne, gdy miłującym wzrokiem omiata swoje regały. Gdyby te wszystkie informacje, które zakumulował, od czasów Gutenberga były nagrywane na taśmie magnetycznej, to czy przetrwałyby dwieście, trzysta, czterysta, pięćset, pięćset pięćdziesiąt lat? I czy wraz z treścią przekazałyby ślady tych, którzy dotykali ich dawniej, otwierali je, opatrywali uwagami, rzucali nimi i często brudzili je palcami? Czy można by się zakochać w dyskietce, tak jak można się zakochać w solidnej białej karcie książkowej, która chrzęści i szeleści, jakby wyszła prosto

Oczy czytają, a całe ciało im towarzyszy. Czytanie to także przyjęcie właściwej pozycji, co dotyczy szyi, kręgosłupa, mięśni miednicy.

spod prasy drukarskiej? Jakże piękną i praktyczną rzeczą jest książka! Można ją wszędzie zabrać i trzymać w ręce, także w łóżku, także w łodzi, także tam, gdzie nie ma żadnych gniazdek elektrycznych, także wówczas, gdy wszystkie baterie są wyczerpane, znosi ona cierpliwie podkreślenia i ośle uszy, można ją upuścić na podłogę albo gdy nas zmorzy sen, otwartą opuścić na piersi lub na kolana, mieści się w kieszeni marynarki, można ją natychmiast aktywować, rejestruje intensywność, wytrwałość i regularność naszej lektury, przypomina nam (gdy wygląda zbyt świeżo i nie nosi śladów użytkowania), że jeszcze jej nie czytaliśmy.

Format książki wyznacza nasza anatomia. Istnieją bardzo duże książki, ale pełnią głównie funkcję dokumentacyjną lub dekoracyjną. Standardowa książka powinna być nie mniejsza niż paczka papierosów i nie większa niż tabloidowy format gazety. Jej wielkość zależy od wymiarów naszej dłoni, a te – przynajmniej jak dotąd – nie zmieniły się mimo działalności Billa Gatesa.

Pamiętam pierwsze targi książki w Turynie, na których zarezerwowano sporą przestrzeń dla książek antykwarycznych (dziś ten piękny zwyczaj chyba zanikł). Widziałem zwiedzające targi dzieci w wieku szkolnym, niektóre z nich przyklejone do witryn, gdzie odkrywały, co to jest prawdziwa książka, nie jakiś tam zeszytek z dworcowego kiosku, ale książka ze wszystkimi swymi atrybutami. Przypominały mi Borgesowskiego barbarzyńcę, który pierwszy raz ujrzał owo arcydzieło ludzkiej sztuki, jakim jest miasto. Padł na kolana przed Rawenną i został Rzymia-

ninem. Wystarczyłoby mi, by dzieci z Turynu zabrały ze sobą do domu jakieś uwznioślające uczucie, a przynajmniej dobroczynne ugryzienie przez robaka.

Ach tak, zapomniałem, że do namiętności bibliofila należą również dziurki wygryzione przez robaki. Nie wszystkie pomniejszają wartość książki. Niektóre mogą uchodzić, jeśli nie naruszają tekstu, za delikatne koronki klockowe. Przyznaję, że kocham także to. Naturalnie wobec antykwariusza, który sprzedaje mi książkę, demonstruję niezadowolenie i wstręt, aby obniżył cenę. Otwarcie jednak przyznaję, że z miłości do pięknej książki człowiek gotów jest popełnić każdą niegodziwość.

**Umberto Eco** (ur. 1932) – profesor semiotyki na uniwersytecie w Bolonii. Jego bogata twórczość sięga od *Historii piękna* do powieści *Imię róży*, dzięki której zdobył światową sławę. Powyższy tekst powstał przy okazji publikacji jego książki *Die Kunst des Bücherliebens* [*Sztuka kochania książki*], której wydanie niemieckie ukazało się w 2009 roku w monachijskim wydawnictwie Carl Hanser Verlag i jest lekturą wartą polecenia nie tylko bibliofilom.

Poza politbiurem Literatura umożliwia nam ogląd świata z innej perspektywy. Zanurzamy się w jakąś postać i dzięki temu możemy poszerzać swoją zdolność do empatii, a nawet zwiększać tolerancję. Jaką rolę odgrywa książka dla europejskiej tożsamości? Jakie więzi może stwarzać? *Adam Thorpe*



Corocznie na frankfurckich Targach Książki panuje gorączka negocjacji i zakupów, w każdej z ogromnych hal targowych rozmowy redaktorów, agentów literackich i ludzi z branży zlewają się w głośny szum – a gdzieś tam można dostrzec, wyglądającego na oszołomionego, autora. W powietrzu unosi się coś, co przyprawia uczestników targów o lekkie szaleństwo; można to nazwać „efektem frankfurckim”. Na przykład robią się wystarczająco szaleni, by myśleć, że jakieś dzieło literackie decyduje o kształtowaniu nowoczesnego społeczeństwa. Na zewnątrz hal targowych życie biegnie wszakże zwykłym torem i masy Europejczyków wolą ruchome obrazki od najbardziej wypracowanej prezentacji słowa drukowanego. Jedno spojrzenie na

odpowiednie statystyki wystarcza, by lodowaty podmuch powiał przez zaaferowane hale targowe i zdmuchnął tzw. morale z twarzy każdego poważnego pisarza. Najlepiej zignorować te statystyki. Nie sposób zaprzeczyć, że ta gorączkowa ponadnarodowa interakcja na targach książki jest w pewnej mierze iluzją. W księgarniach krajów Europy większość oferowanych książek albo pochodzi z danego kraju, albo przetłumaczono je z angielskiego – z wyraźną przewagą amerykańskiego angielskiego.

W krajach, w których właśnie angielski jest językiem macierzystym, sprawy wyglądają jeszcze gorzej; abstrahując od takich klasyków, jak Tołstoj, Mann czy Balzac, zwykle księgarnie w Wielkiej Brytanii oferują znikomą liczbę współczesnych tytułów z zagranicy. Dopiero wyjątki, jak na przykład sukces pewnej szwedzkiej powieści kryminalnej, ujawniają prawdziwą wielkość niewykorzystanego potencjału.

We Francji, gdzie mieszkam od dwudziestu lat, w kręgu moich przyjaciół wymienia się, co zupełnie zrozumiałe, jednym tchem obok powieści francuskich powieści włoskie czy hiszpańskie, jednak głównie dotyczy to znanych autorów. Większość europejskiej beletrystyki nie przekracza



nigdy granic własnego kraju. Zawarcie umowy z tłumaczem trochę kosztuje (nawet jeśli ci mało cenieni ambasadorowie są notorycznie źle opłacani), więc wydawcy muszą liczyć na to, że inwestycja opłaci się przynajmniej w dłuższym okresie. Publikacje decydujących się na ten krok (wsparte niewielkimi subwencjami) odważnych brytyjskich wydawnictw, takich jak *Serpent's Tail* czy *Dedalus*, nie są omawiane jednak w poważnych gazetach ani fachowych czasopismach, których działy literackie wydają się zajmować stale typową, wątpliwą produkcją i niezwykle rzadko otwierają rzeczywiście nowe horyzonty w Europie czy gdzie indziej. „The Times Literary Supplement” stanowi w tym kontekście chwalebny wyjątek.

### *Mało cenieni ambasadorowie*

Naturalnie przekład to zawsze kompromis, zmącone odbicie czystego blasku oryginału – znam to uczucie ze swojej niegdysiejszej walki z przekładem *Pani Bovary* Flauberta. Minęły czasy, gdy uczyliśmy się norweskiego tylko po to, by móc czytać Ibsena. Powołana ostatnio do życia nagroda literacka Unii Europejskiej dla dwunastu pisarzy z dwunastu wybranych krajów tylko wtedy będzie prawdziwie działała, gdy dzieła laureatów będą dodatkowo tłumaczone na inne europejskie języki. Skoro jednak nawet brytyjski „Guardian” nie poświęcił jej dotychczas ani linijki, wydaje się kolejną inicjatywą UE, która nie zdołała się przebić przez brak

Minęły czasy, gdy uczyliśmy się norweskiego tylko po to, by móc czytać Ibsena.

zainteresowania swoich współobywateli. Być może podejrzliwie postrzeżę się w książkach pewne scentralizowane dążenia, które nie mają nic wspólnego z aktem pisania. Pisanie to ostatecznie bardzo osobista wypowiedź we wspólnym języku, ale przecież nie wypowiedź wspólnego kontynentu. Pamiętamy o zakazach w Związku Radzieckim dotyczących niemal wszystkiego aż po literaturę jego własnych republik. To porównanie wszakże nie jest w pełni uczciwe, bo współczesna literatura europejska teoretycznie jest wolna i niecenzurowana (choć, rzecz jasna, niektórzy dowodziliby, że swoistą formę cenzury praktykują księgowi wydawnictw).

Tym niemniej zawsze powinniśmy strzec się centralizującego „politbiurowego” aspektu UE. Nigdzie nie ujawnia się on wyraźniej niż we wspólnej polityce rolnej, która dusi w zarodku wszelkie alternatywy wobec rolnictwa pełnego chemii i która doprowadziła ziemię, wodę, florę i faunę kontynentu do przerażającego stanu. Jednocześnie na polityce tej znakomicie zyskują koncerny chemiczne, jak Bayer i ICI.

To, że nigdy nie było wspólnej polityki literackiej, musi jakoś wiązać się z prawem do swobody wypowiedzi, choć nie wiem, dlaczego ten sam argument nie dotyczy obszaru rolnictwa, któremu przecież przyznaje się o wiele większe znaczenie.

Literatura rozwija się dzięki różnicom, nie podobieństwom. To jest największy dar literatury, że każdy z nas może stać się inną osobą, która częściowo zupełnie się od nas samych różni: dlatego liryka, dramat i beletrystyka to zwykle pierwsze cele ataku rządów przemocy. Literatu-



ra umożliwia nam ogląd świata z innej perspektywy, wcielanie się w inną postać i poszerzanie dzięki temu naszej zdolności do wczuwania się, a może nawet do tolerancji. Wielki modernistyczny poeta Fernando Pessoa nauczył mnie na przykład nie tylko po prostu tego, co znaczy być Portugalczykiem, ale przekazał także sens anonimowości i człowieczeństwa. Być może powieść *Os Meus Sentimentos* Dulce Marii Cardoso, która zdobyła Europejską Nagrodę Literacką, będzie oddziaływać podobnie. Skoro więc literatura europejska jest wielojęzycznym zbiorem różnic, to pojawia się kluczowe pytanie, czy wyróżnik „europejski”, tak ważny podczas mistrzostw piłki nożnej, ma działanie jednoczące, czy też jest to tylko hasło, praktyczny środek, by mnogości barwnych kulek przeszkodzić turlać się tu i tam po ziemi. Czy można to samo pytanie postawić w związku z literaturą Commonwealthu, która jest przedmiotem wielu antologii i literackich studiów krytycznych, a której dzieła wyróżnia się wieloma nagrodami? Jak można by zastosować taką definicję do literatury iberyjskiej?

### *Przypadkowo Kameruńczyk*

Najnowsza nagroda literacka Prix Cévennes to godna pochwały próba promowania integracji literackiej przez przyznawanie nagrody roku dla najlepszej powieści europejskiej. Oczywiście musi się ta powieść ukazać po francusku, i kto wie, jak bardzo ostrożna jest większość francuskich wydawców, ten niewiele napotka niespodzianek. A co z tymi wszystkimi pozaeuropejskimi pisarzami, którzy żyją w Europie, tutaj są wydawani, nawet piszą o Europie, jednak przypadkowo są Amerykanami, Kameruńczykami czy

Chińczykami? Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, można przeprowadzić ciekawe porównanie z USA. Różnice między poszczególnymi stanami USA są równie wielkie jak między narodami europejskimi (włączywszy „rozziw” między Północą a Południem czy Wschodem a Zachodem), ale amerykański pisarz pisze przede wszystkim o Ameryce, a nie na przykład o Kalifornii czy Maine – niezależnie od stopnia wpływu określonego regionu na jego dzieło.

Mój dobry, nieżyjący już, przyjaciel Frederick Busch był amerykańskim powieściopisarzem. Choć bardzo chętnie podróżował „do Europy” (do swoich korzeni) i doskonale wiedział o moim podwójnym obywatelstwie: brytyjskim i francuskim (urodziłem się w Paryżu jako dziecko Brytyjczyków a żyję we Francji), nie byłem w jego oczach powieściopisarzem „europejskim”, lecz „angielskim”.

Stany Zjednoczone Ameryki zbudowały swoją tożsamość za pomocą emocjonalnych i symbolicznych środków *patrii* – z których przybysze z różnych krajów czerpali (i nadal czerpią) poczucie przynależności do ogromnego, właśnie zdobytego kontynentu. Dla każdego amerykańskiego pisarza jest to wspólna przestrzeń rezonansu, niezależnie od tego, czy zajmują wobec swego kraju postawę krytyczną, wspierającą czy zachowującą dystans. Co osobliwe, chodzi tu o względnie młody, trochę powierzchny, a nawet dość sztuczny twór, który jednak jest niesłychanie potężny.

Jeśli Europa występuje jako pole rezonansowe dla pisarzy kontynentu, to raczej w wymiarze czegoś głębokiego i tragicznego, a nie triumfalnego. To jest

tragiczny basowy ton rezonansu długiej historii niesłychanych osiągnięć i katastrofalnych klęsk, subtelnych demokratycznych porozumień i brutalnych podbojów. Unia Europejska powstała z potrzeby zapobieżenia powtórzeniu takich błędów (manifestujących się głównie w wojnach i masakrach), a także związanych z nimi bólem, cierpieniem i wyczerpaniem; ale dla literatury o wiele bardziej interesujący jest ludzki upadek niż uniknięcie go – my, pisarze, wszyscy poruszamy się w cieniu *Oresteji* i wynajdujemy sobie coraz dalsze korzenie w filozoficznych debatach ateńskiej Agory i w głosowaniach na wzgórzu Pnyks.

Często, gdy przez moment czuję się Europejczykiem, pojawia się nie tylko uczucie przyjemnej przynależności, a nawet sympatii, lecz także dreszcz i podprogowa obawa oszustwa; duma zmieszana ze strasznym poczuciem winy. Ludzkość stojąca w obliczu katastrofalnej zmiany klimatu wskutek swej pozbawionej skrupułów chciwości żywi przekonanie, że zmiana ta ma swoje złowrogie źródła w Europie.

Współczesna polityczna (zamiast emocjonalnej) jedność UE coraz bardziej upodabnia się do jakiejś swarliwej, ciągle zawierającej kompromisy, dość nudnej wielkiej rodziny. Stosuje się biurokratyczne środki, istnieje mnóstwo przepisów i uregulowań. W zaduchu gremiów wrażliwy kwiat literatury jest skazany na więdnienie.

My, pisarze, wszyscy poruszamy się w cieniu *Oresteji* i wynajdujemy sobie coraz dalsze korzenie w filozoficznych debatach ateńskiej Agory i w głosowaniach na wzgórzu Pnyks.

Ten stan to nieszczęście, bo wspomniane wyżej różnice nadal mają równie wiele potencjału budującego, co tragicznego; jednak mimo wszelkich chwalebnych i koniecznych wysiłków ani Bruksela, ani Strasburg nigdy nie zainspirowały ani jednej świetnej linijki tekstu literackiego – nawet kpin i drwin – choć podzielam opinię Johna Keatsa: „Poetry makes everything interesting” [poezja wszystko czyni ciekawym].

Być może przełamywanie narodowych ograniczeń jest zadaniem inicjatyw regionalnych, takich jak Vilecina International Literary Festival w Słowenii, który wydaje „Vilecina Almanac” (z tekstami 25 autorów niekoniecznie z Europy Środkowej) – choć prawdopodobnie i o tym osiągnięciu „Guardian” nie wspomni.

Moja własna proza zupełnie świadomie była w ostatnim okresie „europejska”, co wynikało raczej z moich osobistych uwarunkowań i woli wstrząśnięcia brytyjską postimperialną ograniczonością. Na przykład akcja mojej piątej powieści *No Telling* (Cape, 2003), której bohaterem jest francuski uczeń, dzieje się na mrocznym paryskim przedmieściu lat 60. XX wieku i nie występuje w niej ani jedna postać z Anglii. Wykorzystałem swoje podwójne obywatelstwo, by uczynić tę książkę oknem, przez które bez kompromisów spogląda się na inną kulturę. Powieść, mimo wielu pozytywnych recenzji, sprzedawała się źle, podczas gdy jej wydanie w języku holenderskim – nieco lepiej. Mój redaktor był zdania, że mogłaby stać się bestsellerem, gdyby jej akcja toczyła się w Irlandii zamiast we Francji. Brytyjscy czytelnicy wolą uważać Francję za malowniczą i rajską –

za cel wycieczek i miejsce wytchnienia. Co ciekawe, *No Telling* do dziś nie znalazła francuskiego wydawcy.

Wydawnictwa francuskie z reguły interesują się powieściami brytyjskimi, które wzmacniają lub powtarzają przyjęty francuski obraz Wielkiej Brytanii. Dlatego tłumaczona dziś literatura Europy niekoniecznie przyczynia się do wzajemnego zrozumienia czy zmiany obrazu innego narodu, za to z powodu konieczności osiągnięcia dobrych wyników sprzedazy wzmacnia stare klisze, takie jak skandynawska melancholia, polska trauma, francuski seks. Dla przeciętnego brytyjskiego czytelnika Michel Houellebecq to *summa bonum* współczesnej beletrystyki francuskiej.

Dzięki moim niemieckim bratankom (synom mojego przyrodniego brata, którego jedno z rodziców pochodzi z Belgii) i poprzez przeżycia mojego ojca jako żołnierza podczas II wojny światowej mam powiązania z Niemcami. Moja powieść *The Rules of Perspective* (2005) rozgrywa się podczas nalotu bombowego na niemieckie miasto w 1944 roku. Akcja dzieje się wśród szukających schronienia pracowników miejskiego muzeum sztuki. Jest tam też amerykański oficer piechoty, błędzący dzień później po ruinach i znajdujący spalone ciała wszystkich, których głosy rozbrzmiewają w całej książce. Podczas jej pisania odwiedziłem Berlin. Oprawdzał mnie młody pracownik muzeum, zirytowany, że oto znowu Anglik koncentruje się na krótkich latach narodowego socjalizmu, zupełnie pomijając stulecia „normalnej” niemieckiej historii. To był ciekawy przykład, jak niebezpieczne może być wykraczanie

poza własne granice. Powiedziałem mu, że znaczenie panowania nazistów niewiele ma wspólnego z jego (krótkim) trwaniem, ale wiele z następstwami tego okresu. W moim przypadku – ze spustoszeniem w rodzinie, a także wśród polskich krewnych mojej żony, wyznających religię żydowską. Ta namiętna mowa obrończa dała mu do myślenia. Sądzę, że tego wieczoru dokonał się drobny krok na drodze stapiania się – albo przynajmniej zlutowania – kultur. W każdym razie obaj zrozumieliśmy znaczenie międzykulturowej wrażliwości.

I na koniec *Between each Breath* (2007) opisująca *explicite*, jak tak zwana „stara Europa” spotyka się z „nową Europą” byłego bloku komunistycznego; szczęśliwie żonaty angielski kompozytor w średnim wieku zakochuje się w estońskiej studentce i nie jest świadom konsekwencji. Różnice mają w tym przypadku fatalne, nawet tragiczne skutki – spowodowane częściowo przez wzajemne niezrozumienie, tkwiące pod pięknym pozorem szczerej tolerancji (jednocześnie zdradzam swój satyryczny pogląd na tłuste, zadowolone z siebie lata pod rządami Tony’ego Blaira). Ta powieść została przetłumaczona na język estoński. Estońscy czytelnicy byli wyraźnie zafascynowani myślą, że zobaczą swój kraj oczami cudzoziemca. Oni, obywatele małego i skromnego narodu, zachwycili się, że ktoś chce w ogóle o nich pisać, a ja, przeciw-

Z powodu konieczności osiągnięcia dobrych wyników sprzedazy tłumaczone książki faktycznie wzmacniają stare klisze, takie jak skandynawska melancholia, polska trauma, francuski seks.

nie, byłem zaskoczony ich skromnością, bo Estonia należy do najstarszych i najdumniejszych członkiní Europy, w której historii żywo uczestniczyła. W ten sposób nauczyłem się bardzo wiele dzięki tej powieści – mniej podczas samego pisania niż z międzykulturowych oddziaływań.

Nikt nie może zaprzeczyć, że od dawnych koszmarów być może dzieli nas tylko kruchy konsensus UE, gdy zważyć, że jej spistość opiera się chyba na samej tylko mnogości i złożoności pojedynczych wątków, zbiegających się we wspólnocie. Jednak to właśnie te stare koszmary określają nas jako Europejczyków: część naszego wspólnego dziedzictwa, naszej winy.

Europa kontroluje swoje granice, wprawdzie już nie w dotychczasowym sensie ceł i danin, ale granice nadal istnieją, jak zawsze istniały. Dla literatury granice językowe mogą się stać nieprzekraczalne. Spróbujmy wyszperać w greckiej księgarni – między książkami Amerykanina Dana Browna i Brytyjki J. K. Rowling – powieść estońską, i na odwrót. Naród określony jest nie tylko przez to, jak sam siebie pojmuje, ale i przez to, jak go postrzegają z zewnątrz i jak widzi innych. Dlatego moja propozycja dotycząca zapewnienia literaturze europejskiej istotnej roli wewnątrz Europy (nie mówiąc już o jej roli poza Europą) to oświetlanie różnic zamiast promowania podobieństw – i ukazywanie na najgłębszym poziomie, że ostatecznie wszyscy jesteśmy ludzkimi istotami o podobnych neurozach, pragnieniach i troskach. Jeśli więc współczesna polityczna i biurokratyczna jedność nie ma znaczenia dla głębszego odczuwania przez pisarzy „europejskiego bytu”, to niektóre jednoczące instytucje mogłyby więcej uczynić dla

prawdziwego wsparcia literatury europejskiej, nie czyniąc z niej zarazem ekskluzywnego klubu. Niedawno rozmawiałem z tłumaczką UE, doprowadzaną do rozpaczy bezsensowną, usypiającą drobiazgowością nieskończonych wykładów, memorandumów i doniesień, za których przekład z języka angielskiego na francuski jej płacono; gdyby tylko ułamek ogromnych sum, które stoją do dyspozycji UE, przydzielono literaturze w formie solidnych dotacji na cele wydawnicze i stypendia dla tłumaczy w akceptowalnej wysokości, zamiast ustanawiać ciągle nowe nagrody, których już teraz jest mnóstwo, to owa estońska powieść miałaby większe szanse na pojawienie się w księgarni greckiej, słowackiej, belgijskiej (czy nawet brytyjskiej), a odmienność byłaby celebrowana jako część wspólnej przygody.

**Adam Thorpe** (ur. 1956 w Paryżu) jest poetą, pisarzem i dramaturgiem. Dorastał w Indiach, Kamerunie i Anglii, a mieszka we Francji. Po studiach w Oksfordzie w 1979 roku założył teatr objazdowy i wędrował z nim po wsiach i szkołach. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień. Jego ostatnie publikacje: zbiór opowiadań *Is this the Way You Said* (2006), tom wierszy *Birds with a Broken Wing* (2007), a także powieści *The Standing Pool* (2008) i *Hodd* (2009).









Radość i lęk przed upadkiem Zadrukowane strony ustępują coraz bardziej formatom mediów cyfrowych. Mniejszym wydawnictwom z trudem przychodzi utrzymywanie się na rynku wobec konkurencji wielkich koncernów wydawniczych. Jednak przedwczesne jest wnioskowanie z tych zmian o rychłym upadku kultury pisanej. Autor jest pełen nadziei. *Rüdiger Wischenbart*



Jaką pozycję zajmuje dziś dobro kultury – książka – w naszym społeczeństwie? Na ile znaczące są prawa autorskie? Jaką rolę odgrywają wydawnictwa i handel na obecnym etapie rozwoju rynku?

Te kwestie w aktualnej debacie o trendach i zmianach w sferze kultury książki są zwykle okazją do pesymistycznych tez. Mówi się na przykład o powszechnym zagrożeniu kultury przez cyfryzację i przez erozję prawa autorskiego, o homogenizacji i trywializacji oferty wskutek potężnej konkurencji druku bestsellerów z obszaru anglojęzycznego i o dominacji kilku anglojęzycznych koncernów. Z prawdziwą radością i lękiem – w obliczu perspektywy stania się ostatnim świadkiem ginącej kultury książkowej i czytelniczej – opłakuje się od ponad dekady koniec pewnej epoki.

Te scenariusze jednak głoszone są zwykle bez oparcia o dane empiryczne. Zapewne nie sposób przeoczyć, że kultura książki i czytelnictwa stoi wobec narastających przemian. Zmiana wszakże nie musi oznaczać „końca” czy „upadku”. Dlatego podjęto niżej próbę opisanego *status quo* i wyróżniających się trendów kultury książki na podstawie empirycznych świadectw.

„A book is a non-periodical printed publication of at least 49 pages, exclusive of the cover pages, published in the country and made available to the public” [„Książką nazywa się nieperiodyczną drukowaną publikację o objętości co najmniej 49 stron, opublikowaną w danym kraju i udostępnianą czytelnikom”], brzmi standardowa definicja UNESCO z 19 listopada 1964 roku. Podobnie ujmuje to 15-tomowy *Meyers Großes Universal-Lexicon*: „wiele spiętych w całość, zadrukowanych, zapisanych lub pustych kartek oprawionych jako jeden tom”. Ten punkt widzenia obowiązuje od XIX wieku bez większych zmian. Według słownika braci Grimm: „wiele kartek tworzy książkę; spiąłem sobie książkę, do której wprowadzam wszystkie wydatki; zapisuję to dla pamięci w książce”. *Dictionnaire de la lan-*

*gue française* Littrého z 1869 roku definiuje książkę jako „assemblage d’un assez grand nombre de feuilles portant des signes destinés à être lus” [„zbiór odpowiednio dużej liczby kartek zawierający znaki przeznaczone do czytania”], a po stu latach popularny *Petit Robert*, w wydaniu z 1968 roku, mówi o książce, że to: „reunion de plusieurs cahiers de pages manuscrites ou imprimées” [„połączenie pewnej liczby składek ze stron zapisanych ręcznie lub wydrukowanych”].

Definicje książki stale eksponują zamkniętość dzieła, a także to, że wymaga ona pewnej minimalnej objętości i że ma wymiar publiczny („made available to the public”). Mówi się też o autorstwie, choć nie zawsze.

Żadnej wzmianki za to nie doczekały się: szczególne kulturalne znaczenie „książki”, jak np. formatu mediów, ani owe złożone narzędzia wprowadzone w wielu europejskich krajach w celu jej szczególnej ochrony – czy to prawne (jak prawo autorskie), czy materialne (jak sztywna cena detaliczna). Jest to tym bardziej znamienne, że przecież autorzy tych definicji – UNESCO i redaktorzy słowników – dobrze znali argumentację o specyfice książki jako formie medialnym. Ponadto wszystkie te definicje nadają się bez większych problemów do opisu książek cyfrowych (e-booków), bo nie uznają szczegółów dotychczasowego formatu książki na papierze za swoją istotną podstawę. Przeciwnie, są neutralne, jeśli chodzi o media, i otwarte na innowacje.

### *Ważny zasobnik wiedzy*

W nadchodzącej epoce cyfrowej dla książek, ciągle jeszcze najważniejszych zasobników wiedzy, globalizacja w dzisiejszym rozumieniu zaczęła się dziesięć lat temu. Na

wiosnę 1998 roku niemiecki koncern Bertelsmann ogłosił przejęcie największego w USA wydawnictwa książkowego Random House. Wizją ówczesnego, dziś od dawna emerytowanego prezesa zarządu Bertelsmanna, Thomasa Middelhoffa, było wystawienie w Pekinie opery *Turandot* w najlepszej międzynarodowej obsadzie. Nagrania muzyczne i telewizyjne miały być sprzedawane na skalę globalną przez należące do koncernu działy muzyki i telewizji, towarzyszący temu splendor i rozgłos miały zapewniać wielojęzyczne wydawnictwa koncernu, a kolorowe magazyny imperium miały o tym donosić. Wszystkim sterowano by z westfalskiego Gütersloh. Plan jednak nie wszedł w życie.

Świat wydawniczy w Niemczech, a także, choć z pewnymi wyjątkami, we Francji, opiera się ciągle jeszcze na przedsiębiorstwach średniej wielkości. Nawet gdy zaryzykujemy globalne spojrzenie, szybko stanie się jasne, że na całym świecie przemysł książkowy zdominowała Europa. W USA w minionej dekadzie o pierwsze miejsce rywalizowały Random House, głęboko zintegrowany z koncernem Bertelsmanna, i grupa Hachette należąca do francuskiego koncernu Lagardère. Zresztą oba koncerny to grupy przedsiębiorstw prowadzone przez rodziny właścicieli. Podobnie jest z firmami Mondadori, Bonnier i ostatnio Planeta, która szykuje się do połknięcia francuskiego numeru dwa, Editis. W ten sposób rośnie już teraz dominuje na międzynarodowym rynku hiszpańskojęzycznym. Na rok przed sięgnięciem Bertelsmanna za Atlantyk może jeszcze bardziej godne uwagi glo-



balne zwycięstwo odniosła niepozorna powieść *Bóg rzeczy małych* indyjskiej autorki Arundathi Roy pochodzącej z południowoindyjskiego stanu Kerala. W ciągu roku książka, zgrabna wiejska historia, weszła na listy bestsellerów wielu państw – od Niemiec po Argentynę. Za ogólnoświatowym i nade wszystko błyskawicznym sukcesem, który otworzył zupełnie nowe wymiary globalnej literatury, stały – jako organizacje i platformy działania – londyńska agencja i dobrze naliwiony mechanizm międzynarodowego handlu prawami autorskimi i jego giełd we Frankfurcie i w Londynie. Także tutaj powstała wysoce efektywna maszyneria – agencje i ich pracownicy – ale trudno byłoby z tego powodu uznawać globalną gospodarkę książkową za scentralizowaną, kierowaną przez niewielu głównych aktorów i niewiele koncernów, fabrykę służącą kulturalnemu ujednoczeniu.

Na 2008 rok wytypowaliśmy dziewięć międzynarodowych głównych rynków (USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Hiszpania, Włochy, Szwecja, Holandia oraz Chiny) i stwierdziliśmy, że tylko czterech autorów zdołało się przebić w górnej części list bestsellerów co najmniej czterech krajów (Khaled Hosseini, Stieg Larsson, Ken Follett i John Grisham).

W ciągu dwunastu miesięcy (między kwietniem 2008 roku a marcem 2009) tym samym systemem przebadaliśmy czterdziestu odnoszących największe sukcesy autorów beletrystyki i ustaliliśmy, że tylko trzynastu z nich pisze po angielsku, między innymi urodzony w Afganistanie Khaled Hosseini, Irlandka Cecelia Ahern

i laureat indyjskiej nagrody Man Booker – Aravind Adiga. Pozostałych dwudziestu siedmiu autorów pisze wyłącznie w innych głównych językach europejskich, a także w brazylijskim portugalskim (Paulo Coelho). Języki pozaeuropejskie czy też środkowo- lub wschodnioeuropejskie nie wystąpiły jako oryginalne języki bestsellerowych powieści.

Gdy przyjrzeć się bliżej wydawnictwom prezentującym tych odnoszących międzynarodowe sukcesy autorów, można stwierdzić dwie rzeczy: globalne koncerny wydawnicze mają swoich graczy wagi ciężkiej, jak Ken Follett, a praw do przekładów udziela się na ogół filiom koncernów, coraz częściej synchronizując międzynarodowy termin wydania książki. Niezależne od koncernów wydawnictwa bez wątplenia grają jednak pierwsze skrzypce w publikowaniu wielu najpopularniejszych autorów. Tak było ostatnio z Khaledem Hosseinim, który zapewnia dobre obroty wydawnictwu Bloomsbury, posiadającemu też prawa do *Harry'ego Pottera*, czy ze Stiegiem Larssonem publikowanym na południu Francji, w Actes Sud. Inny przykład niezależnego od koncernów wydawnictwa to zaskakujący sukces europejski 2008 roku: zabawna i osobliwa powieść Muriel Barbery *Elegancja jeża*, wydana przez Gallimarda.

Bez wątplenia siła przebicia koncernu ma dwa oblicza. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło oczywiście ogromne zmiany, co współpracownicy wydawnictw

Nawet gdy zaryzykujemy globalne spojrzenie, szybko stanie się jasne, że na całym świecie przemysł książkowy zdominowała Europa.

niezależnych od koncernów, w Niemczech u Hansera czy Suhrkamp, we Francji u Gallimarda czy w Actes Sud, a nawet ich kole-dzy z mniejszych rynków Danii, Słowenii, Szwecji czy Austrii, mogą zilustrować za pomocą niezliczonych anegdot i pikantnych historii przypadku.

### *Pikantne historie przypadku*

Ryzyko, jakie muszą podejmować mniej-sze i średnie wydawnictwa, decydując o wy-borze tytułów, niezwykle wzrosło wobec coraz wyższych zaliczek i złożonych prze-mian na rynku. Nieliczne, naprawdę naj-popularniejsze tytuły – wraz z ich autorami – niemal ciągle, sezon po sezonie, decydują swoją obecnością wśród czytelników i w mediach o sukcesie lub klęsce, powo-dzeniu lub stracie całych przedsiębiorstw wydawniczych. Stabilne dotychczas pole środkowe jest natomiast coraz wyraźniej zagrożone klęską. Przeciętny sprzedany nakład, który nie tak dawno dla solidnego debiutu powieściowego wynosił 10–15 tys. egzemplarzy, drastycznie zmalał do 3 lub 5 tys., i to przy stale rosnącej liczbie nowości i zwrotów, czyli książek wycofy-wanych po kilku miesiącach z handlu, bo nie sprzedawały się dość szybko. Koncerny wydawnicze zyskują tutaj dzięki masowej ofercie, mają silniejszą pozycję w coraz bardziej skoncentrowanym handlu, czasem także lepsze warunki rabatu i lepsze miej-sca na ladach i półkach. Zasadniczo jednak olbrzymi te są o wiele mniejsze od swej sławy. Dla lepszego zobrazowania warto wspomnieć o dwunastu największych nie-mieckich grupach wydawniczych. Mają one

w sumie obroty rzędu 3,1 mld euro (2008). Jakiemu udziałowi w niemieckim rynku o wartości około 9,5 mld euro to odpowiada, można oszacować tylko bardzo pobieżnie, bo trzeba uwzględnić rabaty udzielane przez wydawnictwa dystrybutorom; w wypadku książek wynoszące zwykle około 50%. Jednak książki naukowe, edukacja i informacja fachowa świadczą o zupełnie innym, niejednorodnym kluczu podziału, stanowiąc około połowy obrotów tych dwunastu największych przedsiębiorstw wydawniczych.

Tylko pięć z dwunastu głównych wydawnictw działa aktywnie na rynku książki ogólnej (a więc w działach: beletrystyka, poradniki, literatura dziecięca, podróżnicza itd.): Random House, wydawnictwa Holtz-brinckgruppe, Weltbild, MairDumont i na koniec wydawnictwa grupy Bonnier. W sumie najważniejsze koncerny wydawnicze uzyskują w wymienionych działach (objętych angielskim terminem „trade”) na całym niemieckim obszarze językowym 1 mld euro obrotu rocznie.

Jednak inaczej wygląda maszyna przemysłu homogenizująca rozdrobnienie i różnorodność kultur. Klasyczny obraz różnorodności książek to biblioteka ze swą niemal nieprzeliczoną mnogością tomów. Każdy z nich wydaje się zamkniętą całością, a przecież wszystkie są powiązane przez systematyczny porządek katalogu i, w sposób mniej oczywisty, przez niewidzialne związki między książkami oparte na delikatnie usnutej sieci wiedzy, sieci tkanej przez użytkowników biblioteki, czytelników. Obraz biblioteki wszakże reprezentuje też zamkniętą, wysoce wyspecjalizowaną przestrzeń książek – a ta zaczyna się na naszych oczach rozmywać. Zarazem zbyt uproszczone jest wołanie, jak to ostatnio uczynili inicjatorzy tzw. apelu heidelberg-

skiego, że „nasza kultura jest zagrożona”.

Cyfryzacja nie tylko poszczególnych tytułów, lecz także w o wiele większym stopniu całego obszaru powstawania, dystrybucji i sprzedaży książki to na pewno siła przemian o niezwykłym impencie. Czy jednak w przewidywalnej przyszłości powstrzyma to autorów od stworzenia następnej powieści, eseju czy tomu wierszy? Jest to co najmniej wątpliwe.

Z tych zjawisk urzeczywistniła się już, i to nieodwracalnie, jednolita przestrzeń książki jako formatu medialnego do rozpowszechniania i przekazywania złożonych treści wiedzy. Wśród największych światowych koncernów wydawniczych wyodrębniła się w minionym dziesięcioleciu, a szczególnie dynamicznie od mniej więcej pięciu lat, trzy segmenty: informacja fachowa (do której trzeba zaliczyć także znaczną część publikacji naukowych), edukacja (obejmująca nie tylko podręczniki, lecz głównie standaryzowane testy) i na koniec „trade”, czyli to, co tradycyjnie łączymy z wydawnictwami książkowymi.

Restrukturyzacja, zmiany wśród dużych jednostek organizacyjnych, które zwłaszcza w obszarze edukacji wyodrębniono z rozbudowanych koncernów wydawniczych, a także, często niezbyt udane, zaangażowanie Private Equity Funds, przede wszystkim przy uchodzącej za lukratywną informacji fachowej – wszystko to doprowadziło w ciągu niewielu lat do zupełnej przebudowy znacznych partii międzynarodowego przemysłu wydawniczego. W dwóch spośród tych trzech obszarów – w segmentach informacji fachowej i edukacji – już dziś regułą, a nie wyjątkiem, jest cyfrowy zintegrowany łańcuch sprzedaży. Takie koncerny jak Thomson kuszą inwestorów informacją, że ponad 80% swoich obrotów

i dochodów wypracowują z produktów cyfrowych. Zwykle przejściu od książki do produktu cyfrowego towarzyszy równie fundamentalna zmiana w modelu biznesu, gdy zamiast pojedynczego tytułu czy pojedynczej serii wprowadza się modele abonamentowe, bo obiecują one w większym stopniu ciągłe i tym samym łatwiej obliczalne dochody.

Ten rozwój dopiero stopniowo obejmuje o wiele bardziej konserwatywny, a także bardziej rozczłonkowany obszar „trade”. Wydawnictwa na różne sposoby bronią się przed szybkimi zmianami. Presja jednak rośnie. Z jednej bowiem strony zmieniają się nawyki czytelników, którzy korzystają z różnych „screens” – od komputera do komórki – jako naturalnej pomocy w korzystaniu z informacji, rozrywki i wymiany kulturalnej w coraz szerszych obszarach życia codziennego. Z drugiej strony rośnie presja kosztów, więc można przewidywać, że obecny kryzys gospodarczy stanie się, jak wiele innych poprzednich kryzysów, potężnym generatorem zmian i przełomów.

Z tego procesu jednak wcale nie musi wynikać, że cyfryzacja zagrozi różnorodności publikacji. Chodzi raczej o proces adaptowania się tradycyjnego handlu książką, który już teraz powoduje znaczące zmiany. Wzmacniają się wzajemnie dwa główne trendy: Po pierwsze, coraz bardziej zwiększa się różnica między rosnącą z roku na rok liczbą pierwszych wydań a spadkiem wielkości przeciętnego nakładu. Po drugie, przemiany dróg dystrybucji i systemu rabatów stale podnoszą próg dostępu do rynku dla tytułów i wydawnictw o słabej sile

rynkowej – a to one właśnie są głównymi nośnikami różnorodności.

Przekłady literackie z małych języków, kulturowe i humanistyczne eseje i dokumentacje, lokalne tytuły edukacyjne i literaturę dziecięcą, prace artystyczne spoza mainstreamu już teraz, nawet w profesjonalnych wydawnictwach, coraz częściej publikuje się poza kryteriami zorientowanej rynkowo produkcji kulturalnej. W zamian wiele wysoko cenionych wydawnictw od dawna przyznaje, że przyjmuje do planu wydawniczego określone przekłady z mało popularnych literatur tylko wtedy, gdy dotacje pokrywają przynajmniej koszt tłumaczenia.

### *Pisanie bez honorarium*

Z niewieloma wyjątkami autorzy prac humanistycznych piszą i wydają bez honorarium autorskiego. W wielu obszarach wiedzy oczekuje się nawet od nich, że niezależnie od rezygnacji z honorarium zapewnią też środki na produkcję i dystrybucję swoich prac. Opłacalność własnej pracy dla autorów polega więc głównie na czym innym, liczy się wzrost reputacji, wyróżnienie się spośród innych, zyskanie uznania i renomy. Kultura książkowa upodobniła się w tym zakresie do produkcji muzycznej, gdzie rozpowszechnienie nośnika dźwięku przynosi wielu muzykom sławę, ale nie dochody. Bez zmian wszakże pozostaje to, że nadal pisze się i wydaje książki zarówno

Pełne grozy apele budują tylko zwariowany teatrzyk, który nie otwiera żadnych perspektyw ani przed autorami, ani przed ich wydawcami.

najróżniejszej treści, jak i w najróżniejszych formatach medialnych, znacznie poszerzonych dzięki możliwościom cyfrowym. Jak się wydaje, książka jako „najbardziej uniwersalny i użyteczny format do wymiany idei i złożonej wiedzy” będzie niezastąpiona i skuteczna także w przyszłości.

Rysuje się jednak dalsza fragmentaryzacja niegdyś zamkniętej przestrzeni biblioteki. Wiele wskazuje na to, że na rynku książki tradycyjnej (po oddzieleniu zwykłych książek od już teraz cyfrowo zintegrowanych zasobów wiedzy fachowej) następuje obecnie oddzielenie się segmentu książki opłacalnej komercyjnie od tych, które ze względu na kulturę są nader ważne, jednakże coraz mniej nastawione na zysk i na zapewnienie dochodu autorom.

Rozwijanie tej – treściowej i medialnej – różnorodności to może najważniejszy klucz do sposobu korzystania z książek w przyszłości, w warunkach tyleż złożonych, co nieprzejrzystych. Dlatego publiczny spór o monopol Google’a na katalogowanie i o prawne zapewnienie dostępu i możliwości dysponowania różnymi treściami – to na pewno właściwy spór we właściwym momencie. Bzdurą jest jednak kreowanie Google’a na molocha połykającego całą wolność książki i kultury, dopóki nie będzie alternatywnych modeli, które organizowałyby w cyfrowym i sfragmentaryzowanym świecie dostęp do najróżniejszych publikacji, ich przegląd, uporządkowanie i rozpowszechnianie. Pełne grozy apele budują tylko zwariowany teatrzyk, który nie otwiera żadnych perspektyw ani przed autorami, ani przed ich wydawcami.

Widać zarazem coraz wyraźniej, że istniejąca uniwersalna regulacja, która ma za podstawę jedynie autorstwo, jest krótko-wzroczna. Nie nadużycie praw autorskich, nie piractwo, tworzenie monopoli czy, na odwrót, zbójcecka mentalność amatorów darmowego piwa okazują się siłą napędową tego procesu, ale skomplikowany miks nowych możliwości produkcji i dystrybucji, zmienionych nawyków kulturalnych i nierównowagi między autorami, którzy odnieśli sukces komercyjny, a dziełami, które szukają powodzenia okrężną drogą innych motywacji i form uznania.

Z zamkniętej przestrzeni biblioteki powstał otwarty na wiele stron, często także nieprzejrzysty teren, na którym stare zamknięte budowle stanowią ważny punkt orientacyjny, ale już wkrótce nie będzie on jedyny. Różnorodność książki odzwierciedla się w różnorodności czytelników i ich zróżnicowanych potrzebach. Gdyby cofnąć się do szczupłych definicji książki, uwolnić ją od balastu wzniosłości i przeciążenia symbolami, to szybko ujawniłaby się na powrót jej wypróbowana celowość, a z nią perspektywa dobrej przyszłości.

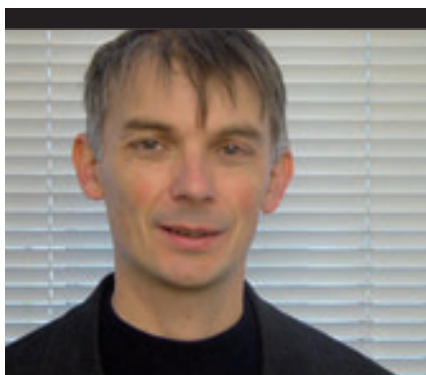
**Rüdiger Wischenbart** (ur. 1956 w Grazu) jest właścicielem Content and Consulting w Wiedniu, pracuje też jako doradca. Główne punkty jego działalności to kultura międzynarodowa, media i książka. Wydaje corocznie aktualizowany *Global Ranking of the Publishing Industry*, recenzuje międzynarodowe bestsellery dla sieci czasopism fachowych i doradza na międzynarodowych targach książki. Ostatnio wydał *Diversity Report 2008* o trendach i przemianach w dziedzinie europejskich przekładów. Więcej na [www.wischenbart.com](http://www.wischenbart.com), a także na jego blogu: [www.booklab.info](http://www.booklab.info).

Mambo

A large, bold, yellow graphic element that resembles a stylized letter 'Z' or a similar character, composed of thick, angular strokes. It is positioned diagonally across the lower half of the page, overlapping the text.

@abcdefghijklmnopqrstuvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
1234567890

Trud i radość czytania Jeszcze przed ośmioma laty co trzeci Niemiec regularnie sięgał po książkę, dziś tylko co czwarty. W 2005 roku angielskie badania stwierdziły, że 27% Brytyjczyków nigdy nie miało książki w rękach, a kolejne 7% czytało tylko podczas urlopu. Jak w Europie zmieniają się zwyczaje czytelnicze? *Angus Phillips*



**D**la założyciela Apple'a, Steve'a Jobsa, sprawa jest jednoznaczna. Powiada on: „To fakt, że ludzie nie czytają już książek”. Czy ma rację? Czy zwyczaje czytelnicze poszczególnych krajów i regionów Europy się różnią? Jeśli tak, to czym wytłumaczyć te różnice? Czy od regionu zależy także to, co czytamy?

Statystyki mówią jasno: czytamy coraz mniej książek. Nie zaskakuje to wobec istnienia konkurencji zastępującej książkę innymi mediami, od telewizji, poprzez gry komputerowe, aż po Internet.

A przecież zmieniła się też pozycja i znaczenie książki w społeczeństwie. Wiele osób odpoczywa, oglądając filmy i telewizję. W ostatnich latach preferowanym źródłem informacji stał się Internet. Pełna pośpiechu codzienność często nie pozwala na chwilę

spokoju, której potrzebujemy, by wziąć do ręki książkę i rozkoszować się lekturą.

Dla Henry'ego Perowne'a, odnoszącego sukcesy neurochirurga z powieści *Sobota* angielskiego autora Iana McEwana, czytanie powieści jest ciężką pracą: „Jego wolny czas jest jednak zawsze poszatkowany, nie tylko przez różne sprawy do załatwienia, rodzinne obowiązki i zajęcia sportowe, lecz przez niepokój, który towarzyszy tym cotygodniowym wysepkom bez troski. Nie chce spędzać wolnego czasu, leżąc czy nawet siedząc. (...) Najwyraźniej brakuje mu determinacji, by doczytać książkę do końca. Tylko w pracy skupia się na jednym; kiedy ma czas, jest zbyt niecierpliwy. Z zaskoczeniem dowiaduje się, co niektórzy ludzie robią w wolne wieczory, jak przesiadują cztery albo pięć godzin dziennie przed telewizorem, podnosząc średnią krajową oglądalność telewizji (...)” (McEwan, 2005, s. 79).

Niektóre wyniki badań czytelnictwa w poszczególnych krajach są rzeczywiście alarmujące. W 2005 roku angielskie badania stwierdziły, że 27% wszystkich Brytyjczyków nigdy nie czyta książek, a kolejne 7% czyta tylko podczas urlopu (BML, 2005). Według badań z 2008 roku 25% Niemców nie czyta książek w ogóle (Stiftung Lesen, 2008). Rozwój sytuacji w Niemczech wska-

zuje na to, że z roku na rok czyta się coraz mniej książek: rośnie liczba tych, którzy przeczytali 1 do 5 książek (44% wobec 38% w 2000 roku), a ubywa tych, którzy czytają rocznie 11 lub więcej książek (28% wobec 34% w 2000 roku).

Statystyki dotyczące czytelnictwa należy traktować z pewną ostrożnością. Poszczególne pytania o czytelnictwo niekoniecznie dają całościowy obraz. W Holandii w trakcie dwóch badań w latach 1975 i 2000 stwierdzono, że w miesiącu poprzedzającym badanie za każdym razem tyle samo osób przeczytało książkę dla przyjemności. Badanie zaś dzienników (zapisków dziennych) pokazało, że w tym samym przedziale czasu procentowy udział tych, którzy w trakcie tygodnia czytają co najmniej przez kwadrans, spadł z 49% do 31% (Knulst i van den Broeck, 2003).

Międzynarodowe badania dotyczące spędzania czasu, w których porównano dane z pięciu krajów (Southerton i in., 2007), potwierdziły, że w Holandii rzeczywiście coraz mniej czasu spędza się na lekturze, ale liczba czytających jest nadal wysoka (90%). Badanie ujęło wszystkie teksty drukowane – a więc nie tylko książki, ale także gazety i czasopisma – i zakładało, że czytanie musi tu być czynnością główną (a więc niesłużącą pracy czy nauce).

Zarówno we Francji, jak i w Wielkiej Brytanii wyniki były inne niż w Holandii. W obu tych krajach – po uwzględnieniu wszystkich tekstów drukowanych – zaznaczył się wzrost czasu spędzanego na lekturze, zwiększyła się także liczba czytających książki. Jednak ogólnie udział tych ostatnich we wszystkich formach czytelnictwa

zmniejszył się tak samo jak w Holandii: we Francji z 44% (1975) do 35% (1998), a w Wielkiej Brytanii z 66% (1975) do 58% (2000). Gdy pytano jedynie o czytelnictwo książek, badania wykazywały, że ilość czasu spędzanego na czytaniu zależała od poziomu wykształcenia i płci (kobiety czytały więcej niż mężczyźni). Na przykład we Francji w jednoosobowych gospodarstwach domowych czyta się więcej niż w gospodarstwach domowych innego typu, a w tych, gdzie są małe dzieci, czyta się jeszcze mniej.

### *Różnice narodowe*

W Europie liczba czytających książki zależy od kraju i regionu. Przy badaniu czytelnictwa książek, które nie służy pracy ani nauce (Skaliotis, 2002), uzyskano w 2001 roku dla całej UE średnią na poziomie 45%. Najwyższe udziały procentowe stwierdzono w Szwecji (72%), Finlandii (66%) i Wielkiej Brytanii (63%). Z kolei najniższą średnią uzyskano w Portugalii (15%) i Belgii (23%). W pięciu z podówczas piętnastu państw członkowskich 50% lub więcej z całej populacji w ogóle nie czytało książek – ani ze względu na pracę czy naukę, ani dla przyjemności. Najnowsze badania Eurobarometru (2007) nie pozwalają na bezpośrednie porównanie, bo postawiono pytania najróżniejszych typów, obejmujące wszystkie formy czytelnictwa książek. Procentowy udział osób, które w ciągu 12 miesięcy poprzedzających ankietę przeczytały więcej niż 5 książek, był najwyższy w Szwecji (60%), Danii (56%) i Wielkiej Brytanii (56%). Z ankiety wynikało także, ile osób w ciągu roku poprzedzającego wywiad nie przeczytało żadnej książki:

Czytanie powieści jest ciężką pracą.



najwyższe średnie były na Malcie (54%), w Portugalii (49%) i na Cyprze (43%) (Eurobarometr, 2007).

Różnice zwyczajów czytelniczych w Europie mają najrozmaitsze powody, takie jak kultura czytelnicza, dostępność książek, sytuacja księgarstwa, możliwości edukacyjne, poziom kształcenia, stopień urbanizacji i dochód narodowy. Istnieje wyraźna różnica między południem a północą Europy, przy czym w krajach śródziemnomorskich czyta się mniej. Jak można wyjaśnić te różnice?

„W poszczególnych krajach przebieg dnia i podział czasu są podobne, nawet jeśli można stwierdzić niejakie różnice. W krajach śródziemnomorskich, zwłaszcza we Francji, przerwy obiadowe są dłuższe, a tym samym czas wolny w sumie krótszy niż gdzie indziej. Finowie dysponują o godzinę dłuższym czasem wolnym niż Francuzi i Włosi” (Eurostat Pocketbook, s. 149). Różne powody ma relatywnie niskie czytelnictwo książek i gazet w Grecji: śródziemnomorski klimat, relatywnie późno zapoczątkowany rozwój edukacji i zbyt słabo rozwinięta sieć bibliotek (Banou i Phillips, 2008). Północna i południowa Europa różnią się poziomem wykształcenia ludności, a oczywiście między lekturą książek a poziomem wykształcenia zachodzi ścisły związek.

Jakie są inne możliwości pomiaru czytelnictwa? Jednostką pomiaru może być liczba sprzedanych książek *per capita* w danym kraju. Trzeba także uwzględnić inne czynniki, jak korzystanie z bibliotek, handel książką używaną i pożyczanie książek (w kręgu przyjaciół i rodziny). Wraz ze wzrostem długości życia i dochodów oraz dłuższym czasem edukacji zwiększa się też zakup książek. Wyższe kwoty sprzedaży

biorą się także ze spadku cen książek i szerszej dostępności wydań kieszonkowych. Czy jednak wobec faktu, że u wielu z nas na regale stoi cały rząd nieprzeczytanych pozycji, zakup książek to dobry miernik? Bardzo rozpowszechniona w Wielkiej Brytanii oferta trzech książek w cenie dwóch może prowadzić do dalszego wzrostu liczby książek nieprzeczytanych lub oddawanych do księgarń prowadzonych przez organizacje dobroczynne.

Zachowania nabywców zależą od kształtowania się cen i dostępności książek. Nasylenie rynku księgarniami jest w poszczególnych krajach zróżnicowane, a w niektórych dostępny jest szerszy asortyment książek kieszonkowych po korzystnej cenie. Jedne państwa, jak Niemcy i Francja, stosują stałe ceny detaliczne, inne, w szczególności Wielka Brytania, dopuszczają w tej mierze konkurencję cenową. Przeniczone książki są tam dostępne nie tylko w księgarniach, ale także w supermarketach i sklepach internetowych.

W Skandynawii można stwierdzić wysoki odsetek czytelników książek. W Finlandii wskaźnik *per capita* wydawanych i sprzedawanych nowych pozycji jest bardzo wysoki. Fińskie dzieci w wieku szkolnym słyną z wyników czytelniczych. W teście czytania PISA z 2000 roku Finlandia zajęła pierwsze miejsce (OECD, 2002). Wysokie są także

Różnice zwyczajów czytelniczych w Europie mają najrozmaitsze powody, jak kultura czytelnicza, dostępność książek, sytuacja księgarstwa, możliwości edukacyjne, poziom kształcenia, stopień urbanizacji i dochód narodowy.

liczby wypożyczeń w fińskich bibliotekach: „Finowie najczęściej w Europie wypożyczają książki. W 2004 roku wypożyczono 109,8 mln różnych nośników przekazu, w tym 79,5 mln książek. Daje to 30 książek na wypożyczającego lub 15 na mieszkańca Finlandii” (Stockmann i in., 2005, s. 35). Według fińskiego Głównego Urzędu ds. Edukacji za znakomite czytelnictwo w tym kraju odpowiadają różne czynniki. Należą do nich: wysoka wartość, jaką w kulturze fińskiej ciesz się czytelnictwo (abonuje się gazety, rodzice czytają dzieciom), gęsta sieć bibliotek publicznych, społeczny status matki jako wzoru dla dziewczynki (kobiety czytają więcej od mężczyzn), mnogość filmów zagranicznych w telewizji bez dubbingu, za to z fińskimi napisami (a zatem dzieci, oglądając telewizję, czytają) oraz surfowanie po Internecie i wymiana SMS-ów, przez co czytanie i pisanie awansuje do roli nawyku spędzania przez młodych ludzi czasu wolnego (nawet jeśli dlatego przeczytają mniej książek) (FNBE, 2009).

Przyczyn spadku nakładu gazet w wielu krajach często upatruje się we wzrastającej popularności Internetu. W obejmujących całą UE badaniach z 2007 roku 35% wszystkich ankietowanych odpowiedziało, że wiadomości i artykuły gazetowe czyta online – 49% miało w domu dostęp do Internetu (Eurostat Pocketbook, 2007, s. 142 i 144).

Dane z Wielkiej Brytanii dowodzą, że korzystanie z Internetu wpływa także na inne media, wśród nich na książki. Badanie z 2007 roku pokazało, że około 26% użytkowników Internetu, według ich własnej wypowiedzi, mniej ogląda telewizję, a 17% przeznaczają mniej czasu na czytanie książek (Dutton i Helsper, 2007, s. 65). Jednak na-

wet jeśli maleje czytelnictwo książek, trzeba ostrożnie podchodzić do tezy, że słabnie czytanie. Czas spędzany online częściowo przeznaczamy na lekturę gazet, blogów i innych tekstów. Kwestią, jak wpływa to na nasz umysł, zajmuje się znany amerykański autor, krytyk technologii, Nicholas Carr. W artykule *Is Google making us stupid?* [Czy Google nas ogłupia?] Carr cytuje tam pewnego internautę: „Jego myślenie (...) stało się myśleniem «staccato», co dokładnie odzwierciedla rodzaj i sposób, w jaki skanuje on z wielu źródeł krótkie fragmenty tekstu. «Nie umiałbym już czytać *Wojny i pokoju*», powiada. «Po prostu nie jestem w stanie. Nie łąpię już nawet wpisu na blogu dłuższego niż trzy-cztery akapity. Takie rzeczy tylko przebiegam wzrokiem»” (Carr, 2008).

Czy są w Europie wspólne treści i tematy czytelnicze? Czy w tym, co czytamy, i czy w przeczytanych przez nas książkach manifestuje się wspólny nam wszystkim gust? Coraz powszechniejszym zjawiskiem w ostatnim czasie jest wzrost sprzedaży i czytelnictwa książek anglojęzycznych poza Wielką Brytanią. Czytanie książek po angielsku jest *cool* – a także koniecznością, skoro tłumaczenia tego czy innego bestsellera wchodzą na rynek dopiero z wielomiesięcznym opóźnieniem. Stąd nacisk na wydawnictwa, by szybciej wydawały przekłady.

### *Fińskie mole książkowe*

O swoim ojczystym kraju, Szwecji, literaturoznawczyni Ann Steiner napisała: „Książki anglojęzyczne czyta się w oryginale częściej niż dawniej. Przekłady z angielskiego z trudem bronią swojej pozycji, inaczej niż jeszcze dziesięć lat temu. Szwedzkie wydawnictwa są zatroskane rosnącą sprzedażą książek anglojęzycznych. To, że w Szwecji do

września 2005 roku sprzedano aż 115 000 egzemplarzy angielskiej wersji powieści *Harry Potter i Książę Półkrwi* (2005), nie po stronie bez wpływu na przyszłe przekłady angielskich książek” (Steiner, 2006, s. 140).

W Europie Wschodniej wskutek otwarcia rynków książki wzrosła liczba wydawanych tytułów, wzrósł też obrót literaturą zagraniczną. Na przykład w Estonii język angielski wyparł rosyjski z pozycji najważniejszego tłumaczonego języka i przypada nań obecnie połowa przekładów i większość tłumaczonych tytułów beletrystycznych (Järve, 2002).

Ogólnie biorąc, można dostrzec znaczące różnice między listami bestsellerów w poszczególnych krajach europejskich. Upodobania w tych krajach różnią się pod względem autorów, rodzajów literackich i nawet formy książki (wymiary, oprawa i jakość wykonania).

W lutym 2009 roku listy bestsellerów wykazały wprawdzie kilka wspólnych cech – np. sukces amerykańskiej „pisarki młodzieżowej” Stephenie Meyer w Niemczech, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii czy szwedzkiego autora kryminałów Stiega Larssona we Francji i Hiszpanii – ale ogólnie występowała tam spora rozpiętość oferty wydawniczej (Wischenbart, 2009). Analiza list bestsellerów w Europie, przeprowadzona w 2008 roku przez ekspertów księgarskich Rüdigera Wischenbarta i Mihę Kovača, dowiodła różnorodności dzisiejszej kultury czytelniczej, którą autorzy analizy opisali jako „rozległy pejzaż świadczący o niezrównanej wewnętrznej różnorodności kulturalnej” (Wischenbart i Kovač, 2009). Z kolei sukces szwedzkiego autora kryminałów Larssona spowodował wzrost przekładów z

języka szwedzkiego na inne języki. Wobec częstego braku czasu, dominacji innych mediów i wielu treści dostępnych online niezbyt zaskakuje fakt, że w Europie czyta się coraz mniej książek. Jak zaś powinniśmy na to reagować? Czy ma to w ogóle znaczenie? Ma, i to z różnych powodów, choćby z racji wzajemnych związków między zachowaniami czytelniczymi a stanem wykształcenia kraju. National Endowment for the Arts, państwowy fundusz USA wspierający sztukę i kulturę, wykazał, że ludzie czytający książki częściej podejmują określone zachowania niż nieczytający: „Kto czyta utwory literackie, z większym prawdopodobieństwem uczestniczy w życiu kulturalnym, sportowym i społecznym niż nieczytający. I tak, czytający książki z trzykrotnie większą częstością uczęszczają na przedstawienia teatralne i z niemal trzykrotnie większym prawdopodobieństwem zwiedzają muzea, dwa i pół razy częściej podejmują działalność społeczną lub dobroczynną i półtora raza częściej – aktywność sportową” (NEA, 2004).

### *Miasto czyta książkę*

Kto chce promować czytelnictwo książek literackich, może się nauczyć z fińskiego przykładu, że chodzi o to, by wzmacniać całą kulturę czytelniczą. Dlatego muszą się zmienić wyobrażenia o czytaniu zarówno w rodzinach, jak i w społeczeństwie. W powieści *Cień wiatru* hiszpańskiego bestsellerowego autora, Carlosa Ruiza Zafóna,

W Estonii język angielski wyparł rosyjski z pozycji najważniejszego tłumaczonego języka.

klient księgarni Daniela w Barcelonie wygłasza opinię: „Zawsze mówię, że czytanie jest dobre dla tych, co mają dużo czasu i niewiele do roboty. Jak kobiety. Bo kto pracuje, nie ma czasu na bajeczki. W życiu trzeba harować” (Zafón, 2005, s. 147).

Wiele krajów nadal podejmuje inicjatywy promowania czytelnictwa przy współudziale szkół, bibliotek i innych instytucji. Oprócz targów książki i festiwali literackich podejmowane są takie akcje, jak Światowy Dzień Książki UNESCO i tak zwane „City Reads”: całe miasto czyta tę samą książkę. Stypendia, nagrody literackie i dla tłumaczy promują zawód pisarza i wzajemne zapładnianie się literatur różnych krajów.

W 2007 roku w Republice Czeskiej podjęto inicjatywę wspieraną przez byłego prezydenta Vaclava Havla, która miała zachęcać rodziców, by codziennie przez 20 minut czytali coś swoim dzieciom (Johnston, 2007).

O „kulturze czytelniczej w Niemczech” pisze frankfurcki dziennikarz Eugen Emmerling: „Skąd bierze się ta sprzeczność między realnym czytelnictwem w Niemczech a tym przez wielu «odczuwanym» zmierzchem kultury czytania? Prawdopodobnie stąd, że dane empiryczne opisują inne czytelnictwo niż tylko owo podejmowane przede wszystkim ze względów estetycznych «czytelnictwo literatury». To prawda – także w Niemczech czytanie w wolnym czasie wydatnie straciło na wywodzącym się z tradycji kultury mieszczańskiej prestiżu społecznym. Przybiera jednak na znaczeniu czytelnictwo operacyjne, czyli lektura jako zdobywanie wiedzy nastawione na pewien cel: na orientację w coraz szybciej zmieniającym się świecie” (Emmerling, 2006).

Byłoby pożądane, gdyby obok prostszych form czytano także dzieła literatury wysokiej. Jeden czytelnik chciałby dzięki lekturze literatury powieściowej zrozumieć istotę ludzkiego istnienia lub po prostu zanurzyć się w innym świecie, inny chciałby czytać wiadomości w Internecie lub przeglądać blogi, jeszcze inny może sięgnąć po literaturę fachową, a najnowszy kryzys finansowy wzbudza u wielu osób zainteresowanie książkami o tematyce gospodarczej.

W 2007 roku w całej Unii Europejskiej 71% ankietowanych przeczytało w ciągu 12 miesięcy poprzedzających wywiad co najmniej 1 książkę, a 37% – co najmniej 5 książek; tylko 28% przeczytało jeszcze więcej (Eurobarometr, 2007). Jak troszczymy się o to, by każde młode pokolenie uznawało, że czytanie jest *cool*? Niektórzy sądzą, że dopomogą w tym nowe elektroniczne czytniki. Inni są przekonani, że książka drukowana pozostanie czymś pożądanym w domu i w codziennej drodze do pracy.

Do sięgnięcia po książkę mogą skłaniać różne podniety: festiwale literackie, ekranizacje powieści czy rekomendacja przyjaciół. W niektórych krajach powodzeniem cieszą się kółka czytelnicze, co zwraca uwagę na społeczny aspekt lektury.

Jedno wydaje się jasne: jeśli tylko pojawią się sprzyjające okoliczności, książki same będą przyciągać nowych czytelników.

**Angus Phillips** jest dyrektorem International Centre for Publishing Studies na Oxford Brookes University.

#### Bibliografia

- Christina Banou, Angus Phillips (2008), *The Greek Publishing Industry and Professional Development*. „Publishing Research Quarterly”, 24, s. 98-110.  
 BML (2005), *Expanding the Book Market*. Book Marketing Ltd.  
 Nicholas Carr (2008), *Is Google Making us*

**Stupid?** „The Atlantic”, lipiec/sierpień.

William H. Dutton, Ellen J. Helsper (2007), **The Internet in Britain: 2007**. Oxford Internet Institute.

Eugen Emmerling (2006), **Lesekultur in Deutschland**. Goethe Institut, www.goethe.de, pobrano 4 maja 2009.

Eurobarometr (2007), **Eurobarometr- Ankieta odnośnie wartości kulturalnych w Europie**.

Komisja Europejska.

Eurostat Pocketbook: **Cultural Statistics (2007)**, Komisja Europejska.

FNBE (2009), **Literacy in Finland**. Finnish National Board of Education, www.ophi.fi, pobrano 4 maja 2009.

Malle Järve (2002), **Changes in Reading Culture in Estonia in the 1990s**. Wykład w ramach International Writing and Reading Seminar, 11–13.04.2002, Jyväskylä, Finlandia.

Rosie Johnston, **Czechs: Europe's biggest bookworms and poorest readers?**, <http://www.radio.cz/en/article/97230>, pobrano 7 maja 2009.

Wim Knulst, Andries van den Broeck (2003), **The Readership of Books in Times of De-Reading**. „Poetics”, 31, s. 213–233.

Ian McEwan (2005), **Sobota**, przeł. A. Szulc, Albatros, Warszawa 2005.

**National Endowment for the Arts (2004)**, konferencja prasowa dotycząca publikacji raportu *Reading at Risk*, <http://www.news/news04/ReadingAtRisk.html>, pobrano 4 maja 2009.

OECD (2002), **Reading for Change: Performance and engagement across countries – results from PISA 2000**.

Michail Skaliotis (2002), **Key Figures on Cultural Participation in the European Union**. Wykład podczas International Symposium on Culture Statistics, Québec, październik.

Dale Southerton, Alan Warde, Shu-Li Cheng, Wendy Olsen (2007), **Trajectories of Time Spent Reading as a Primary Activity: A comparison of the Netherlands, Norway, France, UK and USA since the 1970s**. CRESC Working Paper Series, Working Paper No. 39.

Ann Steiner (2006), **Diversity, or is it all the same? Book consumption on the Internet in Sweden**. w Bill Cope, Angus Phillips (red.), *The Future of the Book in the Digital Age*. Chandos.

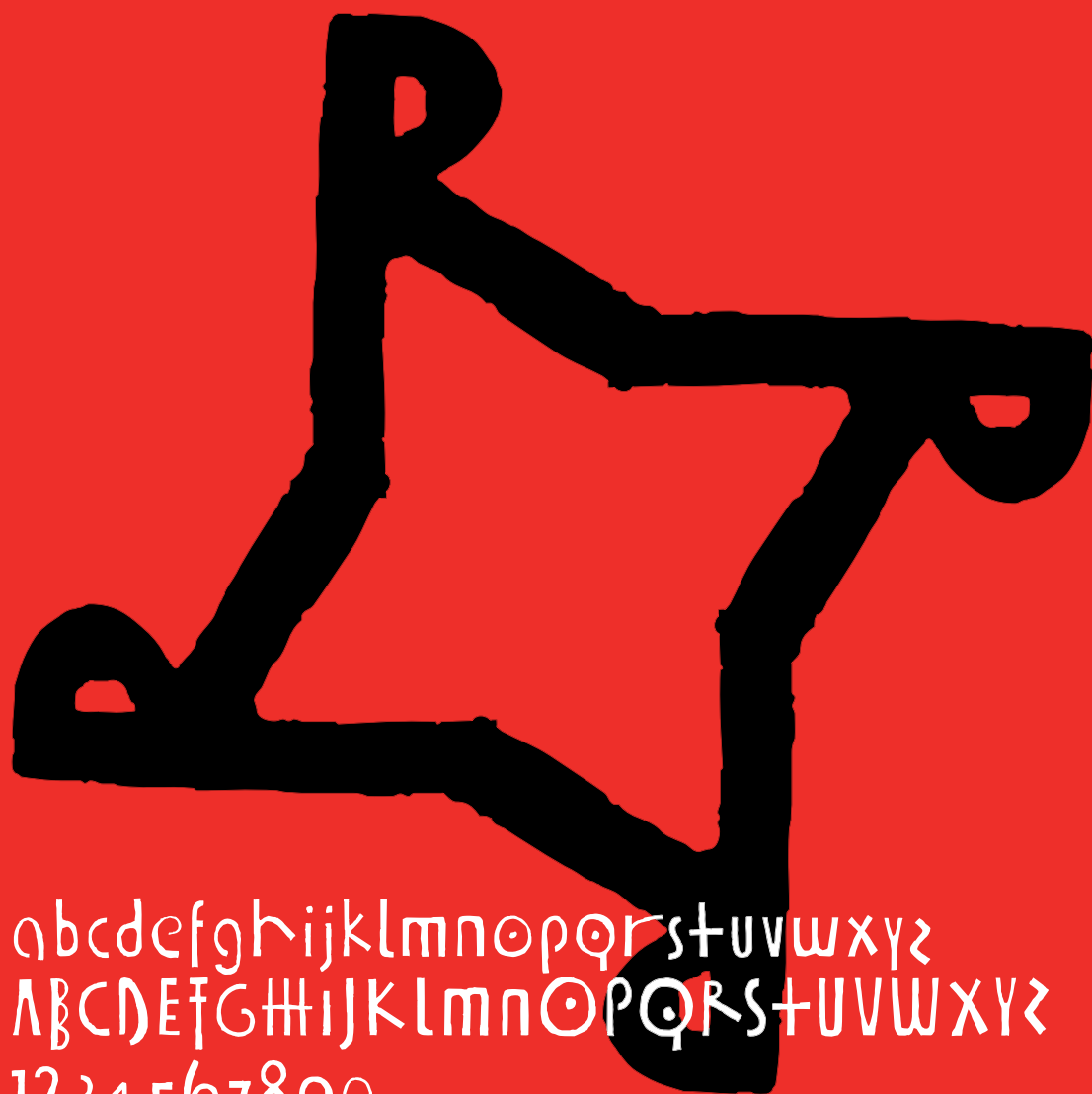
Stiftung Lesen (2008), **Lesen in Deutschland 2008**.

Doris Stockmann, Niklas Bengtsson, Yrjö Repo (2005), **The Book Trade in Finland**: From author to reader – support measures and development in the book trade. Fińskie Ministerstwo Edukacji, raport aktualizowany.

Rüdiger Wischenbart (2009), **Everything Changes**. „The Bookseller”, 6 marca.

Rüdiger Wischenbart i Miha Kovač (2009), **End of the English (British) Empire? Or something else?**, *Publishing Research Quarterly*, 2 czerwca.

Carlos Ruiz Zafón (2005), **Cień wiatru**, przeł. B. Potapczuk, Muza, Warszawa.



abcdefghijklmnopqrstuvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
1234567890



Dlaczego mimo wszystko zajmuję się przekładami W większości krajów UE dochody uznanych, profesjonalnych tłumaczy literatury znajdują się na ustalonym dla danego kraju progu ubóstwa lub poniżej niego. Wielu tłumaczy uprawia swój zawód z czystej pasji. Jest to zajmowanie się literaturą z perspektywy mistrza sztuki przetrwania. *Holger Fock*



Przekładanie dzieł literackich, nawet jeśli gdzieś nauczają się go na uniwersytetach, nie jest zawodem chronionym, z ustaloną ścieżką kształcenia. Rządzi tu raczej reguła: wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Można by słusznie spytać, dlaczego ktoś w tak trudnych warunkach przekłada literaturę, a zwłaszcza, dlaczego uczynił z tego główne zajęcie. Trudno dać na to pytanie jednoznaczną odpowiedź, pomijając fakt, że międzynarodowe rynki literackie od lat sześćdziesiątych potrzebują coraz więcej profesjonalnych tłumaczy literatury.

Dlatego spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, posiłkując się własnym doświadczeniem: od lat szkolnych żywię głęboką namiętność do literatury francuskiej. Jeszcze podczas studiów pisałem okazjo-

nalnie recenzje, które wiodły do pierwszych tłumaczeń. Poświęcałem się swemu „hobby” także podczas pięcioletniej pracy jako autor tekstów reklamowych. Tłumaczenie zawodowe pojawiło się jako możliwość dopiero wtedy, gdy nabrałem pewności, że umiem wystarczająco wiele, by przetrwać w tej branży.

Przekład literacki – zaliczyć tu trzeba także przekład prac naukowych i książek specjalistycznych – to z jednej strony działalność spokojna, wymagająca skupienia. Trzeba jednak intensywnie pracować nad własnym językiem, dużo czytać i często zagłębiać się w nieznanne obszary tematyczne. Krótko mówiąc, jest to praca bardzo pasjonująca. Nierzadko daje wielką przyjemność, a gdy znajduje uznanie, to przynosi więcej zadowolenia niż wiele innych zawodów.

Pojmuję swoją pracę także jako wkład w kulturalny dialog i przyjaźń niemiecko-francuską: urodziłem się i zdałem maturę w Ludwigsburgu, a więc na południowym zachodzie Niemiec, niezbyt daleko od granicy francuskiej. Jednak dopiero sześć lat po studiach i po rozpoczęciu pracy w wolnym zawodzie dowiedziałem się o wygłoszonej w 1962 roku przez Charles'a de Gaulle'a mowie do niemieckiej młodzieży. Z pewnością jest to jedno z najlepszych przemówień poświęconych pojednaniu, porozumieniu i Europie; powinno się uczynić z niego

lekturę obowiązkową w szkole średniej. Na koniec tej mowy de Gaulle podkreślił – od II wojny światowej nie minęło jeszcze pokolenie – że wzajemny szacunek, zaufanie i przyjaźń między Niemcami a Francuzami są podstawą jedności Europy.

Najlepszą po temu przesłanką jest znajomość innego kraju, jego historii i przekazów przenoszących w czasie dziedzictwo kulturowe, w których znajdują wyraz jego swoistości i mentalność. Bez przekładu na własny język nie jest to możliwe. Przekładu rozumianego nie jako zawłaszczenie, lecz jako zaakceptowanie innego człowieka, zgodnie z koncepcją francuskiego filozofa Emmanuela Lévinasa. Wiąże się z tym również pasjonujące zadanie, które stawiam sobie jako tłumacz literatury francuskiej: przybliżenie wydawnictwom autorów, których – bez względu na ich perspektywy komercyjne – uważam za ważnych. Może bowiem zdumiewać fakt, że znaczna część naprawdę ważnej francuskojęzycznej literatury – by wymienić takich autorów, jak Pierre Bergounioux, Florence Delay, Pierre Michon czy Régis Jauffret – jest przetłumaczona [na język niemiecki] wrywkowo lub w ogóle nie została przetłumaczona.

Pod tym względem radość z pracy nad językiem, nad pięknymi tekstami i z dobrymi autorami, wraz ze świadomością budowania mostu między dwiema kulturami, przewyższa frustrację z powodu żalnego położenia materialnego [tłumacza]. Przynajmniej w Niemczech alternatywą jest pomoc społeczna, która przy tych samych dochodach netto dawałaby dodatkowo 10 do 12 godzin czasu wolnego dziennie.

Językiem Europy jest  
przekład.

Językiem Europy powinien być przekład, postulował przed kilkoma laty Umberto Eco, aby wskazać, że angielski komunikator internetowy Pidgin, jako *lingua franca* globalizacji, służy wprawdzie porozumiewaniu się, ale nie porozumieniu. Do tego potrzebne jest kulturowe przenikanie się, dla którego nie ma większego i bardziej stosownego pola niż przekłady literatury. A mimo to żadna z dziedzin kultury nie jest tak słabo wspierana jak literatura, zwłaszcza przekładowa, najmniej zaś w ramach UE.

Literatura Europy to... przekład. Udział przekładów w całej produkcji książkowej w Europie Południowej, Wschodniej i Północnej, zwłaszcza w małych krajach, wynosi między 30% a 60%\*, a licząc tylko beletrystykę – nawet 40% do 80%. W Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Francji i we Włoszech tłumaczy się mniej, licząc proporcjonalnie, a najmniej w Wielkiej Brytanii, gdzie tylko trzy procent nowych publikacji książkowych to przekłady (Survey Cealt, s. 10, rys. 3).

W liczbach absolutnych wygląda to trochę inaczej – tutaj wielkie kraje, Niemcy, Francja, Hiszpania i Włochy, są na czele, choć pogląd o Niemczech jako mistrzu świata w przekładach literackich, chętnie głoszony przez naszych felietonistów i wydawców, to tylko piękny mit: w Hiszpanii ukazuje się trzykrotnie więcej przekładów, we Włoszech dwa razy więcej, a Francja niebawem wyprzedzi Niemcy. Nawet w małych Czechach ukazuje się prawie tyle przekładów, co w Niemczech. Porażająco mało przekładów ukazuje się w Wielkiej Brytanii (Survey Cealt, s. 9, rys. 2).

W ostatnich dziesięcioleciach w Europie, przy wszystkich różnicach w poszczególnych krajach, stale i znacznie wzrastała ilość przekładanej literatury. Jednak różnice strukturalne są ogromne: w zakresie litera-

tury tłumaczonej niemal we wszystkich krajach istnieje ogromna przewaga przekładów z języka angielskiego – w Niemczech od wielu lat jest to stale ponad 70%, a w krajach środkowoeuropejskich, jak Słowenia czy Czechy – ponad 80% (Diversity Report, s. 5 i n., s. 16, wykres 1). Przekłady literackie z języków pomniejszych krajów na inne języki, zwłaszcza małych narodów, to rzadkość.

### *Harlekiny z języka angielskiego*

Z niewielką liczbą przekładów literatury w Wielkiej Brytanii koresponduje nieproporcjonalnie wysoki udział przekładów z języka angielskiego. Tylko w znikomej części spowodowane jest to tym, że w języku angielskim (wliczając cały Commonwealth i Amerykę Północną) opublikowano więcej dobrej, znaczącej literatury – przyczyna leży raczej w tym, że z języka angielskiego przekłada się więcej harlekinów, lekkiej literatury rozrywkowej, biografii itd., a wydawnictwa niezbyt zważają na jakość przekładu przy literaturze tego rodzaju. Dlatego zwłaszcza w krajach Europy Południowej i Wschodniej na rynku jest bardzo wiele przekładów stylistycznie i językowo wadliwych. Poza tym brakuje profesjonalnych tłumaczy literatury z małych języków, brakuje też funduszy na honoraria, które pozwoliłyby specjalistom (krytykom literackim, filologom, tłumaczom itd.) pracować nad przekładami i zarabiać w ten sposób na utrzymanie czy przynajmniej jego część. Wielki problem polega na tym, że na europejskich rynkach księgarskich zarabia się za mało, by należycie opłacić przekłady.

Krótko mówiąc, przekłady literackie w ogóle, a nade wszystko przekłady z języka angielskiego prosperują, przekłady literatury z małych języków na małe języki bar-

dzo biedują, a tłumaczom literackim wiedzie się źle. W wielu krajach praktycznie nie ma żadnych profesjonalnych tłumaczy – czy to dlatego, że nie jest możliwe zapewnienie sobie tym sposobem utrzymania na najniższym poziomie, jak w Grecji, Portugalii czy krajach wschodnioeuropejskich, czy też dlatego, że tłumaczy się tej literatury za mało, co zaobserwowano w Irlandii, Wielkiej Brytanii czy Szwajcarii.

Aby oszacować dochody profesjonalnych tłumaczy literatury w Europie, w badaniu zleconym przez Radę Europejskiego Związku Stowarzyszeń Tłumaczy Literatury (CEA-TL) porównano nie tylko honoraria, ale także inne przychody, na jakie mogą liczyć tłumacze, a mianowicie nagrody, stypendia, dywidendy osiągnięte przez spółki praw autorskich, jak i wartość praw pobocznych oraz procent od sprzedaży. Należy jednak tutaj wyraźnie stwierdzić: w wielu krajach takich rzeczy w ogóle nie ma, a przychody z ostatnich trzech kategorii nigdzie nie przekraczają pięciu procent całości przeciętnych dochodów tłumaczy literackich. Na tej podstawie w badaniu tym, po potrąceniu specyficznych dla tego zawodu wydatków, a także wpłat na ubezpieczenie społeczne i podatków, obliczono i porównano przeciętne przychody brutto i netto tłumaczy literatury z 21 krajów (Survey Ceatl, s. 61–66, tab. 14 i rys. 14–17). Wynik: w sześciu krajach, w tym w Niemczech, średnie przychody brutto tłumaczy literatury stanowią 50% lub mniej przeciętnych przychodów w przemyśle czy usługach. W kolejnych sześciu krajach jest to mniej niż dwie trzecie. Tylko w trzech krajach osiągają 80% lub więcej. Jeszcze gorzej wyglądają przychody netto. W porównaniu z przeciętną siłą nabywczą na głowę (PKB) w danym kraju przychody netto w dwóch krajach nie osiągają 30% (Czechy 19%, Grecja 29%), w kolejnych trzech krajach

stanowią mniej niż 40% (Słowacja 36%, Włochy 36%, Finlandia 39%), w kolejnych siedmiu krajach mniej niż 50% (Hiszpania 41%, Słowenia 44%, Austria 45%, Portugalia 46%, Litwa 47%, Niemcy 49% i Holandia 50%), w sześciu krajach mieszczą się w przedziale 50–60% (Dania 52%, Belgia 53%, Norwegia 55%, Chorwacja 57%, Szwajcaria 57%, Szwecja 59%) (Survey Ceatl, s. 61–66, tab. 14 i rys. 14–17). Pomiędzy Irlandię i Wielką Brytanię – uzyskane tam wartości są fikcyjne, albowiem w obu tych krajach nie ma profesjonalnych tłumaczy literackich. Francja zaś to jedyny kraj, w którym przeciętny dochód netto tłumacza literatury w wysokości 66% nieco przekracza próg ubóstwa. Czyli w większości krajów UE dochody uznanych, profesjonalnych tłumaczy literatury znajdują się na progu ubóstwa lub poniżej niego.

Także ten obraz wymaga dalszego zróżnicowania: w większości krajów profesjonalni tłumacze – łącząc literaturę lżejszą i ambitniejszą ze stałym zajęciem – w ciągu roku powinni wypracowywać przeciętnie od 1000 do 1200 stron tekstów po 1800 znaków na stronie. Wyodrębniają się tutaj dwie skrajne pozycje: Hiszpania i Holandia. Tłumacz literatury w Hiszpanii przy niskich honorariach i względnie wysokich kosztach utrzymania musiałby przetłumaczyć na rok 1800 stron, aby utrzymać się na powierzchni (wielu hiszpańskich kolegów, zwłaszcza w wielkich ośrodkach, np. Barcelonie i Madrycie, całymi latami przekłada często 2500 stron rocznie), koledzy w Holandii mogą

W większości krajów UE przychody uznanych, profesjonalnych tłumaczy literatury znajdują się na progu ubóstwa lub poniżej niego.

przeżyć dzięki finansowanym przez państwo fundacjom, tłumacząc 600–700 stron na rok. To zróżnicowanie ma oczywiście wielki wpływ na literacką jakość przekładów, zwłaszcza przy trudnej literaturze. Podczas gdy poziom tłumaczeń w Holandii i w krajach skandynawskich uchodzi powszechnie za bardzo wysoki, to zwłaszcza z krajów wschodnioeuropejskich, ale także z Hiszpanii dochodzi wiele skarg na niską jakość przekładów literackich. Innymi słowy: złe warunki pracy i niskie płace coraz bardziej obniżają jakość tychże przekładów, a tym samym szkodzą transferowi kultury w Europie. Jakie wnioski można stąd wyciągnąć?

W większości krajów rynek książki i sytuacja gospodarki w pełni pozwalają na większe honoraria. Jednak przestrzeń gry jest na tym rynku ograniczona, gdyż księgarstwo zмага się z nadprodukcją i twardą konkurencją. Jeśli profesjonalni, uznani tłumacze mieliby uzyskać ten sam poziom materialny, co na przykład nauczyciele szkół podstawowych czy rzemieślnicy, ich przychody musiałyby się podwoić lub potroić – zależnie od kraju. Jednak wydawnictwa nie mogą sobie na to pozwolić – nie dopuszcza do tego rynek książki.

Mimo to wydawnictwa kalkulujące koszty wydania książki mogłyby zaliczać tłumaczy do autorów, a nie usługodawców, i dawać im udział w zyskach odpowiednio do wartości ich dzieła. Adekwatność ta powinna kierować się twórczym wkładem pracy: przy literaturze stawiającej szczególne wymagania i trudnej tłumacz zasługuje w istocie na takie same tantiemy, jakie uzyskuje autor przekładanego dzieła. W końcu autor zawdzięcza tłumaczowi to, że można go w ogóle czytać w obcym języku, i uzyskuje tantiemy dzięki wysiłkom tłumacza. Nie chodzi tutaj o nadwyższenie ekonomicznej siły wydawnictwa, ale o bardziej sprawie-

dliwy podział tantiem. Wszelako dodatkowe dochody dla tłumacza można w ten sposób uzyskać tylko w krajach ludnych; w niewielkich krajach osiągalne nakłady są na to zbyt niskie. A i w dużych krajach samo tylko tego rodzaju rozwiązanie nie prowadziłyby do istotnego wzrostu dochodów tłumaczy literatury. Innymi słowy: nie obejdzie się bez skutecznego wspierania tłumaczy, czy to finansowanego przez państwo, czy inaczej.

Najpierw musimy odróżnić wspieranie przekładów od wspierania tłumaczy. Dofinansowywanie przekładów praktykuje wiele krajów; jest to uznany środek polityki zagranicznej w dziedzinie kultury, służący zwiększaniu znaczenia własnej literatury za granicami kraju. Ten rodzaj wspierania literatury, stosowany przez UE w ramach programu „Kultura 2007–2013”, przynosi z reguły korzyść tylko wydawnictwom i trochę autorom, poprzez tantiemy. Jest to na ogół gospodarcze subwencjonowanie wydawnictw.

Takie instytucje, jak na przykład Komisja Europejska czy holenderski Literair Productie- en Vertalingenfonds, niemal jednym głosem stwierdzają, że także tłumacze są beneficjentami wspierania ich przekładów. W większości krajów nie ma jednak o tym mowy. Tylko w Hiszpanii, Danii, Finlandii, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i Austrii tłumacze mają (ale nie zawsze), oprócz zwykłych honorariów według stawek rynkowych, także wart wzmianki udział (50%) w subwencjach. W większości państw natomiast nawet nie podnosi się nędznych stawek za stronę. CEATL znane są natomiast liczne sytuacje z różnych krajów, gdy tłumacze zmuszani byli do podpisywania „pozornych umów”, w których potwierdzają, że otrzymali honorarium wyższe niż rzeczywiście wypłacone przez wydawnictwo. Aby zapobiec tego rodzaju oszustwom przy sub-

wencjach, UE wprowadziła do obliczania wysokości subwencji zryczałtowaną stawkę odpowiadającą wypłacanym w danym kraju honorariom dla tłumaczy. Te zryczałtowane stawki obliczano na podstawie umów wydawniczych z lat ubiegłych, umów, które częściowo są bardzo dalekie od rzeczywistości – tutaj byłaby pilnie potrzebna rewizja, odpowiednio do danych ustalonych w badaniu CEATL (Survey Ceatl, s. 20, tab. 4).

Jeśli na subwencjonowaniu przekładów mieliby skorzystać też tłumacze literatury, to instytucje wspierające, finansowane przez państwo lub prywatne fundacje, musiałyby obiecać tłumaczom określoną część subwencji, zadbać, by ta część nie weszła w skład zwykłego honorarium tłumacza, i wypłacać odnośną kwotę bezpośrednio tłumaczowi.

Złą sytuację tłumaczy literatury wspomagają różne projekty wspierające przekłady: w Holandii finansowany przez państwo Fundusz Tłumaczy dba o to, by tłumacze ambitnej literatury otrzymywali honorarium w wysokości podwojonej przeciętnej stawki, a przy szczególnie trudnych przekładach mogą otrzymać jeszcze więcej. W Szwecji i Norwegii istnieje narodowy system stypendialny, który obejmuje profesjonalnych tłumaczy literatury, przyznając wysokie i często wieloletnie stypendia twórcze, po części finansowane przez państwo, a po części z tantiem bibliotecznych lub innych przychodów. W Danii i przede wszystkim w Finlandii spokojną pracę bez trosk finansowych umożliwiają

Żadna z dziedzin kultury nie jest tak słabo wspierana jak literatura, zwłaszcza przekładowa, najmniej zaś w ramach UE.

także prywatne fundacje. W Norwegii i Danii tłumacze literatury korzystają na relatywnie wysokich tantiemach bibliotecznych; w Danii trafiają one bezpośrednio do tłumacza i mogą stanowić do 50% jego dochodów.

### *Konieczność subsydiowania tłumaczy*

Podstawy do takiego wspierania tłumaczy istnieją także w Niemczech, Francji, Austrii, Kraju Basków i Słowenii, a w bardzo skromnej mierze jeszcze na Litwie, Słowacji i w Wielkiej Brytanii. Wszystkie kraje powinny brać przykład z Norwegii, Szwecji, a w szczególności z Holandii.

Ten rodzaj wspierania wymiany kulturalnej nie powodowałby jakichś szczególnie wysokich kosztów. W Holandii, kraju liczącym około 16 mln mieszkańców, Fundusz Tłumaczy dysponuje kwotą nieco ponad 2 mln euro rocznie, co wystarcza do podwojenia podstawowych honorariów dla 200–250 profesjonalnych tłumaczy. Niemiecki Fundusz Tłumaczy ma obecnie 400 tys. euro rocznie. Aby niemieccy tłumacze literatury byli chociaż w przybliżeniu wspierani tak dobrze jak w Holandii, potrzeba by jednak co najmniej 10 mln euro. Może się to wydawać sporą kwotą, ale należy ją porównać z wielokrotnie wyższymi budżetami, jakie ze środków publicznych postawiono do dyspozycji na przykład każdej z trzech berlińskich oper czy festiwalowi w Bayreuth, nie wspominając o ogromnych sumach przeznaczanych na subsydiowanie filmów!

Przekłady literackie stanowią podstawę wymiany kulturalnej; obejmują nie tylko beletrystykę i naukę, ale także teksty w muzealnych katalogach wystawowych, dzieł sztuki i inscenizacje teatralne, napisy i dialogi filmowe. Właśnie wspieranie tłumaczy i przekładów – w porównaniu z subsydiowa-

niem sztuki, muzyki, filmu i mediów w danym kraju – pokazuje, jak dalece poważnie myśli się tam o wymianie kulturalnej. W większości krajów wspieranie kultury przynosi pożytek przede wszystkim kulturze wysokiej, niosącej prestiż i tworzącej *image*. Kwestia wymiany kulturalnej nie stoi tu na pierwszym planie. Pożądana byłaby zmiana priorytetów. Niemcy mogłyby dać dobry przykład. Wprawdzie dziś bardzo się oszczędza na wspieraniu kultury, ale niemiecki Fundusz Przekładów (jeszcze) korzysta z rosnących z roku na rok środków.

W nielicznych krajach, w których utworzono fundusze tłumaczy, okazały się one prawdziwym błogosławieństwem dla tłumaczy i literatury. Dlatego najistotniejszym celem polityki kulturalnej na poziomie narodowym i europejskim powinno być powoływanie funduszy tłumaczy. Ich finansowanie mogłoby oprócz pieniędzy państwowych pochodzić także z innych środków, na przykład z dywidend rozmaitych spółek praw autorskich albo przez obłożenie ceny książki dodatkową kwotą, przykładowo 1 euro za każdą przetłumaczoną książkę; kwota ta powinna wpływać wprost do funduszu.

W Europie politykę kulturalną prowadzi się na szczeblu kraju. UE może promować tylko instytucje, inicjatywy i projekty, które wykraczają poza granice państw, służą myśli europejskiej i wzmacniają kulturową tożsamość Europy. Wszystko pięknie, ale przecież promowanie kultury przez UE przebiega nie inaczej niż na poziomie narodowym; budżet wspierania filmów w programie „Media 2007–2013” jest o ponad 30% wyższy niż budżet pozostałych dziedzin kultury. I podczas gdy we wcześniejszych programach kulturalnych dla literatury i przekładów rezerwowano jeszcze stałą część 13%, to teraz muszą one konkurować



z pozostałymi sztukami. Nic dziwnego, że europejskie ośrodki tłumaczy, które jeszcze do 2006 roku mniej lub bardziej regularnie otrzymywały pieniądze na rozwój, mają teraz pustą kiesę.

Składanie wniosku jest wysoce skomplikowane, procedura niezwykle biurokratyczna, a przez wprowadzenie „Executive Agency” stała się nieprzejrzysta. Jest tak trudna, że Cultural Contact Point Germany (CCP) oferuje dodatkowe kursy dla potencjalnych wnioskodawców. Nie dziwi więc, że wspiera się głównie projekty i instytucje, w których zatrudniony i opłacany menedżer kultury ma dość czasu, by zajmować się składaniem skomplikowanego wniosku.

Te nieliczne projekty i instytucje zrzeszające i działające na rzecz tłumaczy literatury pracują w każdym razie na zasadzie zatrudniania na etat – mianowicie tłumaczy, którzy często muszą pracować po 60 i więcej godzin tygodniowo, by zapewnić sobie utrzymanie na najniższym poziomie.

Jeśli Unii zależy na wspieraniu literatury na szczeblu europejskim, a to oznacza zawsze literaturę tłumaczoną, powinna w ramach swojej polityki kulturalnej jak najszybciej, najpóźniej zaś przy okazji następnego programu „Kultura 2014-20XX”, stworzyć własny budżet dla literatury, przekładów literackich i tłumaczy literatury, a najlepiej przygotować własny program dla literatury, podobnie jak przy wspieraniu filmu. Nic nie służy lepiej wymianie kulturalnej niż przekłady literackie. Jeśli UE traktuje ją poważnie, musi postawić sobie zadanie wspierania istniejących europejskich ośrodków tłumaczy, w których ta wymiana dokonuje się codziennie, zakładania nowych takich ośrodków, szczególnie w krajach mniejszych i wschodnioeuropejskich, oraz pomocy w rozbudowie sieci takich ośrodków. Większość tłumaczy li-

teratury zarabia za mało, aby regularnie podróżować do krajów, których literaturę tłumaczy, albo by brać regularny udział w seminariach doksztalających, kolokwiah itd. Także to byłoby ważnym wkładem w literacką wymianę kulturalną, także to byłoby zadaniem dla UE: wspieranie i finansowanie stypendiów pobytowych i wyjazdów dla tłumaczy, programów z tutorami, seminariów, warsztatów, spotkań autorów z tłumaczami ich utworów itd. – bezpośrednio lub poprzez instytucje oferujące takie stypendia i programy.

Tak jak na poziomie narodowym, tak też na europejskim utworzenie funduszu tłumaczy mogłoby się stać ważnym, być może decydującym, narzędziem poprawy położenia tłumaczy literatury i podniesienia jakości przekładów literackich: europejski fundusz tłumaczy, finansujący i organizujący wymienione formy wymiany kulturalnej, miałby nieoszacowaną wartość. Do finansowania takiego funduszu mogłyby lub powinny oprócz UE przyłożyć się także poszczególne kraje i prywatne fundacje.

Stosunek do tłumaczy literatury pokazuje bowiem, czy polityka kulturalna poważnie traktuje wymianę kulturalną, czy też pozostaje w tym zakresie tylko pustą deklaracją.

**Holger Fock** jest tłumaczem literatury i przewodniczącym Rady Europejskiego Związku Stowarzyszeń Tłumaczy Literatury (CEATL, Conseil Européen des Associations de Traducteurs Littéraires).

\* Liczby i dane w tym artykule pochodzą głównie z wydanego jesienią 2008 roku raportu Rady Europejskiego Związku Stowarzyszeń Tłumaczy (CEATL) *Compared Income of Literary Translators in Europe* i z *The Diversity Report 2008* eksperta rynku książki Rüdiger'a Wischenbarta

# Garamond



abcdefghijklmnopqrstuvwxy

ABCDEFGHIJKLMN OPQRSTUVWXYZ

1234567890

„Być albo nie być tłumaczonym” Jeśli dzieł znaczącego autora ze wschodniej Europy nie wydano po niemiecku, angielsku czy francusku, to prawdopodobnie nie będą go czytać w sąsiednim kraju. Potrzebujemy pan-europejskiej literackiej sfery publicznej i adekwatnego wspierania przekładów, abyśmy mogli rozkoszować się literaturą ponad granicami języków i państw.

*Gabriella Gönczy*



Obecnie odbywa się radykalny dryf kontynentalny już nie krajów, lecz całych przestrzeni językowych: regiony mówiące najważniejszym *lingua franca* globalizacji, językiem angielskim, coraz bardziej izolują się od reszty świata. Badania znanej amerykańskiej językoznawczynie i tłumaczki Esther Allen dowiodły, że beletrystyka przetłumaczona na język angielski stanowi znikomą część wszystkich opublikowanych w Stanach Zjednoczonych tytułów. W świecie arabskim tłumaczy się o wiele więcej książek z języków obcych niż w USA, choć Ameryka chętnie prezentuje się jako otwarta na świat, kosmopolityczna i zobowiązana do kulturowej różnorodności.

Najważniejsze na świecie idiomy językowe, obok angielskiego, to hiszpański

i chiński. Niemiecki, w Europie ciągle jeszcze często używany, na scenie globalnej stał się „starożytną greką współczesności”, jak to ujął w ostatnim wydaniu *Raportu o kulturze* Thierry Chervel, dziennikarz zajmujący się kulturą. Większość dzieł literackich Europy napisano jednak w małych językach. Poza granicami danego języka dzieła te często są prawie niezauważane. Poza kilkoma wyjątkami zwłaszcza autorzy z Europy Środkowej i Wschodniej są nadal praktycznie nieznanymi na Zachodzie.

Problem polega na tym, że ubywa popularyzatorów, dziennikarzy, wydawców i tłumaczy literatury, którzy rozumieliby język sąsiadów. Kto więc urodził się w mniejszej przestrzeni językowej Europy Środkowej czy Wschodniej, ma nie tylko kłopot taki, że z perspektywy globalnej nikt nie zauważa ani jego, ani jego ziomków, ale także i ten, iż z biegiem procesu globalizacji coraz trudniej mu będzie poznać literaturę i kulturę swoich sąsiadów.

Na Węgrzech, przykładowo, trzeba dziś bardzo dobrze znać angielski, niemiecki i francuski, aby być konkurencyjnym na rynku pracy. Nieomal nie ma już węgierskich intelektualistów, którzy mówiliby po słowacku, ukraińsku, chorwa-

cku czy rumuńsku. Węgierska scena literacka zauważa ościenną literaturę i kulturę okrężną drogą – przez główne języki Europy Zachodniej. Gdy pisarz chorwacki, czeski lub ukraiński odnosi sukces w Niemczech czy we Francji, wtedy donoszą o nim węgierskie felietony, a wydawnictwa żądają próbek przekładów. Gdy ważny autor z Europy Wschodniej z jakichś powodów nie jest dostępny po niemiecku, angielsku lub francusku, to prawdopodobnie nigdy nie będzie czytany w krajach sąsiednich.

Z tych powodów wydawnictwa zachodnioeuropejskie odgrywają ważną rolę: mają możliwość (i naturalnie ponoszą ryzyko) odkrycia nieznanymi autorów z Europy Środkowej i Wschodniej. Dlatego mogłyby budować mosty między językowymi i kulturowymi przestrzeniami Europy Wschodniej i Zachodniej, przyczyniając się do europejskiego porozumienia. W najlepszym razie mogłyby być nawet odskocznią do globalnych, anglojęzycznych rynków książki.

### *Nieznani z Europy Wschodniej*

Gdyby Arundhati Roy napisała swoją powieść *Bóg rzeczy małych* nie po angielsku, ale w języku malajalam, nie stałaby się sławna na całym świecie. Imre Kertész napisał *Los utracony* po węgiersku i nawet w swej ojczyźnie przez lata pozostawał nieznanym. Dopiero po nagłym sukcesie w Niemczech zauważyła go szeroka publiczność na Węgrzech. Gdyby *Los utracony* nie odniósł

Nieomal nie ma już węgierskich intelektualistów, którzy mówiliby po słowacku, ukraińsku, chorwacku czy rumuńsku.

wielkiego sukcesu w Niemczech, nigdy by go nie przetłumaczono na angielski i Imre Kertész nigdy nie otrzymałby literackiej Nagrody Nobla.

Przed dziesięciu laty mało który niemiecki wydawca interesował się węgierskimi autorami. Z czasem jednak nie tylko Imre Kertész, ale niemal wszyscy węgierscy autorzy stali się znani i lubiani w Niemczech. Po tym gdy zaproszono poprzez berliński program artystyczny DAAD ponad 20 węgierskich pisarzy na roczne stypendia twórcze w Berlinie, w 1999 roku Węgry były gościem frankfurckich Targów Książki, a w 2002 Imre Kertész otrzymał literacką Nagrodę Nobla, obecnie w Niemczech odkrywa się i przekłada coraz więcej węgierskich autorów.

Renesans literatury węgierskiej zaczął się dzięki klasykom z lat 20. i 30. XX wieku, takim jak Sándor Márai, Dezső Kosztolányi i Antal Szerb. Niemal wszystkie nowe przekłady z węgierskiego celebrowano w niemieckich felietonach, liczba sprzedanych książek na ogół przekraczała wszelkie oczekiwania wydawców. Węgierscy pisarze otrzymali wiele ważnych nagród literackich, m.in. Imre Kertész – Nagrodę Nobla (2002), Péter Esterházy – Nagrodę Pokojową Niemieckich Księgarzy (2004), a Péter Nádas – Lipską Nagrodę za Książkę na rzecz Europejskiego Porozumienia (1995) i Nagrodę im. Franza Kafki (2003).

Stosunki literackie i kulturalne między Berlinem a Budapesztem nabrały rozpędu również dlatego, że niektórzy węgierscy literaci sprawują ważne urzędy czy godności w niemieckich instytucjach kulturalnych: na przykład György Konrád był długoletnim prezydentem berlińskiej Akademii Sztuki,

a Péter Esterházy jej członkiem, zaś Imre Kertész – członkiem Niemieckiej Akademii Języka i Literatury.

Nie tylko Węgrzy, ale także inni wschodnioeuropejscy autorzy odnieśli w tym czasie pewien sukces na niemieckim rynku książki: Ukraińcy Jurij Andruchowycz i Swietłana Aleksijewicz, Chorwatka Dubravka Urgešić, Polacy Andrzej Stasiuk, Ryszard Kapuściński, Paweł Huelle i Dorota Masłowska czy Rumun Mircea Cărtărescu.

W Niemczech jakoś się udało stworzyć bardziej intensywną i żywą wymianę literacką w obu kierunkach z Europą Środkową i Wschodnią, podczas gdy stosunki literackie Europy Wschodniej z pozostałymi państwami Europy Zachodniej są raczej jednostronne: peryferie przekładają wiele rzeczy przychodzących z centrum, małe języki tłumaczą o wiele więcej z wielkich języków niż na odwrót. Czy to przypadek, czy też może niemieccy wydawcy, tłumacze, felietoniści i czytelnicy mają jakieś szczególne wyczucie literatury swoich wschodnich sąsiadów?

„Droga wschodnioeuropejskich pisarzy w inne języki i dalej do literatury światowej prowadzi najczęściej przez Berlin”, pisze Imre Kertész w eseju *Dlaczego właśnie Berlin?* Podkreśla w nim pełnią przez to miasto funkcję mostu między literaturą wschodnią i zachodnią. Tymczasem inne zachodnioeuropejskie kultury, twierdzi Kertész, na przykład francuska lub angielska, raczej zadowolają się same sobą.

Péter Esterházy przypisuje wielkie znaczenie berlińskiemu programowi dla artystów DAAD. Jak stwierdził: „Rok w Berlinie przemienił nie tylko nasze życie

i nasze utwory, ale także całą współczesną węgierską literaturę”.

Doskonałe stosunki literackie między Berlinem a Budapesztem przyczyniły się także pośrednio do bardziej realistycznego i pozytywnego obrazu Niemiec na Węgrzech. Berlin należy do najważniejszych punktów odniesienia i miejsc akcji wielu współczesnych węgierskich powieści, opowiadań i esejów. Jeszcze niedawno Berlin miał na Węgrzech taki *image*, jak Helsinki czy Oslo – sympatyczny, ale leży daleko i często tam pada – dziś należy do najatrakcyjniejszych celów podróży przede wszystkim dobrze wykształconych i dobrze zarabiających Węgrów. Zaliczają go oni do najciekawszych i najbardziej nowatorskich kulturalnych metropolii świata.

### *Tworzenie sfery publicznej*

Jak można by ożywić wymianę literacką między wielkimi i małymi, a także między małymi przestrzeniami językowymi Europy? Gdzie są założenia nowej paneuropejskiej sfery publicznej europejskich literatur?

Na tekst polemiczny o islamie w Europie francuskiego filozofa Pascala Brucknera, opublikowany na początku 2007 w magazynie internetowym „Signandsight”, zareagował natychmiast angielsko-holenderski dziennikarz i pisarz Ian Buruma oraz brytyjski historyk Timothy Garton Ash. Dyskutowało z nimi wielu znamienitych intelektualistów z całej Europy, zaczęła się

Berlin należy do najważniejszych punktów odniesienia i miejsc akcji wielu współczesnych węgierskich powieści, opowiadań i esejów.

toczyć ogólnoeuropejska debata medialna. Suhrkamp Verlag uznał ją za tak dobrą, że wydał teksty w formie książkowej.

Czego więc trzeba, by ten przykład nie pozostał wyjątkiem, lecz stał się regułą? Jak połączyć w ponadnarodową sieć życie literackie i intelektualną debatę Europy? Nie potrzeba wiele: Internet, język angielski i jakiś sponsor, który jest otwarty na wynik i zorientowany na proces, jak niemiecka fundacja Kulturstiftung des Bundes, z której inicjatywy powstał projekt „Signandsight”. W wypadku wspomnianej debaty europeizacja i ponadnarodowość tylko dlatego zadziałały, że Pascal Bruckner opublikował tekst nie po francusku w „Le Monde”, ale w Internecie po angielsku.

„Signandsight” to tylko jeden z wielu przykładów: „Eurozine”, „Eurotopics” czy „Lyrikline” to inne platformy dyskusji i wymiany literackiej w Europie. Nie ulega jednak wątpliwości, że żaden internetowy projekt nie zastąpi osobistego doświadczenia artystycznego i kulturalnego. Tak jak uprzednio, ważne jest, by zachować bogactwo i różnorodność literackiej infrastruktury Europy, nadal ją rozbudowywać i łączyć w ogólnoeuropejską sieć. Obok należytego wspierania przekładów należałoby zacząć wspierać odpowiednimi środkami instytucje i projekty poza Internetem.

Już w epoce oświecenia ludzie wykształceni marzyli, aby nowo powstałe dzieło literackie było dostępne od razu w całej Europie, aby idee i myśli upowszechniały się ponad granicami językowymi. Możliwe, że dziś, na początku XXI wieku, uda się niebawem stworzyć w Internecie ogólnoeuropejską literacką sferę publiczną i zeuropeizować istniejącą „infrastrukturę offline”. Być może od tego marzenia dzieli nas już tylko kilka kroków.

**Gabriella Gönczy** jest dziennikarką, kieruje Instytutem Roberta Graggera przy Collegium Hungaricum w Berlinie. Jest współwydawcą antologii *Berlin, meine Liebe. Schließen Sie bitte die Augen. Ungarische Autoren schreiben über Berlin*, członkinią międzynarodowego jury TWINS 2010, projektu Kulturalna Stolica Europy. Kieruje grupą roboczą d/s komunikacji w ramach inicjatywy społeczeństwa obywatelskiego „Dać Europie duszę”

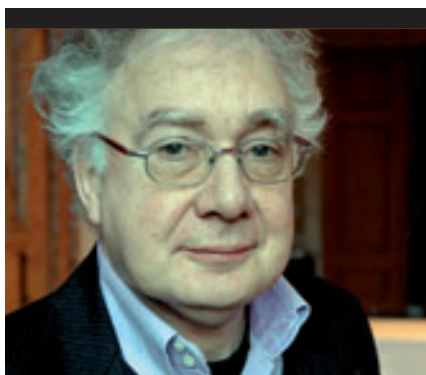






# Bariery na łączach Ogół środków służących homogenizacji rynku wewnętrznego Unii Europejskiej dotyczy także kultur państw członkowskich. Co nastawiona na rynek filozofia Unii oznacza dla silnego i różnorodnego życia kulturalnego Europy? Czy europejska kultura może się rozwijać bez europejskiej polityki kulturalnej?

*Steve Austen*



**D**yskurs o roli kultury w Europie, o kulturalnym wymiarze procesu jednoczenia i o kulturalnej tożsamości kontynentu utknął w pułapkach i nieporozumieniach. Na mocy traktatu z Maastricht (1992) polityka kulturalna – będąca głównie domeną poszczególnych państw członkowskich – nie może podlegać regulacji brukselskiej maszyny. Można by więc argumentować, że z tego powodu, abstrahując od aktualnych linii politycznych krajów członkowskich, nie będzie żadnej europejskiej polityki kulturalnej, przecież ogół środków służących homogenizacji rynku wewnętrznego UE wpływa także na kultury tych właśnie państw. Czy więc skutek nakierowanej na rynek filozofii Unii powstają coraz gorsze warunki ramowe dla silnego i różnorodnego życia

kulturalnego, czy też zachodzi przypadek odwrotny? Finansowe wspieranie sztuki przez miasta, regiony i różne gałęzie gospodarki, jak i przez prywatnych ofiarodawców, oddziałuje ponad granicami, czego nie można po prostu zignorować. Czy więc możliwa jest różnorodna kultura w Europie bez europejskiej polityki kulturalnej i jak zależy ona, ze wsparciem publicznym lub bez niego, od warunków rynkowych? Zapewne sztuka – na przykład literatura – może istnieć także bez pomocy publicznej. I niewątpliwie sztuka i produkcja artystyczna będą istnieć. Ale należy zarazem wysunąć kontrargument: bez dopłat z całego mnóstwa źródeł świat nie byłby tak bogaty, różnorodny i przepełniony formami wyrazu kulturalnego, jak jest obecnie.

Ani w niegdysiejszej komunistycznej, ani w kapitalistycznej Europie społeczeństwo nie kwestionowało publicznych wydatków na sztukę, a świat bez subwencji zostałby uznany za anomalię. Wydatki publiczne znajdują swoje źródło i prawne uzasadnienie we współczesnych ujęciach aktualnej polityki gospodarczej danego państwa. Aby sformułować to jasno i wyraźnie: subwencja traktowana jest jako rekompensata za brak siły nabywczej ze strony popytowej rynku. Można tu podać prosty przykład. Gdy-

by Berlińscy Filharmonicy grali w każdy możliwy dzień w największych salach koncertowych Niemiec, to przy komplecie widzów cena biletu na koncert wynosiłaby około 600 euro (nie weryfikowałem tej kwoty, być może cena byłaby dużo wyższa).

Berlińscy Filharmonicy nie wynaleźli jeszcze dla swych koncertów jakiejś formy produkcji seryjnej – nie mówiąc o innych rodzajach produkcji masowej. Biorąc pod uwagę większość potrzeb kulturalnych, łatwo zrozumieć, że nie byłoby to zbyt pomocne. Wprost przeciwnie. W wypadku sztuki i produktów kulturalnych chodzi nie tylko o unikaty zmieniające się z dnia na dzień i od wykonania do wykonania – są one także nader prachołonne.

Z biegiem lat politycy coraz bardziej traciłi z oczu powody dla uzasadnienia subwencji, aż znaleźli się w ślepej uliczce, gdzie działają według upodobań publiczności. Destrukcyjne skutki tej postmodernistycznej i „oświecanej” polityki subwencjonowania podkopują, w niedający się przewidzieć sposób, akceptację wydatków publicznych na sztukę.

Bardzo łatwo można robić festiwale, musicale i literaturę popularną, które chociaż dałyby sobie radę bez dopłat, uzyskują je jednak, by utrzymać niepotrzebnie niskie ceny biletów. Czy musical, powieść lub festiwal utrzymałyby się przy rynkowym kształtowaniu cen? Nawet gdyby ceny były naprawdę wysokie? Można by argumentować, że ceny nie są zbyt wysokie,

Berlińscy Filharmonicy nie wynaleźli jeszcze dla swych koncertów jakiejś formy produkcji seryjnej – nie mówiąc o innych rodzajach produkcji masowej.

póki znajdzie się dostatecznie wielu konsumentów gotowych ponieść dany koszt.

W dziedzinie literatury zawsze może istnieć rynek przekładów, powiedzmy, z portugalskiego na grecki, ale prawdopodobnie nawet w najbardziej idealistycznych warunkach rynkowych będzie on za mały, by przetrwać. Rekompensaty z tytułu mechanizmu kształtowania cen mogą tylko w ograniczonym zakresie stymulować popyt. Trudno o celny argument za którąś z form subwencji strukturalnych, zwłaszcza dla bezpośrednich przekładów z jednego języka na inny. Rynkom książki, podobnie jak produkcjom teatralnym i w znacznej części także filmowym, zasadniczo chodzi o działania na rynku wewnętrznym.

Do internacjonalizacji produktów literackich rynku wewnętrznego wymagane byłoby jakieś łącze – system otwierający rynki zagraniczne dla nieznanych prac. Ten interfejs może funkcjonować tylko wtedy, gdy uczestniczy w nim możliwie najwięcej czynnych artystów z danego kraju. To również zależy od właściwości rynku. Im bardziej krajowe produkty literackie dążą do międzynarodowego uznania, tym silniejsza jest potrzeba takiego interfejsu. Wzrastająca mobilność idei i dystrybucja dzieł kultury będą coraz bardziej zależne od funkcjonalności tego mechanizmu. Amsterdamski eseista i socjolog Abram de Swaan ujął to następująco: „Im więcej języków, tym więcej angielskiego”.

Niektórzy autorzy uważają to zjawisko za zagrożenie dla rozwoju bogactwa kultury. Chciałbym zadać im następujące pytanie: jak ma zachodzić międzynarodowa interakcja kulturalna między obywatelami różnych krajów Europy, jeśli wszyscy zadowolimy się

własnym językiem i językiem tylko jakiegoś innego (małego) obszaru językowego w Europie? Gdyby wprowadzić tę prawdziwie purytańską postawę w moim kraju, w Holandii, to od średniowiecza nie byłoby tu żadnego postępu w naukach przyrodniczych ani w sztuce.

Wielość języków bez *lingua franca* byłaby z konieczności elitarną zabawą: bez *lingua franca* europejska przestrzeń publiczna funkcjonowałaby tylko w ograniczonym zakresie. Nie da się zaprzeczyć, że dzięki językowi angielskiemu (jako *lingua franca* naszych czasów) anglosaskim dziełom i poglądom łatwiej przenikać na rynki książki i innych dóbr w obszarze kultury i języka.

Rozszerzenie UE z 6 w stadium początkowym do 27 członków prowadzi do 21 dalszych debat o tożsamości. Sukcesy procesu akcesyjnego – unia walutowa, wspólny rynek pracy, a także większa oferta różnych sposobów życia i poprawa jego warunków – mają także nieprzyjemną drugą stronę: im większa homogenizacja, tym bardziej ludzie chcą się od siebie różnić.

Zachodzą mianowicie nowe procesy identyfikacji. Jedyna możliwość, by sprostać temu zadaniu bez stosowania przemocy wobec własnego sąsiada, to wsparcie, nowa definicja czy konstrukcja czegoś takiego jak „kultura narodowa”, czymkolwiek by to było. Ten proces ujawnia tendencję do nowego zdefiniowania narodowej polityki kulturalnej i można go napotkać wszędzie w Europie. Jednocześnie wszyscy, którzy chcą strzec życia kulturalnego swojego kraju przed zagranicznymi wpływami, postępują sprzecznie, gdy zarazem wspierają propagowanie własnej kultury za granicą.

Jest całkowicie jasne, że tak ogromny projekt jak europejski proces zjednocze-

niowy tylko wtedy zdoła odnieść sukces, gdy obywatele tej jednostki geograficznej uzyskają te same prawa, także prawa kulturalne, których nie będzie ograniczać polityka kulturalna ich własnych krajów. Podstawową przesłanką jest tu swobodny przepływ informacji, idei, kulturalnych form wyrazu i produktów na obszarze UE. Odpowiednie ramy prawne zapewnia Europejski Trybunał Praw Człowieka. Swoimi wyrokami wzmacnia on wolność jednostki i wspiera obywatele państw europejskich w egzekwowaniu ich praw kulturalnych, także gdy prawa te są ograniczane przez jakieś narodowe prawodawstwo czy regulacje państwowe.

### *Integracja UE jako proces kulturalny*

Oba wymienione tutaj warunki prowadzą do wniosku, że w Europie wspólnej waluty, swobodnej wymiany siły roboczej i wolnego rynku istnieje pewien świat równoległy – ten kulturalnych warunków ramowych. Można by nawet argumentować, że europejski proces zjednoczeniowy trzeba rozumieć jako proces przede wszystkim kulturalny.

Decyzje polityczne, gospodarcze i monetarne nie dojdą do skutku bez zagwarantowania ich akceptacji ze strony obywateli. Zapewne nikt mi się nie sprzeciwi, gdy określe akceptację jako właściwość kulturalną. Taką, która przede wszystkim bardzo ściśle wiąże się z takim poziomem aktywnego udziału w życiu publicznym, jaki osiągnięto w poszczególnych państwach członkowskich.

Sukcesy procesu akcesyjnego mają także nieprzyjemną drugą stronę: im większa homogenizacja, tym bardziej ludzie chcą się od siebie różnić.



Kultura i sztuka mogą się w znaczący sposób przyczynić do promowania i rozwoju europejskiego obywatelstwa. Pośrednio już się to dzieje: ponadnarodowy wymiar sztuki i kultury stanowi łącznik, punkt odniesienia dla wszystkich rodzimych mieszkańców i obywateli państw, którzy dzięki interfejsowi języka angielskiego i przekazowi informacji przez Internet mają udział w pogłębianiu wzajemnej otwartości kulturalnej i w kształtowaniu świadomości obywatelskiej.

Jak dotąd możliwości najnowszych kanałów komunikacyjnych i przekazu informacji są jeszcze słabo przebadane. Sukces portali społecznościowych w Internecie pokazuje nam, że właśnie zaczęło się tworzenie świadomości przekraczającej granice państw. Można stąd wnioskować, że istnieje rosnąca potrzeba tworzenia forów komunikacji z obywatelami innych krajów.

Sztuka i kultura powinny przeniknąć w ten obszar. Ich odbiorcy, publiczność i czytelnicy już tam są. Dialog o kulturalnych składnikach Europy, roli obywateli i powiązaniach z aktualną rzeczywistością w kraju – wszystko to czeka na włączenie w programy wydawnictw, organizatorów festiwałów, teatrów i orkiestr. Naturalnie jest to rzecz tylko dla szukających akceptacji szerszej niż w wypadku wiernych zwolenników monokultury rodzimego rynku. Ci ostatni niechby sobie trwali w wybranej przez siebie *splendid isolation*. To kulturalne prawo przysługuje im zgodnie z prawodawstwem i traktatami UE. I znajdują oni nawet publiczne wsparcie finansowe, bo w coraz większej liczbie państw członkowskich do roli kulturalnego priorytetu wydaje się aspirować duma narodowa.

**Steve Austen** jest działaczem kulturalnym, publicystą i członkiem-założycielem inicjatywy „Dać Europie duszę”. Od 1966 roku angażuje się w życie kulturalne Holandii i ogólnie Europy. Od 1987 roku jest rektorem Uniwersytetu Letniego Amsterdam-Maastricht, wykłada gościnnie na różnych uniwersytetach europejskich.



## Z niszy w światła rampy Czy targi książki mają jeszcze sens w epoce Internetu? Jakie jest ich znaczenie dla rozpowszechniania literatury europejskiej? Jak mogłyby pobudzać zainteresowanie literaturą sąsiadów? Jedno jest pewne: książka potrzebuje profesjonalnego ambasadora. *Eleftherios Ikonomou*



**K**to raz był na dwóch wielkich targach książki w Niemczech, aby zaprezentować tam książkę lub sprzedać prawa, by nawiązać kontakty albo dowiedzieć się, jakie nowości wprowadzają na rynek koledzy lub konkurencja, ten wie: targi książki wyznaczają przełomy w roku książkowym, tak jak wielkie święta w roku kalendarzowym. Najważniejsze międzynarodowe targi książki to Frankfurt i Lipsk. Stanowią one najlepszą scenę do prezentacji wszelkich aspektów literackiej produkcji i ich wymiany.

Targi książki w Niemczech to jak Boże Narodzenie i Wielkanoc dla tych, których zawód lub zainteresowania są związane z książką. Jest to niemiecka osobliwość, która polega na tym, że wydawnictwa prezentują plany wydawnicze wiosną i jesienią, a do

wprowadzenia i promowania produkcji z danego okresu służą odpowiednie targi książki; inaczej dzieje się w mojej ojczystej Grecji, gdzie wydawnictwa niemal codziennie przedstawiają na rynku nową książkę i nie są związane takimi terminami.

Minęło już trochę czasu, odkąd Grecja była gościem Targów Książki we Frankfurcie; było to w 2001 roku. Już mniej więcej dwa lata wcześniej wzrosło zainteresowanie grecką literaturą, ale w tym właśnie roku przetłumaczono z greckiego na język niemiecki około 50 tytułów. Niektóre ukazały się w małych, skromnych wydawnictwach, których pozycja w świecie prasy i dystrybucji nie pozwala na szersze upowszechnienie.

Jednak także renomowane wydawnictwa z Niemiec, Austrii i Szwajcarii okazały zainteresowanie, publikując szereg powieści, które odniosły sukces w Grecji. Na targi we Frankfurcie, a także na wieczory autorskie w całych Niemczech przyjechało wtedy ponad 50 autorów. Niemiecka prasa informowała o niektórych z nich, często pozytywnie, niekiedy krytycznie; prasa w Grecji była zachwycona. Publiczność targów pojawiła się licznie na spotkaniach autorskich, prawie zawsze można więc było mówić o pełnym sukcesie danej imprezy.

Jednak czytelnicy nie podzielili tego zachwytu. Tak przynajmniej wynikało z enuncjacji redaktorów wydawnictw, którzy z wielkim ociąganiem decydowa-

li się w następnych latach na publikowanie greckich autorów. Po 2001 roku nadal przekładano i publikowano jedynie takich autorów, jak Petros Markaris (kryminał), Ioanna Karystiani (powieść), Nikos Panagiotopoulos (science fiction, satyra) i Soti Triantafillou (kronika rodzinna).

Jedno jest jasne: euforia, jaką spowodowała mnogość przekładów przy okazji wystąpienia Grecji jako gościa targów, nie była trwała. Jednak podobnie działo się z literaturą większości krajów zapraszanych w charakterze gości na frankfurckie targi; ani Korea, ani świat arabski, Katalonia czy Turcja – a tę krótką listę można by łatwo wydłużyć – ostatecznie nie zdołały wykorzystać tych targów jako odskoczni do tego, by wzbudzić większe zainteresowanie niemieckich czytelników.

W przypadku Grecji doszedł do tego zapewne fakt, że stopniowo zmniejszało się finansowanie niezbędne do wykonywania przekładów literackich, a w czasie obecnego kryzysu gospodarczego niemal zupełnie ustało. Ale poprzestanie na stwierdzeniu tego dość rozczarującego faktu byłoby małowartościowe i jednowymiarowe. Korzyści z tak ogromnego wysiłku nie należy mierzyć tylko liczbą wypromowanych autorek i autorów.

### *A jednak nie odskocznia*

Pozostajemy przy powyższym przykładzie: targi te były inspirujące. Następne lata przyniosły wiele zmian wszystkim związanym z branżą literacką – od autorów, wydawców, dziennikarzy, działaczy kultury po polityków. Autorzy dostrzegli inne perspektywy, które nie dotyczyły już tylko greckiej rzeczywistości. Wzrosła liczba podań o stypendia, zwiększyła się integracja autorów. I na koniec zarówno dla polityki, jak

i dla mediów stało się jasne, że książka – tak jak polityka – potrzebuje profesjonalnych ambasadorów. Grecka Fundacja Kultury w Berlinie stara się dostosować działalność do tego wymogu, a targi książki we wspomnianych dwóch miastach grają oczywiście ważną rolę.

Doświadczenie pokazuje, że w Europie zainteresowanie czytelników, redaktorów i agentów literaturami spoza kręgu własnej literatury narodowej jest dość nikłe. Tylko nieliczni interesują się międzynarodowym dialogiem literackim, tylko nieliczni czytają literaturę ukazującą różnorodność poszczególnych krajów i regionów Europy. Brakuje punktów stykowych, doświadczenia i wspólnego podejścia do konfliktów w postmodernistycznym, postindustrialnym i postkolonialnym świecie. Nie powinien to być przy tym świat zdominowany przez jedną kulturę, ale przez wielokulturową różnorodność kultury europejskiej.

Tę różnorodność odzwierciedlają Targi Książki w Lipsku. Tam właśnie z okazji greckiej prezydencji w UE, sprawowanej w pierwszej połowie 2003 roku, z inicjatywy Greckiej Fundacji Kultury w Berlinie zorganizowano szereg imprez pod hasłem „Małe języki – wielkie literatury”. Od tej pory odbywają się one corocznie – od 2005 roku pod tą samą, ujednoliconą nazwą w Lipsku oraz jako „pokłosie” w Literaturwerkstatt w Berlinie.

Celem tego projektu jest wzmocnienie zainteresowania literaturami małych obszarów językowych. Zaprasza się współczesnych pisarzy z krajów europejskich, których przestrzenie językowe i kulturowe – często uchodzące za egzotyczne i omijane przez rynek literacki jako wysoce ryzykowne – są przeszkodą w przebicciu się tych pisarzy do przestrzeni niemieckojęzycznej. Pierwszy cykl imprez odbywał się jesz-

cze pod hasłem „Nowa Europa – dawne tożsamości”. Punktem wyjścia był projekt zjednoczeniowy UE, przemiana europejskiej samoświadomości i związane z tym lokalne lęki przed utratą tradycyjnych tożsamości jednostkowych i zbiorowych.

Zajmowano się wówczas antagonizmami w krajach wschodniej i południowo-wschodniej Europy, na przykład konfliktem między tradycją, z jednej strony, a nowoczesnością z jednostkowymi projektami na życie – z drugiej. Albo sporami dotyczącymi różnych narodowych interpretacji europejskiej historii. Dyskutowano także o niepewności towarzyszącej przemianom struktur politycznych, społecznych i ekonomicznych, a występującej przed załamaniem się komunizmu i po nim. Tego zadania podjęły się wspólnie przedstawicielstwa kulturalne Grecji, a także Polski, Czech, Węgier i Cypru, jako krajów aspirujących do UE, i zaprosiły autorki i autorów z tych krajów.

W następnych latach dołączyli inni partnerzy, tak że w 2008 roku w tym ponadnarodowym programie literackim uczestniczyli pisarze z Bułgarii, Chorwacji, Cypru, Czech, Estonii, Grecji, Hiszpanii (języki andaluzyjski, kataloński i baskijski), Irlandii (język celtycki), Litwy, Luksemburga, Łotwy, Malty, Polski, Rumunii, Serbii, Węgier, ze Słowacji i Słowenii. Pisarzy wybierały różne instytucje danego kraju, a prowadzący projekt dzielili ich na grupy według kryterium gatunku literackiego i tematyki. Program składał się więc z moderowanych podwójnych wykładów z wieńczącą je dyskusją panelową na forum, jak i z grupowych wieczorów autorskich w różnych miejscach Lipska, jak choćby w Haus des Buches [Dom Książki], a także w mniej eksponowanych miejscach. Celem tej serii imprez, z biegiem czasu zinstytuc-

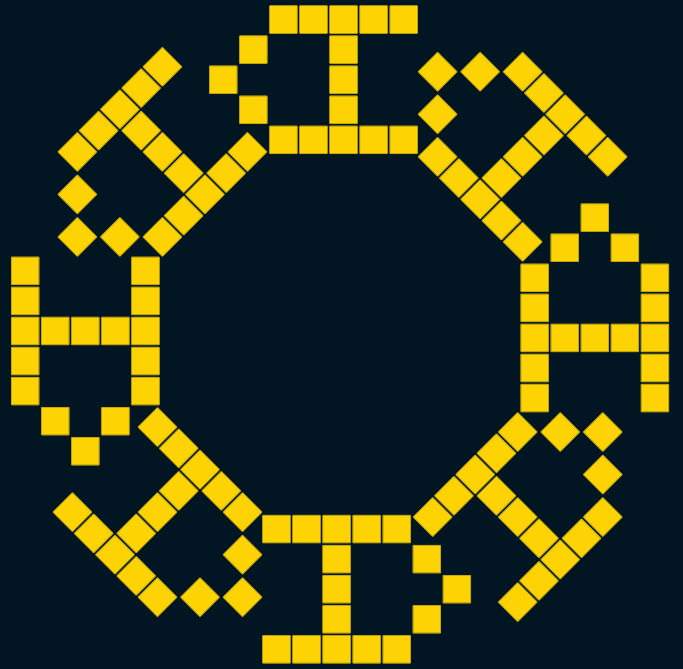
jonalizowanych, jest wzbudzenie zainteresowania wydawnictw, prasy i publiczności, a także przekierowanie ich uwagi z centrum kanonu literatur niemieckiej, anglosaskiej i romańskiej ku peryferiom, aby móc odpowiedzieć pełniej i sprawiedliwiej na pytanie o aktualną tożsamość kulturową Europy.

Kolejnym, średnioterminowym celem jest umożliwienie powstania sieci kontaktów między autorami z małych obszarów językowych i utworzenie bazy tłumaczeń wśród literatur tychże przestrzeni językowych. Bez wątplenia wpływa to pozytywnie na postrzeganie Europy jako kontynentu różnorodnego i wielojęzycznego, gdy dodatkowo małe obszary językowe są połączone ze sobą i gdy w tychże krajach czyta się nie tylko literaturę pochodzącą z dominujących obszarów kulturowych.

Planuje się także poszerzenie programu o międzynarodowe seminaria dla tłumaczy, na przykład we współpracy z Literarisches Colloquium Berlin, które wnosi niezbędne doświadczenie i które zbudowało imponującą bazę danych tłumaczy – choć tylko dla tłumaczek i tłumaczy literatury niemieckiej na inne języki.

Istotnym punktem wyjścia jest wspieranie przekładów; dystrybucja i marketing utworów literackich to kolejne główne filary. Należałoby sprawdzić możliwość wprowadzenia systemu wsparcia w całej UE, który by jednym skoncentrowanym działaniem, po myśli „literatury europejskiej”, wspierał przynajmniej częściowo elementy tak ważne dla rozpowszechniania literatury.

**Eleftherios Ikonomou** jest przewodniczącym Griechische Kulturstiftung [Greckiej Fundacji Kultury] w Berlinie.



abcdefghijklmnopqrstvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNopqrstuvwxyz  
1234567890

Piękno i jego cena Publiczność nie oczekuje już od autorów objaśniania świata ani zbudowania moralnego. Nowe pokolenie młodych pisarzy zaczepnie opowiada się za pięknym pozorem gospodarki rynkowej. Czy uprawianie literatury stanie się gałęzią przemysłu stylu życia? Jaką rolę gra tu krytyka literacka? Czy powinna oferować jedynie orientację w przebogatej ofercie? Dokąd zmierza? *Hubert Winkels*



Import anglojęzycznej literatury pięknej w Niemczech jest duży, eksport niemieckiej literatury do krajów anglosaskich zaś śladowy, a wymiana literacka w zakresie przekładów z innymi krajami europejskimi – zróżnicowana i zależy od stosunków historyczno-kulturalnych, a także od mody.

W Niemczech wzrosło zainteresowanie literaturą wschodnioeuropejską z oczywistych powodów geopolitycznych – a także dlatego, jak wierzą Niemcy, że można tam znaleźć historyczny materiał, nowatorstwo i wiele dzikiego geniuszu. Jednak i tu sytuacja jest z gruntu asymetryczna. Więcej się przyjmuje, niż eksportuje.

Te ekonomiczne terminy wydają się nieodpowiednie. I z założenia takie są. Jednakże ekonomia wdziera się na teren literatury. Można to wykazać na przykładzie

krytyki literackiej, mojego najważniejszego obszaru działania od ponad 30 lat – w gazetach i czasopismach oraz w telewizji i radiu. Mam tutaj na myśli krytykę literacką w przestarzałym, ale, powiedzmy, odpowiednio ugruntowanym historycznie patosie: w jej czystej formie. A tej – brzmi moja teza – nie zagraża różnorodność mediów sama w sobie, ale upadek obywatelskiej opinii publicznej, a tym samym także upadek wyrosłej z tej opinii formy krytyki wydarzeń kulturalnych w dyspucie i sporze.

Te zmiany spowodowała współgra dwóch tendencji: imperatywu rynku, który porzucił kulturę krytyki (a wraz z nią krytykę kultury), i pojmowania rozrywki jako empatycznego współdziałania w wydarzeniu kulturalnym – bez krytycznego wniknięcia w nie. Jedno jest jasne: mamy do czynienia z problemem historyczno-społecznym, z przemianą społeczną i kulturalną o znacznie szerszym zakresie.

Zacznę od tezy niezbyt oryginalnej, ale coraz bardziej podejrzanej: krytyka literacka, w tym esej literacki, stanowi królewską dyscyplinę dziennikarstwa zajmującego się kulturą. Oto dwa dobre po temu powody i jedna poszlaka:

Po pierwsze: krytyka jest językowo najgęstsza formą dziennikarską, bo nawiązuje do gęstości formy swego przedmiotu. Pracuje w bardzo złożonym, przeważnie historycznym układzie odniesienia i dlatego wykonuje także

niezwykłą i rozległą pracę pośredniczenia między historią a współczesnością.

Po drugie: środkami krytyki literackiej podejmuje się społecznie niezbędne, nierzadko polityczno-historyczne dysputy o samookreśleniu. Impuls wychodzi często od dzieła literackiego, krytyka przejmując tutaj rolę wzmacniacza, katalizatora i forum dla kontrowersji. Wielkie debaty z inspiracji Günтера Grassa czy Salmana Rushdiego, Aleksandra Sołżenicyna czy Christy Wolf, Maksa Frischa i Harolda Pintera, Botha Strauša, Petera Handkego, Martina Walse-  
ra czy W. G. Sebaldy – w tym nawet debata o randze nowej literatury pop – wymagają zrazu sfery argumentacji estetyczno-politycznej, właściwej krytyce. Zredukowana do wypowiedzi czysto historycznych czy społeczno-politycznych, zatracą specyficzne znaczenie formy prezentacji. Nie tylko w tekście literackim, lecz także w dyskusji, która usiłuje go zrozumieć, treść performatywna jest istotnie związana z wypowiedzią.

Po trzecie: także publicystyczna *praxis* faktycznie potwierdza pierwszorzędne znaczenie krytyki literackiej. W Niemczech duże, ambitne intelektualnie gazety wprowadziły w dziale kulturalnym albo obok niego relatywnie samodzielną redakcję literacką. Niezależne gazety literackie, na przykład amerykańskie lub brytyjskie, czy profesjonalnie przygotowywane czasopisma, jak we Francji, nie odgrywają w Niemczech prawie żadnej roli. Odczuwamy tu potrzebę nadrobienia tej zaległości, jak to pokazała międzynarodowa konferencja krytyków w

Münchener Literaturhaus w 2008 roku, i widać pierwsze próby przeorientowania się na publicystyczne standardy Zachodu. Z tym ironicznym wydźwiękiem, że jedni dążą tam, skąd innym w tym samym czasie grozi wypędzenie.

### *Test intelektualnego refleksu*

Jak wygląda współczesna praktyka krytyki? Jakie zachodzą tu przemiany? Najpopularniejsi współcześni krytycy uwzględniają w swojej pracy publiczność. Lokują czytelnika na najważniejszym miejscu w układzie współrzędnych swojej pracy. Albowiem najprzyjemniejsze zadanie to zainteresować czytelnika książką. Oczywiście są najgłębiej przekonani, że pisanie i czytanie dobrej literatury pełni także funkcję moralną, a nawet w zasadniczy sposób cywilizującą. Swoją udział w tym dziele widzą najpierw i przede wszystkim w pośredniczeniu między dziełem literackim a publicznością. Pracują tak jak inni krytycy: analitycznie, introspekcyjnie, wybierając, osądzając według reguł i smaku.

Ale rozrywkowy charakter ich własnych dokonań jest dla nich równie ważny jak skuteczne przekonanie adresata, którego adwokatami się czują. Mówiąc wprost, adwokatami jego lepszego ja. Należy do tego, tytułem próby, zastępstwo: własny intelektualny refleks i dobrze wykształcone uczucia testują najpierw odnośny produkt artystyczny. Protagonisci nastawionej na publiczność krytyki zwracają się świadomie do wielkiej publiczności, do stale jeszcze dość dużej grupy wykształconych i obeznanych ze wszystkimi mediami uczestników zinstytucjonalizowanej kultury i rozrywki. I unikają tym samym zbytniego zbliżania się do wewnętrznego dyskursu sztuki, a nierzadko także do specyficznie innowacyjnych ambicji dzieła sztuki. To jest właśnie ten przypadek, gdy w roli

Krytyce literackiej nie zagraża różnorodność mediów sama w sobie, ale upadek obywatelskiej opinii publicznej.



krytyków występują często akademicy, a także inni pisarze, jak na przykład w Wielkiej Brytanii. A jednak zarówno u nas, jak i tam można stwierdzić skłonność do emfaticznych, zwłaszcza emfaticznie afirmatywnych osądów. Po co bowiem, mówi *implycite* przewodnie pytanie, trudzić się analizą nieudanych dzieł?

Rozumie się, że taki typ krytyka, czy to kąśliwego, czy chwalczy, publiczność szczególnie sobie ceni. Zapewnia on jej w prosty sposób rozrywkę i pouczenie, a także, dziś coraz ważniejszą, orientację w coraz bardziej różnicującej się sferze estetyki i na coraz trudniejszym do przejrzania rynku książki. Nazwanie krytyka bliskiego publiczności odnoszącym sukcesy ma w sobie coś tautologicznego, gdy popularność i odpowiedni wpływ na sprzedaż książek są miernikami

Przeciwwagę do tej orientacji na publiczność tworzy orientacja na dzieło. Tu można jeszcze odróżnić krytyków, którzy widzą się raczej we wspólnocie dyskursu z literatami, od tych, których interesuje rozwój autonomicznej logiki sztuki. Tych ostatnich w Niemczech najpóźniej od początku lat 90. poważnie podejrzewa się o to, że stanowią tajne stowarzyszenie estetyczne. Wspierają, głosi potoczny zarzut, społeczną izolację ambitnej sztuki za murami quasi-religijnego tajemnego bractwa, w którym panują zupełnie osobne stosunki władzy. Te zarzuty często połączone są ze sceptycyzmem wobec innowacyjnych formalnych przemian artystycznych, których od dawna zwykli dokonywać zwłaszcza austriacy autorzy. Awangardiści z kolei zarzucają tak zwanym konserwatystom ograniczone realistyczne rozumienie literatury i nierzadko wskazują na realizm socjalistyczny jako model politycznie skompromitowany albo na literaturę XIX wieku jako anachroniczną miarę odniesienia.

Jednak to sztywne przeciwstawienie w pewnej mierze się skończyło. Z jednej strony rozwój tzw. postmodernistycznego pojmowania sztuki zadbał o to, by, przynajmniej w sensie ideału, wszystkie istniejące formy literackie stały obok siebie w równej randze, sposobne do użytku w najróżniejszych kombinacjach. W powiązaniu z tym polityczna depolaryzacja w Europie doprowadziła dość powszechnie do pewnego odprężenia w społecznym otoczeniu literatury i w niej samej. I tak, konwencjonalne formy narracyjne mogły dzięki formalnej autoironii stworzyć nową przestrzeń gry i rzeczywiście odżyły.

Z drugiej strony tendencja do igrania formą, w ostatecznym rozrachunku ta uboższa w dokonania część pięknej całości, mogła zrezygnować z bojowego nastawienia i bardziej otwarcie niż uprzednio oferować swoje podniety. Pociąg do zabawy, do rzeczy pogodnych, dowcipnych i zadziwiających znów stał się lepiej widoczny i zarazem bardziej strawny.

Także w krytyce osłabła polaryzacja, która osiągnęła szczytowy punkt na początku lat 90. wraz z wielką ofensywą obrońców rozrywki. Tutaj jednak orientacja na wymogi rynku literackiego nie działa wprost. Nie zna żadnych bezpośrednich współrzędnych publiczności. Płaci się jej niezależnie od liczby korzystających z mediów. Ponadto jej recepcja z trudem daje się zmierzyć. Mimo to krytyka twórczości literackiej jest w taki sposób skoordynowana, że problemy dotyczące tej twórczości po pewnym czasie zaczynają dotyczyć także krytyki.

Najpopularniejsi krytycy lokują czytelnika na najważniejszym miejscu w układzie współrzędnych swojej pracy.

Krytyków, których praca zorientowana jest na autora, dzieli od zwolenników autonomicznego rozwoju sztuki raczej różnica stopnia. Hipotetycznie pracują na tej samej intelektualnej i imaginacyjnej podstawie co tamci. Silniej jednak podkreślają pomysłowość autora. Jeśli nawet nie szukają biograficznego powinowactwa, to podzielają podstawowe założenia estetyczne, filozoficzne, a nierzadko także polityczne.

### *Wielka ofensywa obrońców rozrywki*

Często, ale niekoniecznie wiąże się to z przynależnością do tej samej generacji. Świadoma tożsamość pokoleniowa nie ujawniła się dopiero po daleko idącej rozbiórce politycznych ideologii w Europie, bo tę kasację skompensowało poczucie wspólnoty. W Niemczech wyraźnie zaznaczyła się już wcześniej, gdyż oddzielenie się od generacji poprzedniej, która socjalizowała się w okresie narodowego socjalizmu i II wojny światowej, pozostawiło długotrwałe głębokie pęknięcia.

Paradygmat pokolenia wzmacnia przy tym niezwykła bliskość między autorami, krytykami i innymi działaczami obszaru literatury w ściśle zinstytucjonalizowanym dniu powszednim. Jest to szczególnie widoczne w przestrzeni niemieckojęzycznej z jej stałymi odczytami w domach literatury i księgarniach, na festiwalach i konkursach literackich, nawet jeśli największy festiwal czytelniczy w Europie odbywa się w Hay on Wye w Anglii, a nie, jak się zwykło twierdzić, w Kolonii – podczas Lit.Cologne.

Najważniejszego powodu zniesienia silnej polaryzacji w obszarze literatury i w efekcie wyraźnej przewagi tradycyjnego w formie sposobu opowiadania można upatrywać w światowych wydarzeniach 1989–1991: w zniknięciu żelaznej kurtyny, która dzieliła

Europę, i w kresie ideologicznej autostylizacji dwóch zależnych od siebie systemów światopoglądowo-politycznych. Naturalnie takie polityczno-estetyczne wnioski są delikatną sprawą, zwłaszcza przy braku historycznego dystansu, ale przewyciężenie upartej i wojowniczej emfazy postępu w kwestiach polityczno-społecznych nader dobrze pasuje do postmodernistycznego pluralizmu estetycznego. Nie sposób tu przeoczyć, jeśli nie związku przyczynowo-skutkowego, to głęboko strukturalnego.

Te przemiany na pewno spowodowały zniesienie normatywnego nacisku: uwolnienie od reguł socjalistycznej poetyki na Wschodzie i od przymusu, by się radykalnie od niej odcinać. Na Zachodzie już od dawna uwalniano się od presji czy to polityczno-moralnej poprawności, czy to wojowniczo-emancypacyjnej postawy awangardowej. Teraz to uwalnianie, ściśle połączone z obszarem politycznym, doprowadziło do swoistego kryzysu orientacji.

Kryzysy wszakże oznaczają w kapitalizmie siłę napędową. Najczęściej ów ruch przeszukiwania po omacku nieprzejrzystej sytuacji odbierano jako wyzwalający, nawet jeśli pozycja czy praca artysty wydawała się nie mieć już takiej wagi jak uprzednio. Można było teraz, takie przynajmniej panowało przekonanie, robić wszystko, można było się na nowo przetasować, a krytyk mógł w tym procesie na nowo odnajdywać swoje wyróżniki i przynależności.

Ta dyferencjacja pola przyniosła ze sobą także doświadczenie marginalizacji: tyle udanych dzieł artystycznych, tyle uznania ze strony fachowców, a społeczeństwo zupełnie nie zauważa! Tak wygląda opis ówczesnej samointerpretacji kultury literackiej, a nie jej rzeczywistego stanu. Istniało poczucie wyparcia z centrum, ale w rzeczywistości była to tylko część powszechnej decentracji albo,

by wyrazić to popularnym terminem socjologicznym: dyferencjacja poszczególnych obszarów społeczeństwa.

W następstwie pojawiły się dwa na pierwszy rzut oka sprzeczne zjawiska: silne interwencje pisarzy w przestrzeń polityczno-historyczną, jakby chodziło o to, by na nowo zająć utracony teren, a po drugie, wyraźnie wzmocnione znaczenie rynku książki dla całej dziedziny literatury. Uderza od razu, jak bardzo – w pozornej sprzeczności z orientacją rynkową współczesnej kultury literackiej – zachęcano pisarzy do opisywania nowej sytuacji historycznej. Wołanie krytyki literackiej w Niemczech o tak zwaną powieść okresu przełomu stało się przysłowiowe. Pomimo że stosowne, czasem absurdalne były te żądania, jakby stawiano słuszne wymogi wychowankom; przyniosły one wprawdzie pewien efekt, ale niekoniecznie ten, o który chodziło.

I tak na przykład Günter Grass od przełomu bierze większy udział w aktualnych debatach niż dwie dekady wcześniej. Co mu się nie udało w inspirowanych ekologią i feminizmem powieściach *Turbot* i *Szczurzyca*, mianowicie estetyczne i polityczne poruszenie umysłów, to osiągnął między innymi gwałtownym odrzuceniem ponownego zjednoczenia Niemiec, krytyką jego strony prawnej, przedstawieniem całościowego historycznego procesu kształtowania się niemieckiego państwa narodowego w powieści *Rozległe pole*, a także literackim wskazaniem na cierpienia niemieckiego uciekiniera pod koniec II wojny światowej w noweli *Idąc rakiem*.

Krytyka literacka pozostała w znacznej mierze pełna rezerwy i sceptyczna. Trudno też było jej się pogodzić z oddzieleniem sfery politycznej od estetycznej, pozostała jednak, ogólnie biorąc, zorientowana na relatywną autonomię sfery estetycznej. Temu stanowisku przeciwstawia się inne, które stwierdza:

literatura jest dziś bardziej niż kiedykolwiek przedmiotem konsumpcji, tak jak reszta oferty kulturalnej. A książki, także te piękne i dobre, są przede wszystkim towarem i dopiero w drugiej kolejności ewentualnie dobrem szczególnie godnym ochrony, wartościową kulturalnie sztuką. Przy takiej argumentacji, która może się powołać przede wszystkim na faktyczną sytuację w złączonych fuzjami domach wydawniczych i wielkich krajowych sieciach księgarskich, dotykamy znowu typologii krytyków. Albowiem nie rozważyliśmy ich dotąd od jeszcze jednej strony: jako agentów rynku.

W ekonomicznie ukonstytuowanej konstelacji producent – sprzedawca – klient krytyk literacki byłby przede wszystkim agentem sprzedaży, a jego tradycyjne zadanie kształtowania smaku i opinii sprowadziłoby się do swego rodzaju funkcji kontroli jakości towaru. Tylko marginalni uczestnicy życia literackiego cieszyliby się z tego lub nawet tego żądali. Takie pobożne artystycznie skrupuły odczuwała także wspomniana już dawna literacka opinia publiczna jako prekursorka każdej, a więc także politycznej opinii publicznej w Niemczech. I długo jeszcze, aż głęboko w XIX wiek, filozofia i literatura musiały, przynajmniej na zachodzie Europy, dźwigać główny ciężar mieszczańskiej emancypacji. Jednak znaczenie rynku rośnie także dla krytyka.

Ta ekonomiczna orientacja na rynek prowadzi do dyfuzji całego pola krytyki. W tym przypadku mamy do czynienia z krytykiem, który w pełni dysponuje standardami

Tyle udanych dzieł sztuki, tyle uznania ze strony fachowców, a społeczeństwo zupełnie nie zauważa!

krytyki literackiej, ale coraz silniej pozwala sobą kierować spodziewanemu sukcesowi książki. Zna kalkulacje wydawnictw, w wypadku książek tłumaczonych zna ich sukcesy w innych krajach. Dowiaduje się, jakie zaliczki otrzymali agenci literaccy i wydawcy, i wyciąga stąd wnioski, jakie wysiłki podejmie wydawnictwo, by wprowadzić książkę na rynek i ją wypromować.

### *Rozsmakowywanie się w życiowych mądrościach*

Na pewno nie będzie otrzymywał żadnych profitów od wydawnictwa i nie będzie na to liczył, ale pozwoli się unieść fali sukcesu książki, fali, która też przecież oznacza, że mnóstwo ludzi podziela właśnie te oceny i euforyczne odczucia, te rozpoznania lub mądrości życiowe, których krytyk posmakował i które także wypracował.

Bohaterowie rynku, autorzy i bohaterowie ich powieści, są bohaterami także dla krytyka, są nimi dla niego trochę wcześniej niż dla innych. Czyż nie przyczynił się do ich popularności, czy nie należy mu się odrobina tego zbiorowego duchowego wzlotu, który budzi ambitny i popularny bestseller? Czyż nie jest on bliżej ludzi niż jego ciężko pracujący koledzy? Czyż to nie on lepiej zrozumiał – jeśli nie dzieło literackie, to jego społeczne środowisko?

Od takich wewnętrznych motywacji krytyka niedaleko już do pytania, czy rynek rzeczywiście wytwarza w sposób zróżnicowany i swobodny stale kwestionowane przez intelektualistów zbliżenie do mas, jak twierdzą jego stronnicy. A może rodzi pewnego rodzaju swingującą sferę publiczną nowego typu, napędzaną przez dystrybucję, a więc ekonomicznie, może zastępuje się demokratyczną operatywną praktykę w kulturze argumentującą krytyką analityczną

będącą rodzajem opinii publicznej? Od tego stanu krytyki literackiej daleka jest jeszcze droga, jak się zdaje, do kwestii, jak się rozwinie wymiana literacka między literaturami narodowymi w Europie. Jednak jasne jest przynajmniej tyle, że własne rozumienie i własna logika estetycznego i krytycznoliterackiego dyskursu są środkami nawigacji między kulturami – środkami uniezależniającymi od logiki sukcesu rynkowego.

Mogą one zapewnić, że literatura małych języków, literatura mniejszych wydawnictw, trudna, a więc pracochłonna w tłumaczeniu literatura w ogóle otrzyma swoją szansę. Jest to tak ważne dla ożywienia całego tego pola, że również główni agenci rynku będą musieli się zainteresować kulturą literacką uprawiającą krytykę z estetycznego punktu widzenia, niezależną, a zarazem ściśle skoordynowaną z życiem publicznym.

**Hubert Winkels** (ur. 1955) jest redaktorem działu literackiego w Deutschlandfunk. W 1988 roku wydawnictwo Rowohlt Verlag opublikowało tom jego opowiadań *Ausnahmezustand [Stan Wyjątkowy]*. Regularnie publikuje krytykę literacką w tygodniku „Die Zeit”. Wykładał gościnnie literaturę i medioznawstwo w Essen (1998) oraz krytykę literacką na uniwersytecie w Getyndze (1999/2000). W 2007 roku otrzymał nagrodę Alfred-Kerr-Preis w dziedzinie krytyki literackiej.









# Usieciowione przestrzenie Łączy ośrodki literackie w Europie, organizuje międzykulturowe spotkania i pozwala doświadczyć aktorom życia literackiego – autorom, tłumaczom, pośrednikom – różnorodności różnych kultur: HALMA, Europejska Sieć Centrów Literatury.

*Sigrid Bousset*



W ostatnim dziesięcioleciu literacki krajobraz Europy gruntownie się zmienił. Z jednej strony należy zauważyć wzrastającą komercjalizację rynku książki, z drugiej – rosnącą liczbę działających coraz bardziej profesjonalnie literackich pośredników we wszystkich częściach Europy. Za sprawą domów literatury i domów literatów, agencji literackich i festiwali literackich ugruntowują się struktury wyspecjalizowane na różnorodne sposoby w pośredniczeniu pomiędzy literaturą a czytelnikiem, między autorem a publicznością, zespołami autorskimi, tłumaczami. Tworzenie funduszy literackich w różnych państwach europejskich sprzyja wspieraniu autorów i ich tekstów: w wielu krajach autorom i tłumaczom pomaga się w pracy twórczej poprzez stypendia, ustala się strategię tłumaczeń, by propagować za

granicą literaturę danego kraju, podejmuje się wysiłki w zakresie upowszechniania dzieł literackich w kraju i za jego granicami.

W całej Europie jak grzyby po deszczu wyrastają domy literatów, domy literatury, festiwale i imprezy literackie wszelkiego rodzaju. Wskazują one na zwiększające się zainteresowanie współpracą oraz spotkaniami kultur i literatur na poziomie międzynarodowym. Pośrednicy literaccy zaangażowani w wymianę międzynarodową coraz intensywniej wykorzystują takie okazje, jak targi książki i festiwale, by spotkać się ponad granicami własnego języka i własnej literatury, dokonać uzgodnień, zainicjować wymianę, omówić wspólne programy.

W 2004 roku brukselska organizacja literacka Het Beschrijf założyła międzynarodowy dom literacki Passa Porta i zaczęła prowadzić ambitny program pobytowy dla autorów z różnych krajów. Passa Porta postawiła sobie zadanie otwierania w europejskich stolicach drzwi między językami, literaturami i kulturami. Złożone, hybrydowe i wielojęzyczne miasto Bruksela gra główną rolę we wszystkich inicjatywach Passa Porta. Ponieważ naszym biotopem i polem działania była nastawiona na międzynarodowość Bruksela, wkrótce odczuliśmy potrzebę nawiązania kontaktu z innymi domami literatury za granicą. Gdy zapoznaliśmy się – przez Literarisches Colloquium w Berlinie – z nowo powstałym projektem HALMA - siecią europejskich in-

stytucji literackich służącą powiązaniu europejskich scen kultury i literatury, podjęliśmy już pierwsze rozmowy z tym związane. HALMA, pomyślana jako platforma wymiany kulturalnej między europejskimi pisarzami, tłumaczami i pośrednikami literackimi, wydawała się wówczas zakotwiczona głównie w Europie Wschodniej. Uznaliśmy za ważne poszerzenie tego wspaniałego projektu także na Europę Zachodnią i Południową, aby w ten sposób zapewnić prawdziwą wymianę informacji, idei, autorów i tłumaczy w całej Europie.

Moje pierwsze spotkanie z członkami sieci HALMA odbyło się na wiosnę 2007 roku w serbskim miasteczku Sremski Karlovci. Spędziłam trzy dni z przedstawicielami większych i mniejszych ośrodków literackich w zupełnie dla mnie nowych miejscach: Russe, Novo Mesto, wyspa Sylt, Kraków czy Cetate nad Dunajem. Przysłuchiwałam się pisarzom, jak László Végel (i jego nostalgicznej opowieści o zniknięciu wielojęzyczności i wielokulturowości w mieście Nowy Sad), odwiedziłam wydawcę znakomitej literatury międzynarodowej pisanej cyrylicą i w alfabecie łacińskim, dowiedziałam się też więcej o problemie tożsamości literatury byłej Jugosławii. Wysłuchałam relacji przewodniczącego sieci HALMA, Krzysztofa Czyżewskiego, o jego długoletnich doświadczeniach i jego Fundacji „Pogranicze” na granicy Polski, Litwy i Białorusi, a także relacji innych kolegów, którzy z tej samej potrzeby, często w trudnych warunkach, ustawicznie pracują nad organizowaniem spotkań literatur z całej Europy i nad tworzeniem czegoś w rodzaju europejskiego obywatelstwa żywionego europejskimi tekstami i historią. Odtąd nie pominęłam ani jednego spotkania. Dopadł mnie, jak to nazwaliśmy, „duch Halmy”. Sieć HALMA uległa poszerzeniu wraz z dołączaniem nowych partnerów, głównie z Europy Za-

chodniej, i przyjęła bardziej konkretną formę: dwa razy w roku 26 ośrodków literackich spotyka się w celu omówienia wspólnych inicjatyw. Ten proces jest niemal tak samo ważny jak wynik. Pogłębiaamy gotowość słuchania, natrafiamy na podobieństwa i różnice w metodach pracy, sposobach działania, kulturalno-politycznym podłożu naszych projektów, a przede wszystkim ożywia nas nienasycone pragnienie, by poznawać nowe literatury i szukać możliwości wzajemnej współpracy przekraczającej granice.

Konkretną podstawę współdziałania autorów i domów literatury stanowi program Writers in Residence, służący wspieraniu mobilności współczesnych autorów i zarazem ułatwianiu możliwości tłumaczenia ich utworów. Pisarze bowiem zbyt często skazani są na własny krąg językowy, mają zbyt mało sposobności do poszerzania horyzontów, dostarczania swej twórczości nowych impulsów dzięki zmianie otoczenia czy zapładniania jej poznaniem innego języka, literatury i kultury. W 2010 roku ten program pobytowy ulega rozszerzeniu: dzięki europejskim funduszom HALMA może zaoferować stypendia ponad dwudziestu pisarzom. Konkretna współpraca, dotycząca też domów sieci HALMA, nabiera tym samym kształtu. Każdy dom HALMY proponuje autora, który uzyskuje możliwość każdorazowo miesięcznego pobytu w dwóch domach sieci w dwóch różnych krajach. Domy te występują jako gospodarze oraz jako pośrednicy: nawiązują kontakty między autorem a daną sceną literacką, jak też między pisarzem a zainteresowaną publicznością, inicjują współpracę z tłumaczami i pośredniczą w kontaktach z potencjalnymi wydawcami. Za każdym razem okazuje się, że pobyt stypendialny ożywia autora, inspiruje do pisania. Często powieściopisarze wracają do domu z materiałem, o którego obfitości nawet nie marzyli. Pozostawiają ślad po swoim pobycie,

po pisaniu z dala od domu, połączeniu izolacji z ekscytacją czymś nowym, uchylają rąbek zasłony okrywającej ich świat wewnętrzny. Oznacza to także poznawanie, penetrowanie nowego miejsca, bezceremonialne sięganie po jego tajemnice, korygowanie uprzedzeń lub ich potwierdzanie. Wielu pisarzy podróżuje i pisze w innym miejscu, aby odnaleźć coś, co utracili. Obecność intelektualnego i artystycznego potencjału zagranicznych autorów niezwykle wzbogaca życie literackie i kulturalne, w którym przez pewien czas uczestniczą.

Odwzajemniając się za gościnę, rezydujący autorzy często spontanicznie oferują swe pośrednictwo. Czytają literaturę goszczącego ich kraju, czerpią z niej wiedzę o nim i pomagają przy nawiązywaniu kontaktów z pośrednikami literackimi w swojej ojczyźnie: ze sceną literacką, czasopismami i wydawnictwami.

W kwietniu 2009 roku spotkanie sieci HALMA w węgierskim Balatonfüred odbywało się pod hasłem „Translating Europe”. Pięć miesięcy później, we wrześniu w słoweńskim Novo Mesto partnerzy sieci zajmowali się kwestią „What’s new in Europe?”. Na Węgrzech chodziło o zapewnienie twórczości literackiej wybranych autorów sieci możliwie najlepszych możliwości tłumaczeń i publikacji. W przyszłości HALMA ma także oferować stypendia na podróże dla tłumaczy. W ten sposób HALMA chce z czasem stworzyć wielojęzyczną bibliotekę pod hasłem „What’s new in European Literature?”. Jest zrozumiałe samo przez się, że będą w niej obowiązywały inne kryteria wyboru niż oferta kierowana *grosso modo* do europejskich czytelników przez nastawiony rynkowo świat wydawniczy.

Sieć HALMA nie podejmuje decyzji, które muszą się potwierdzić rynkowo, lecz oferuje alternatywę korygującą rynek w europej-

skiej przestrzeni literackiej, gdzie działalność translatorską nazbyt determinują interesy agentów literackich i wydawnictw, mniej kierujące się innowacją, literacką odwagą i jakością niż argumentami w rodzaju liczby sprzedanych egzemplarzy, nominacjami do komercyjnych nagród i lekkostrawnością podaży.

Literatura, którą HALMA chciałyby wysunąć na pierwszy plan, powstaje dzięki autorom zachęcanym do mobilności w przestrzeni europejskiej, do korzystania z możliwości poruszania się poza językowymi i kulturowymi granicami własnego regionu, do namysłu nad tym, co oznacza bycie pisarzem w Europie, i do ukazywania tej refleksji w swych tekstach.

HALMA – dzięki stypendiom dla autorów i tłumaczy oraz wspieraniu organizacji publicznych imprez wokół tych autorów i powstających przekładów ich dzieł – tworzy ponadnarodowy ruch służący literaturze europejskiej. Zapewnia strukturę umożliwiającą podjęcie tej ponadnarodowej współpracy. Partnerzy, spotykający się dwa razy w roku dzięki nieustającemu wsparciu Fundacji Roberta Boscha, coraz lepiej poznają ograniczenia i możliwości innych. W łonie tej solidnej struktury mogą pojawiać się i rozwijać nowe inicjatywy. Pracujemy na rzecz przyszłości, w której autorzy europejscy w oczywisty sposób włączają się w szerszy kontekst międzynarodowy, mogą być obecni w wielkich i małych obszarach językowych, na już istniejących i nowych międzynarodowych forach literackich. Tym samym wychodzimy naprzeciw głównej misji wszystkich domów stypendialnych sieci HALMA: misji otwierania drzwi między językami, literaturami i kulturami.

**Sigrid Bousset** kieruje organizacją literacką Het Beschrijf w Brukseli.

## Z dala od domu w nurcie kreatywności

Wielu pisarzy podróżuje i pisze w obcych miejscach, aby odnaleźć to coś zaginionego. W domach pracy twórczej dla stypendystów pozostawiają swoje wrażenia z pobytu, uchylają rąbka zasłony na swój świat



wewnętrzny, swoje wrażenia dotyczące pisania z dala od domu oraz w kombinacji izolacji i uroku nowości. Oznacza to również poszukiwanie, wałęsanie się, oddanie się bezwstydnie tajemnicom nowego miejsca, korygowanie lub potwierdzanie uprzedzeń.

Na górze:  
Literarisches Colloquium  
Berlin

Na dole:  
Dom Gościnny Passa Porta  
w Brukseli



## Pisanie na obczyźnie Migracja nie tylko odmieniła społeczeństwa Europy, ale zostawiła też ślad w europejskiej literaturze współczesnej. Co stanowi tak zwaną literaturę emigrantów? Jaką rolę odgrywa dziś literatura międzykulturowa? *Carmine Chiellino*



Nie jest to wcale w naszych czasach rzadki przypadek: pisarze, którzy postanawiają, że nie będą tworzyć w języku kraju urodzenia czy w języku swojej rodziny, lecz będą wyrażać swoją kreatywność w wybranym przez siebie idiomie. Wybrawszy dla *Boskiej komedii* język florencki, a nie łacinę, Dante Alighieri zapoczątkował literaturę włoską. Dzieło to jest we Włoszech niedościgłym osiągnięciem estetycznym. Wystarczy zerknąć na dzieła takich XX-wiecznych klasyków, jak Franz Kafka, Italo Svevo, Elias Canetti i Samuel Beckett, aby stwierdzić, że dla swej sztuki wybrali oni język na zasadzie swobodnej decyzji i bez gospodarczego czy politycznego przymusu.

Minione stulecie było okresem inwazji, ale także pokojowych wędrówek i migracji.

Podboje armii europejskich w koloniach Azji i Afryki, a także ruchy wojsk narodowych w trakcie I i II wojny światowej stanowią najagresywniejszą formę wnikania w obce kultury językowe i wytyczają najgorsze cezurę w narodowej historii uszkodzonych krajów. Faszyzm i stalinizm zwracały się przeciwko przeciwnikom politycznym, dysydentom i mniejszościom religijnym. Kierowały się także przeciw „obcym” wspólnotom językowym i kulturalnym w granicach własnego państwa, jak choćby przeciwko mieszkańcom południowego Tyrolu we Włoszech czy przeciwko licznym etnokulturalnym mniejszościom Rosji Radzieckiej. Uchodźcy polityczni, żołnierze powracający do ojczyzny z obu wojen światowych i późni wysiedleńcy wracający z dawnego Związku Radzieckiego do Niemiec jeszcze pod koniec XX wieku to zjawiska brutalnej historii Europy.

Po II wojnie światowej doszło do ustalonych podczas dwustronnych rozmów pokojowych migracji z południowej i wschodniej Europy, północnej Afryki i z Turcji do krajów Europy Północnej. Do państw niegdyś kolonialnych, do Wielkiej Brytanii, Francji, Portugalii, Hiszpanii czy Holandii przywędrowali imigranci z niegdysiejszych kolonii Azji i Afryki.

Nie ulega wątpliwości: przemiany gospodarcze, polityczne i społeczne mają wpływ na powstawanie sztuki i literatury. Dla



czytelnika pouczające jest poznanie autorów w ich środowisku, a ich dzieł w kontekście powstawania, jak emigracje i imigracje, wygnanie polityczne, kolonialna przemoc, postkolonializm i repatriacja. Jednak autorzy nie wynajdują sobie jakiegoś języka tylko dlatego, że znaleźli się w określonych okolicznościach historycznych. Taka zależność przyczynowo-skutkowa może, ale nie musi zachodzić.

Każdy autor, który nie pisze w macierzystym języku, ma niepowtarzalne doświadczenia i osobiste powody do wyboru swego języka pisarskiego. Liczni pisarze nie mają tu wielkiego wyboru, bo wrośli w nowy język już w szkole. Na przykład urodzony w żydowsko-arabskiej rodzinie w Tunisie francuskojęzyczny autor Albert Memmi czy Salman Rushdie, który dorastał w Bombaju w środowisku dwujęzycznym. Inny przykład to niemieckojęzyczna poetka Zehra Çirak. Wprawdzie urodziła się w Stambule, ale już jako dwulatka przybyła wraz z rodzicami do Niemiec.

### *Językowe uwiedzenie*

Aby wytłumaczyć swój wybór języka, międzykulturowi autorzy przedstawiają niekiedy oryginalne wyjaśnienia. Jedno pochodzi od Josepha Conrada. W książce *A Personal Record: Some Reminiscences* (1912) zwierza się czytelnikom: „Wierzcie mi, gdy mówię, że jeśli nie pisałbym po angielsku, to nie pisałbym wcale”.

Inni autorzy ukazują zmianę języka na idiom większości jako nieuniknioną konieczność życiową, aby być twórczym na obczyźnie. Pochodzący z Polski Conrad wydaje się wręcz „uwiedziony” przez nowy język, angielski, przy całym ryzyku, jakie wiąże się z tym dla osoby o innym języku macierzystym. Zarazem europejscy migran-

ci równie często, jeśli nie częściej, piszą w języku macierzystym.

Choć międzykulturowa literatura europejska jest słabo zbadana, można utworzyć załączek tej grupy z następujących autorów: rosyjskojęzyczny Czjngiz Ajtmatow i jego liczne powieści o ojczyście Kirgizji; niemiecki uciekinier Fred Uhlman, który napisał po angielsku krótkie powieści o okresie narodowego socjalizmu w Niemczech; już wspomniany Albert Memmi, autor powieści autobiograficznych i prawdziwy założyciel literatury międzykulturowej w języku francuskim; laureat Nagrody Nobla – V. S. Naipaul z Karaibów z powieściami po angielsku o życiu społecznym Wielkiej Brytanii oraz krajów Afryki i Azji; Hiszpan Jorge Semprún i jego pisane po francusku dzieła o zaangażowaniu w walkę z dyktaturą Franco i o deportacji do obozu koncentracyjnego Buchenwald; Hector Bianciotti, którego ojciec wyemigrował z Piemontu do Argentyny, a on sam opuścił ten kraj, by powędrować do języka francuskiego z powieściami autobiograficznymi; François Cheng z utworami po francusku o Chinach XX wieku; Salman Rushdie, który wybrał język angielski, a życie azjatyckiego przybysza w Londynie uczynił tematem swoich głównych powieści; powieściopisarka Agota Kristof, która przestawiła się z języka węgierskiego na francuski; Fleur Jaeggy z powieściami po włosku o Szwajcarii z jej dzieciństwa i z okresu pobytu w internacie; francuskojęzyczny Tahar Ben Jelloun i jego dzieło o życiu w Maroku; Theodor Kallifatides z Grecji piszący po szwedzku powieści o życiu politycznych wygnańców w Szwecji i o minionym życiu w Grecji w epoce szczególnie brutalnej dyktatury; Agustín Gómez Arcos, który uciekł od języka hiszpańskiego do francuskiego, aby ratować swój dar twórczy przed hiszpańską cenzurą; powieściopisarz Andriej Makine z



powieściami po francusku o Rosji i Rosjanach we Francji; Moses Isegawa z Ugandy piszący po angielsku powieści w Holandii, a także Gëzim Hajdari z dwujęzycznymi tomikami poezji wydawanymi po albańsku i włosku.

Jasno widać, że francuski i angielski mają dla pisarzy zmieniających język największą moc przyciągania (a nie na przykład hiszpański, portugalski czy rosyjski). Powody po temu są ogólnie znane. Są to języki państwowe Kanady, Stanów Zjednoczonych i Australii, a były językami władz kolonialnych w Afryce i Azji. Popularność angielskiego i francuskiego wiąże się też z ich pozycją na światowym rynku literackim.

Przy zmianie języka pewną rolę odgrywa jednak także stosunek narodowej literatury i instytucji kulturalnych do cudzoziemców. Choćby to, czy znajdują akceptację twórcy obcych literatur publikujący w języku danego kraju i czy są tego udane wzorce. A tutaj Francja i Wielka Brytania są bardziej otwarte i zainteresowane międzykulturowymi autorami niż inne kraje Europy. Dowodzi tego liczba autorów-immigrantów, którzy zostali przyjęci do najważniejszych instytucji literackich danego państwa, i częstość, z jaką obdarowuje się autorów międzykulturowych ważnymi nagrodami.

Niezależnie od bardzo odmiennych w różnych krajach pozycji wyjściowych – w ich powieściach, wierszach, opowiadaniach i sztukach teatralnych dają się wyróżnić wspólne estetyczne składniki i strategie narracji, wykraczające poza język i kulturę, w których powstały. Ich najwyrazistszy wspólny sens polega na kształtowaniu systemu odniesień między językiem pisanym, bohaterami i czytelnikiem. Opiera się to na fakcie, że aby dzieło i czytelnik mogli nawiązać ze sobą kontakt, muszą być obecni w jednym wspólnym języku. Dlatego sami pisarze

zmuszeni są do przedstawiania w jednym języku przebiegających w odrębnych sferach językowych etapów życia bohaterów. Muszą tak czynić, choć w trakcie powieści czy opowiadania protagonista przeżywa swoje życie w różnych językach. Z reguły twórcy literatur narodowych obdarzają swoich protagonistów życiorysem, który przebiega w granicach kulturowo-historycznej pamięci języka pisanego. Autorzy międzykulturowi, przeciwnie, wychodzą od alternatywnej standardowej sytuacji. Dają swoim bohaterom historię życia przebiegającą poprzez różne języki i najróżniejsze pamięci kulturowo-historyczne.

Tego rodzaju standardową sytuację należy rozumieć jako estetyczną podstawę międzykulturowej kreatywności, bo w utworze międzykulturowym chodzi o to, by zintegrować przebieg życia protagonistów ponad językami, kulturami, pejzażami i pokoleniami. W ten sposób twórczość międzykulturowa zostaje wzięta pod ochronę przed zniszczeniem jej przez jakieś kwestie przynależności narodowej.

Siłą rzeczy autointegracja bohatera dzięki jednemu idiomowi najłatwiej ujawnia się czytelnikom znającym języki i kultury, wśród których biegła droga życia protagonisty. Czytelnikowi jednojęzycznemu coś takiego się nie przydarzy, ale może on ze struktury dzieła rozpoznać drogę, którą musi pójść, by stać się czytelnikiem wielojęzycznym, międzykulturowym. W tych dziełach wcześniej czy później czytelnik natrafia na miejsca, z których może wyczytać, jak zachowują się wobec siebie języki bohaterów utworu. Inaczej mówiąc, dzieło daje mu sposobność poznania, jak języki międzykulturowych protagonistów torują sobie dostęp w głowie pisarza do określonego etapu życia bohatera, niezależnie od tego, w jakim języku przeżył on ten frag-

ment swojego życia. Języki bowiem zdolne są do dialogu, zanim jeszcze któryś z nich zostaje wypowiedziany czy zapisany.

Mówiąc zaś o Niemczech: RFN wniosła wkład do międzykulturowej literatury Europy nieco później, choć bez zwłoki, a to dlatego, że imigracja do Niemiec w latach powojennych przebiegała inaczej niż do europejskich krajów kolonialistów. Regulowały ją dwustronne umowy międzypaństwowe, a przede wszystkim była zaplanowana na określony czas. Z tego punktu widzenia międzykulturowa literatura w Niemczech powstała w ścisłym związku z migracją pracowniczą, a także pod silnym wpływem politycznej i zaangażowanej literatury lat 60. XX wieku. W duchu tamtych czasów rozumiano ją zrazu jako literaturę mniejszości i obłożono definicjami celu. Literatura międzykulturowa – analogicznie do literatury robotniczej i kobiecej – otrzymała natychmiast etykietkę literatury *gastarbeiterów* i *cudzoziemców*. Istotnie, debiuty literackie takich autorów, jak Aras Ören, Franco Biondi, Güney Dal, Luisa Costa Hözl, Zvonko Plepelić, Aysel Özakın, Eleni Torossi, Yüksel Pazarkaya, Lisa Mazzi-Spiegelberg, Şinasi Dikmen, Emine Sevgi Özdamar i wielu innych powstały w tworzących się wówczas wspólnotach imigranckich. W centrum ich powieści, opowiadań, wierszy, krótkich form narracyjnych i opowiadań dla dzieci stały klasyczne tematy emigrantów zarobkowych, jak na przykład sytuacja w niemie-

Literatura międzykulturowa – analogicznie do literatury robotniczej i kobiecej – otrzymała natychmiast etykietkę literatury *gastarbeiterów* i *cudzoziemców*.

ckich zakładach pracy w latach 50. i 60. XX wieku. Chodziło o trudności imigranta z adaptacją do nowego systemu społecznego, o niepewną przyszłość w kraju, który nie uważał się za nastawiony na imigrantów. W utworach tych nie brakowało jednak pierwszych prób zbliżenia między przybyszami a ludnością miejscową, czy to w postaci historii miłosnych, czy wspólnego oporu wobec trudnych warunków pracy. Solidarny udział w życiu związkowym, politycznym i społecznym RFN jest przy tym opisywany jako droga, którą muszą pójść imigranci, aby wyemancypować się i zmienić ze zwykłej siły roboczej w obywateli państwa.

Z dzisiejszego punktu widzenia można stwierdzić, że pionierzy międzykulturowej literatury w Niemczech kierowali się ściśle modelem kwitnącej wówczas literatury mniejszościowej. Ryzykowali tym utknięcie w tematycznym i estetycznym ślepych zaułku.

Dopiero pod koniec lat 80. udało się tym „autorom *gastarbeiterom*” zbliżyć w nowych utworach do tematów i rozwiązań estetycznych międzykulturowej literatury europejskiej. Przejście od literatury mniejszościowej do międzykulturowej wsparte zostało spotkaniem z dziełami innych międzykulturowych autorów w Europie, a częściowo wynikało z nabytej pewności, że społecznej ani kulturowej złożoności żadnego procesu migracyjnego nie da się sprowadzić do dnia powszedniego w zakładach pracy ani do walki o równe prawa obywatelskie.

Należy także zauważyć, że w ciągu lat 80. i 90. typologia pisarzy międzykulturowych mogła się zróżnicować dzięki nowym przybyszom. Chodzi tu o autorów, którzy zdecydowali się na tworzenie w języku niemieckim wskutek politycznego wygnania; byli wśród nich Cyrus Atabay i Said (Iran),

Adel Karasholi (Syria), Ota Filip i Libuše Moníková (Czechosłowacja) oraz György Dalos (Węgry). Osobiste pobudki i cele były z kolei decydujące dla takich autorów, jak Galsan Tschinag pochodzący z ludu Tuwa w Mongolii, Japonka Yoko Tawada, Etiopczyk Asfa-Wossen Asserate i Eleonora Hummel z Kazachstanu. Wraz z nimi odezwało się pokolenie młodych pisarzy, którzy urodzili się w innych krajach, ale w Niemczech wzrastali językowo. Wśród nich są Zafer Şenocak i Feridun Zaimoglu z Turcji, Ilija Trojanow z Bułgarii, Terézia Mora z Węgier, Sudabeh Mohafez z Iranu, Que Du Luu z Wietnamu (choć jego rodzice to Chińczycy) i Luo Lingyuan z Chin.

### *Więcej niż fotokopia*

W pokoleniu, które ma rodziców imigrantów, bardzo wczesnie pojawili się tacy autorzy, jak José F. A. Oliver, Natascha Wodkin i Selim Özdogan.

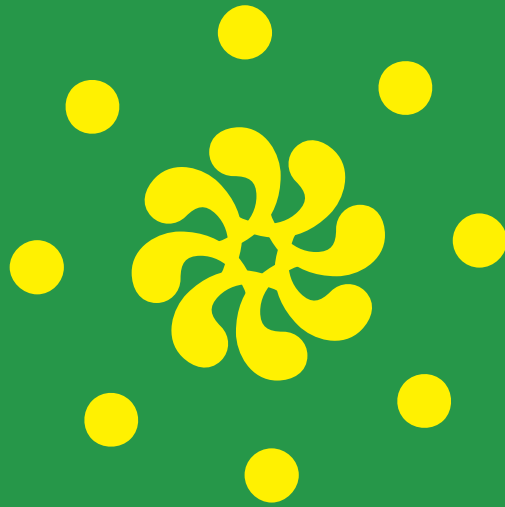
Wśród autorów „włoskich” pisarze posługujący się językiem macierzystym stanowią nawet większość. Należą do nich poeci Salvatore A. Sanna, Giuseppe Giambusso, Franco Sepe, Marcella Continanza, Cristina Alziati; powieściopisarze Marisa Fenoglio, Silvia di Natale i Cesare de Marchi. Po niemiecku piszą powieściopisarz i poeta Franco Biondi, prozaiczka i poetka Lisa Mazzi-Spiegelberg oraz performer i poeta Fruttuoso Piccolo. Także ja piszę pod nazwiskiem Gino Chiellino wiersze i eseje po niemiecku.

Międzykulturowa literatura w Niemczech zaczęła powstawać dzięki autorom, którzy zdecydowali się na karierę pisarską dopiero po przybyciu do kraju w charakterze imigrantów czy uchodźców. Odróżnia ją to od literatury międzykulturowej w języku angielskim czy francuskim: międzykulturowa literatura w języku niemieckim nie mogła

sięgać do żadnej kolonialnej polityki językowej. Międzykulturowa literatura niemiecka jest odmienna. Nie jest zobowiązana do rozrachunku ani z postkolonialnym, ani z historycznym niemieckim poczuciem winy. Spogląda przed siebie. Jej celem są międzykulturowe perspektywy Niemiec – wkład w międzykulturową przyszłość Unii Europejskiej.

Oczywiście taki cel nie został nigdzie sformułowany jako program międzykulturowej literatury w Niemczech, ale kto tworzy prozę, sztuki teatralne czy poezję z międzykulturowymi protagonistami, ten zdany jest na kształtowanie przestrzeni życia i działania bez granic w postaci języka i kultury. Dlatego międzykulturowi autorzy muszą myśleć o ponadnarodowych strukturach narracyjnych, chyba że ulegną pokusom monokulturowości, by stać się fotokopią najpopularniejszych krajowych autorów.

**Carmine Chiellino** (ur. 1946 w Carlopoli, we Włoszech) jest niemieckojęzycznym pisarzem i literaturoznawcą. Przyjechał do Niemiec w 1970 roku, po ukończeniu italianistyki i socjologii w Rzymie. Za twórczość poetycką otrzymał m.in. w 1987 roku Nagrodę im. Adalberta von Chamisso. Jest redaktorem naukowym książki *Interkulturelle Literatur in Deutschland. Ein Handbuch* (Metzler Verlag 2000). W 2003 roku objął docenturę na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, a głównym przedmiotem swoich badań uczynił poezję Chamisso.



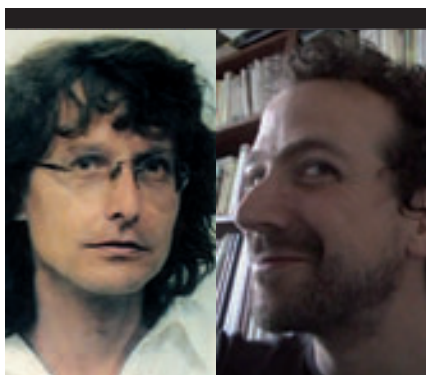
abcdefghijklmnopqrstuvwxy

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

1234567890

Uczyć się od Szwajcarów Wiele języków na małej przestrzeni: Szwajcaria udowadnia, że wspólna kultura nie musi się zatrzymywać na granicach językowych. Jak najlepiej wspierać wielojęzyczną literaturę?

*Beat Mazenauer, Francesco Biamonte*



Współeczeństwie medialnym uwaga to cenne dobro. Oferty w sferze informowania stają się coraz liczniejsze, ale ich odbiorcy nie są zdolni przyjąć więcej, niż dopuszczają ludzkie możliwości. W grze sił „ekonomii uwagi” głośnym skandalom i prostym wiadomościom często jest łatwiej. Dotyczy to także literatury. Zwłaszcza jej trudniejsze gatunki tracą już z powodu własnej złożoności. Z jednej strony literatura chciałaby się odseparować od zbyt prostych przekazów reklamowych, a z drugiej jej sferę oddziaływania ogranicza wielojęzyczność.

Dochodzi jeszcze fakt, że dzieło literackie, nadal dysponujące bogatym w symbole prestiżem, tylko warunkowo korzysta z owego szczególnego statusu, który przyznawały mu przez długi czas elity kulturalne. Książki postrzegane są raczej jako konkurujące z różnorodną ofertą kulturalną zaspokajającą wyższe wymagania.

Skutek: wydawnictwa i twórcy kultury szukają nowych strategii. Popularyzują książki czytane przez lektora, rozwijają nowe formy festiwali i wznoszą domy literatury. Zapraszają autorów i wydawnictwa z własnego kraju, a także z innych regionów językowych, aby przybliżyć literaturę możliwie licznej publiczności. Co się tyczy eksportu dzieł literackich, narzucają się dwie możliwości: po pierwsze, popularyzowanie w wielu językach, a po drugie, Internet jako medium po temu.

### *Laboratorium Szwajcaria*

Propagowanie literatury ponad granicami językowymi to trudne przedsięwzięcie, ponieważ jest ona z istoty związana z określonym językiem, który w użyciu codziennym i artystycznym odgranicza się od innych języków. Na przykładzie

wielojęzycznej Szwajcarii można stwierdzić, jak działają te mechanizmy, a także jak je przezwyciężyć.

Unia Europejska składa się dziś z dwudziestu siedmiu państw, z łączących je instytucjonalnych ram i ze wspólnego budżetu. Kulturalnie jednak Europa jest tak jak wcześniej strukturą rozdrobnioną, która jeszcze nie znalazła wspólnej tożsamości. Dwadzieścia trzy języki urzędowe pełnią zasadniczo funkcje prawodawcze i administracyjne.

Inaczej jest w Szwajcarii, która zna wprawdzie tylko cztery języki krajowe, ale wyróżnia się tym, że wielojęzyczność stanowi rdzeń szwajcarskiego „narodu kultury”. Cóż spajałoby ją razem, jeśli nie wola wielojęzycznego współistnienia? Trzy z czterech języków dzieli Szwajcaria ze swoimi większymi sąsiadami: Niemcami, Francją i Włochami, dlatego wszyscy jej obywatele, jak stwierdził w 1990 roku szwajcarski pisarz i literaturoznawca Adolf Muschg, mają „podwójne obywatelstwo”, które jest „konstytutywne dla jej «specyfiki»”.

Nawet jeśli następuje to często z konieczności, Szwajcarzy dość ochoczo przedstawiają się na inny idiom. Wewnętrzne bariery językowe są wprawdzie duże, ale nie nieprzekraczalne. Istnieje w tej mierze pewien minimalny konsens, czego dowiodło kilka ostatnich kantonalnych plebiscytów dotyczących nauki języka w szkołach. Nawet tam, gdzie się tego raczej nie spodziewano, ludność ponownie zdecydowała, że języki

narodowe muszą zachować pierwszeństwo wobec angielskiego. Jeśli nawet wzmacnia się w ten sposób tożsamość wielojęzycznej Szwajcarii, konkretne problemy wymiany językowej pozostają, rzecz jasna, poważne. Literacko języki krajowe stoją obok siebie, zawsze zwrócone w stronę centrów poza krajem: Paryża, Mediolanu czy Berlina. Jednak nawet tutaj można zaobserwować jednoczącą wolę kulturalno-polityczną.

Institucje narodowe, jak Pro Helvetia, a także prywatne fundacje i stowarzyszenia nastawione są wyraźnie na wznoszenie mostów ponad granicami językowymi. Przekłada się książki, urządza wspólne odczyty, organizuje festiwale. Szwajcarski Instytut Literatury w Biel oferuje wykłady i zajęcia w dwóch językach, po niemiecku i francusku. Oprócz tego istnieją liczne projekty literackie zajmujące się wielojęzycznością. W tym sensie Szwajcarię można uznać za europejskie laboratorium, w którym wspólna kultura nie zatrzymuje się na granicach językowych.

Poetyckie performances żywo wprowadzają literaturę na scenę, festiwale literackie dają okazję do osobistych spotkań. Przede wszystkim zaś niezwykle zwrotne, efektywne i w dodatku tanie narzędzie promowania literatury stanowi dziś Internet.

Muzyka nie potrzebuje przekładu, ale w wypadku literatury upowszechnieniu przeszkadza język. To wyjaśnia, czemu w rozległej globalnej sieci niewiele stron literackich obejmuje więcej niż dwa-trzy języki. A przecież Internet dysponuje niezmiernym potencjałem, który go wprost predestynuje do propagowania literatury: daje się uruchomić w dowolnym miejscu

Szwajcaria wyróżnia się tym, że wielojęzyczność stanowi rdzeń szwajcarskiego „narodu kultury”.



na świecie, jest elastyczny, bezpośrednio łączy ze sobą treści i pozwala na prezentację za pomocą różnych mediów: tekstu, audio i wideo. Utwory literackie można więc prezentować na najróżniejsze, a przecież ściśle ze sobą powiązane sposoby. Pozostaje jednak żywotna kwestia przekładu. Aby zapewnić minimum informacji, roztropnie byłoby streszczać i tłumaczyć zawartość treściową dzieła na inne języki. Większe teksty zaś pozostawałyby w oryginalnym języku, aby pobudzić obcojęzyczną lekturę.

Można by tu zaoponować przeciw tezie, że krytyka literacka jest niepotrzebna, gdy danej książki nie ma jeszcze w przekładzie. Aby usunąć niejasności, należałoby wyróżnić dwie grupy docelowe. Z jednej strony stoją wydawcy i projektorzy imprez literackich, którym w Internecie przedstawia się informacje na wysokim poziomie. Właśnie z dala od międzynarodowych „bestsellerów” tego rodzaju serwis mógłby wspaniale poszerzyć istniejącą sieć informacyjną.

Jak jednak pobudzić u czytelników zainteresowanie książkami, których (jeszcze) nie potrafią przeczytać w języku oryginału? Tutaj dostęp otwierałaby dobra, trafna krytyka literacka. Jorge Luis Borges stwierdza w swoich *Opowiadaniach*, że zamiast pisać 500-stronicową książkę, o której nie wie, czy będzie dobra, woli od razu napisać jej recenzję. Można także wspomnieć o eksperymencie francuskiego tygodnika „*Courrier International*”, który publikuje teksty krytyczne z całego świata, nie tyle by je polecić do lektury, ile by ukazać językowo-regionalne

charakterystyki. Jedno jest pewne: przy pośrednictwie literatury obcej chodzi też o jakość i dobór. Aby zaś pobudzić ciekawość nowych użytkowników, tego rodzaju serwis dodatkowo wymaga działającego na zmysły i poczucie estetyki rozrywkowego dopełnienia w formie obrazów, próbek dźwiękowych i wideo. Nie mniej ważne jest elastyczne, inteligentne powiązanie treści, aby pojawiały się nie tylko strukturalne zapytania, ale by rodziły się nieoczekiwane, szczęśliwe znaleziska. Efekty takich przypadkowych odkryć (efekty serendipity) wzmagają radość ze szperania w Internecie. Dlatego stanowi on większą podniętę niż książki, wymagające spokojnej lektury.

### *Czytać każdy może*

Literatura nie stanowi ani domeny elit, ani miejsca do zabawy dla laików. Czytać mogą wszyscy, dlatego wszyscy powinni współdziałać aktywnie przy jakiejś literackiej stronie internetowej: jako recenzenci czy dyskutanci na forum. Sedno problemu polega na ustaleniu takiego poziomu dostępu, by mimo całej otwartości zachować minimum poziomu jakościowego. Wiele międzynarodowych stron literackich finansują dziś wydawnictwa i księgarnie, aby zdobyć uznanie dla własnych produktów. Wartościowa strona internetowa poświęcona literaturze musi, w przeciwieństwie do sponsorowanych, pozostać neutralna i przemawiać do wszystkich zainteresowanych literaturą. A czy nie mogłoby się zdarzyć tak, że młodzież, którą trochę odstręcza od książek trady-

cyjny „porządek czytania”, odpowie pozytywnie na alternatywną ofertę tekstów literackich? Wiersze na iphonie można doskonale połączyć z obyczajami dzisiejszej młodzieży.

Czasy się zmieniają, a wraz z nimi postać czytelnika. Literatura jednak nie powinna – ani nie chce – pozostać w tyle. Spoken Word Performance i Slam Poetry z jednej strony, a Internet z drugiej potrafią budzić ducha języka – ponad granicami. Nie tworzy to jeszcze europejskiej kultury, która przecież jako taka głębiej sięga w ludzką świadomość. Może się wszakże do tego przyczynić. Kluczowe pozostają przy tym dwie rzeczy: po pierwsze, media cyfrowe i osobiste spotkania muszą się stale dopełniać, a po drugie, także przyjemność powinna wyzwalać artystyczne ambicje. Tylko jedno wraz z drugim rzeczywiście ukáže nowe perspektywy.

**Beat Mazenauer** jest redaktorem naczelnym Readme.cc.

**Francesco Biamonte** jest redaktorem naczelnym Culturactif.ch.

#### **www.readme.cc**

Readme.cc to europejska platforma literacka pobudzająca wymianę książkową w wielu językach. Jej specjalność: uczestnicy fotografują się ze swoją ulubioną książką, komentują ją i zakładają w ten sposób osobisty regał książkowy. Dlatego Readme.cc nie jest anonimowym forum internetowym, ale przestrzenią inspirującą do literackich spotkań i lekturowych niespodzianek. Regularnie tłumaczy się na różne języki rekomendacje, co warto czytać. Ponadto platforma dysponuje specjalną dokumentacją literacką.

Readme.cc, założona w 2005 roku, istnieje obecnie w dziesięciu językach (niemiecki, angielski, francuski, włoski, duński, słoweński, czeski, węgierski, arabski i hebrajski). Stronę wspiera program kulturalny Unii Europejskiej. Jej redakcja zajmuje się głównie obszarem literatury europejskiej.

#### **www.culturactif.ch**

Culturactif.ch to strona internetowa, która zajmuje się współczesną twórczością literacką w Szwajcarii. Założona w 1997 roku, od 2002 roku jest prowadzona przez Service de Presse Suisse, stowarzyszenie wspierające kontakty ponad granicami językowymi. Z biegiem lat – zbudowawszy około 2 500 stron HTML-owych – stała się wspaniałym źródłem współczesnej literatury szwajcarskiej. Kierowana przez wielojęzyczny komitet redakcyjny (francuski, włoski, niemiecki), strona ta ukazuje się głównie po francusku, regularnie jednak dołącza się tutaj artykuły włoskie i niemieckie, aby objąć całą szwajcarską literaturę. Liczne strony oferują streszczenia we wszystkich trzech językach. Oferta Culturactif.ch to co miesiąc aktualizowane rubryki: krytyka, informacje, niepublikowane jeszcze teksty.

## Językowe mocarstwo Angielski jest *lingua franca* w Europie. Autorzy brytyjscy mają językowe przywileje. Dlaczego jednak Brytyjczycy czytają tak niewiele innych europejskich autorów? *Emma House*



**A**ngielski to drugi na świecie najczęściej używany język mówiony i drugi najbardziej rozpowszechniony. W 1999 roku brytyjski socjolingwista David Graddol stwierdził, że od 1990 roku znajomość języka angielskiego na kontynencie europejskim ogromnie wzrosła. Ponad 100 milionów ludzi – a więc blisko jedna trzecia ludności Unii Europejskiej – opanowała angielski jako drugi język. Ten proces jest także skutkiem dostępności różnych form sztuki i mediów w języku angielskim: do jego globalnej popularności przyczyniły się bowiem radio, telewizja i film.

Wszystkie dzieła literackie wydane w języku angielskim – z racji języka oryginału lub przekładu na angielski – mają globalny krąg czytelników. Można to wyczytać z liczby książek eksportowanych z samej tylko

Wielkiej Brytanii do innych krajów Europy. W 2008 roku wyeksportowano stamtąd do 26 państw członkowskich UE książki o wartości ponad 799 milionów funtów. Według statystyk najważniejszym krajem eksportowym jest Republika Irlandii, tuż za nią postępują Niemcy, Holandia, Francja, Hiszpania i Włochy. W wielu krajach europejskich księgarnie oferują tytuły angielskie albo istnieją tam specjalistyczne księgarnie – w Wielkiej Brytanii tymczasem trudno nabyć obcojęzyczne książki.

Język angielski zajmuje w przekładach europejskich domów wydawniczych pozycję monopolisty. Opublikowany przez Rüdigera Wischenbarta *Diversity Report 2008* określa „angielski jako wyraźnie dominujący język oryginalny przekładów, którego udział w ciągu 15 lat wzrósł przeciętnie z 40% do 60%”. W Niemczech zakupiono w 2007 roku 6 160 praw i licencji na książki obcojęzyczne. Świat angloamerykański wysforował się daleko do przodu z udziałem w wysokości 67%. Do najważniejszych języków, z których się przekłada, obok angielskiego zalicza się francuski, a za nim włoski, hiszpański, holenderski i rosyjski w zmiennej kolejności. W 2007 roku wśród 10 najważniejszych języków oryginalnych przekładu znalazły się dwa języki skandynawskie – norweski

na ósmym miejscu i duński na dziesiątym. Nadal jednak najbardziej poszukiwani są pisarze angielscy i amerykańscy.

Istnieje niewiele wiarygodnych statystyk dotyczących przekładów pomiędzy innymi językami Europy. Wiadomo jednak, że wymiana językowa jest o wiele mniejsza, niż być powinna. Różne są po temu powody. Jedną z przyczyn jest na pewno brak tłumaczy. Oto przykład: na Słowacji bardzo produktywna tłumaczka w latach 70. i 80. XX wieku wykonywała tuziny przekładów z języka tureckiego. Gdy odeszła na emeryturę, nie znalazł się żaden następcą; najnowsze powieści Orhana Pamuka przetłumaczono na słowacki z angielskiego.

Sytuacja może się nieco zmienić, jeśli na scenie pojawią się agenci literaccy z pasją – jak Nermin Molloaglu, która reprezentuje 58 tureckich pisarzy i bardzo skutecznie sprzedaje prawa do tłumaczeń. Nie jest też niczym niezwykłym, że książkę z jakiegoś języka europejskiego (a zwłaszcza małego) przekłada się tylko na język angielski, aby poprzez ten *lingua franca* znalazła dostęp do innych europejskich języków, a nie dlatego, że wydanie w języku angielskim gwarantuje sukces komercyjny.

Jednak w minionych 30 latach literaturę rozrywkową w obszarze europejskim tłumaczono coraz powszechniej i sprzedawano z dużym powodzeniem. Każda książka np. Henninga Mankella osiąga milionowe nakłady. Książki Stiega Larssona sprzedane zostały na całym świecie w prawie 13 milionach egzemplarzy.

### *Hegemonia angielskiego*

Ogromny wybór publikacji angielskich jest rezultatem globalnej hegemonii języka angielskiego. Można by powiedzieć, że wśród ludności USA i Wiel-

kiej Brytanii panuje pewien lingwistyczny szowinizm. Połowa przekładanych tytułów europejskich wydawnictw jest w oryginale napisana po angielsku. Niekiedy aż 50% publikowanych w danym wydawnictwie książek to przekłady. Jednocześnie często cytowane badania statystyczne mówiące, że przekłady stanowią tylko 3% nowych tytułów w Wielkiej Brytanii, dobrze oddają obecny stan rzeczy. Dlaczego Europejczycy chcą czytać nas [Anglików], a my ich nie?

Dla brytyjskiego wydawnictwa opublikowanie przekładu jakiegoś tekstu oznacza koszty tłumaczenia. Zwykle współpracuje się z fachowymi redaktorami, a wydanie takiej publikacji uchodzi za o wiele bardziej ryzykowne niż publikacja oryginalnej angielskiej książki. To ryzyko, inaczej niż w praktyce wielkich domów wydawniczych z innych krajów europejskich, nie jest wliczone w model biznesowy brytyjskiego wydawcy. Skutek: w Wielkiej Brytanii literatura tłumaczona stanowi, tak jak wcześniej, znikomą mniejszość.

Często biorą na siebie to ryzyko wydawnictwa mniejsze, wyspecjalizowane, nierozporządzające środkami wielkich domów wydawniczych na kampanię reklamową. Wobec obecnej sytuacji gospodarczej – zwłaszcza w księgarstwie Wielkiej Brytanii – mniejsze wydawnictwa zmuszone są do minimalizacji swojego ryzyka. Mimo wszystko jednak w Wielkiej Brytanii w ostatnich 25 latach publikowanie przekładów bardzo się rozwinęło.

Kraje europejskie wkładają wiele energii i środków finansowych w reklamę swoich rodzimych talentów, przekłady są subwencjonowane. NORLA (Norwegia) i Fundacja na rzecz Produkcji i Przekładów Literatury

Holenderskiej to tylko dwa przykłady z tego zakresu. Stanowi to na pewno ważny czynnik dla brytyjskich wydawców podejmujących ryzyko publikacji przekładu.

W dostępie do rynku ważną rolę gra reklama. Wielkie sieci handlowe nie są zainteresowane angażowaniem się w reklamę przetłumaczonego tytułu, bo to się ekonomicznie nie opłaca. Znaczny wpływ na to, jakie przekłady odnoszą sukces, mają modne trendy. Przykładem: ponowne odkrycie Europy Wschodniej pod koniec minionego stulecia.

Wpływ na przekłady mają też wyspecjalizowane biuletyny, na przykład „New Books in German”, publikacja przedstawiająca dwa razy do roku brytyjskiemu rynkowi niemieckojęzyczną literaturę z Niemiec, Austrii i Szwajcarii. Według Börsenverein des Deutschen Buchhandels liczba praw sprzedanych do Wielkiej Brytanii na tłumaczenia wzrosła ze 103 w 2000 roku do 160 w roku 2008, choć wlicza się tutaj nie tylko literackie tytuły.

Co prawda w Wielkiej Brytanii nie ma takich wyspecjalizowanych organizacji jak NORLA, które zajęłyby się wyłącznie przekładami literatury brytyjskiej na inne języki, ale angielskich wydawców przy przekładach obcojęzycznej literatury na język angielski wspiera Arts Council England. Istnieje sporo nagród dla literatury tłumaczonej, między innymi najbardziej prestiżowa Independent Foreign Fiction Prize, która ogromnie zwiększa sprzedaż dzieł laureata i osób nominowanych. Angielski Pen Club również wspiera literaturę przekładową, a festiwale literackie stają się coraz częściej sceną dla pisarzy z innych krajów – dzięki zaangażowaniu i wpływowi na organizatorów festiwalu takich postaci, jak Rebecca Morrison z Instytutu Goethego i Swietłana Adjoubey z Academia Ros-

sica, fundacji na rzecz wspierania w Wielkiej Brytanii literatury rosyjskojęzycznej. Wydawcy wprowadzają też na rynek takie książki, których ryzyko przetłumaczenia wzięli na siebie. Bloomsbury wkrótce poszerzy swoją bibliotekę on-line o regał z wieloma przekładami po hasłem „International Fiction”.

Być może pełne pasji zaangażowanie jednostek i różnych organizacji, a także wzrastająca liczba europejskich powieściopisarzy – którzy jak Stieg Larsson czy Carlos Ruiz Zafón znajdują uznanie w szerokim kręgu czytelników – oraz poszerzony dostęp do rynku poprzez media elektroniczne zwiększą liczbę kontynentalnych autorów na rynku brytyjskim. Jednak bez zapewnienia stałych, i to znacznych, środków finansowych, bez silniejszego wsparcia ze strony księgarzy i większej obecności w brytyjskiej sferze publicznej rysuje się przed nami długa i trudna droga.

**Emma House** jest dyrektorką ds. międzynarodowych brytyjskiego Związku Wydawców.

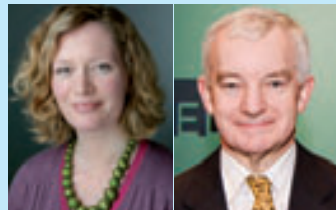
# Od czytania do komunikacji

## Rola British Council we wspieraniu stosunków kulturalnych w Europie za pośrednictwem literatury

Celem British Council jest budowa zainteresowania Wielką Brytanią i zaufania do niej dzięki wymianie wiedzy i idei między ludźmi na całym świecie. Wypełniamy to zadanie z wielką pasją, widząc w nim przeciwwagę do licznych globalnych wyzwań naszego czasu. Literatura i pisarze mogą wnieść znaczący wkład w naszą pracę, a British Council spogląda wstecz na długą i chwalebna historię, w której te wpływowo siły wspierały nasze zadanie promowania stosunków kulturalnych. Literatura dzięki swemu rozpowszechnieniu jest najbardziej skuteczną formą sztuki, gdy chodzi o przekaz znaczeń i przedstawianie alternatywnych rzeczywistości. Akt czytania czy słuchania dzieła literackiego z odmiennego kręgu kulturowego nie oznacza jednak samego tylko przekazu idei – jest to raczej forma międzynarodowej wymiany o największej jasności i prostocie. Wybitni pisarze korzystali zawsze na pobycie w innych krajach i interakcji z innymi kulturami. W wypadku Wysp Brytyjskich nie jest tajemnicą, że istotny udział w tematach utworów Szekspira mają w dużym stopniu opowieści wzięte z europejskich oryginałów. Potęgę kolektywnej twórczości angielskich poetów romantycznych nie można rozpatrywać w oddzieleniu od ich doświadczeń w XVIII-wiecznej Europie. Wydarzenia rewolucji francuskiej wpłynęły na myślenie Wordswortha i Shelleya, a Byron i Keats znaleźli kulturowe tło dla swoich zmysłowych utworów w Szwajcarii, Portugalii, Italii i Grecji. Entuzjazm minionych pokoleń wobec Grand Tour jeszcze w latach 20. XX wieku dostarczał literackiej pożywki w Paryżu. Miasto stało się kulturalnym centrum świata dla pisarzy anglojęzycznych, w szczególności z USA. Także w latach 30. natrafiamy na ślady tego entuzjazmu w literaturze brytyjskiej, by wymienić intelektualne zaangażowanie w hiszpańską wojnę domową George'a Orwell'a, Stephena Spendera i wielu innych. W drugiej połowie XX wieku brytyjską scenę literacką naznaczili niewygasła historia postkolonialną tacy pisarze, jak Doris Lessing, Salman Rushdie i Hanif Kureishi, by wymienić tylko tych troje. Te przykłady pokazują, jak na międzynarodowym podłożu powstawały wybitne dzieła literackie. W pracy British

Council przykładamy wielką wagę do tego, by wyrastać ponad własne horyzonty: oddziaływanie w obszarze stosunków kulturalnych jest z natury swej niejasno zarysowane, a nasze cele są dalekosiężne i długofalowe. Podczas pracy nad literaturą jesteśmy zainteresowani przede wszystkim bogatą grą wzajemnych oddziaływań, która powstaje z kreatywnej, osobistej i kulturalnej interakcji pisarzy z czytelnikami i pisarzami innych krajów. Dążymy do tego, aby sensownie wykorzystać, jako przyjemny produkt uboczny, owoce tej pracy – nowe dzieła i towarzyszącą im kreatywność, jaka się rodzi z powiązań między autorami i tłumaczami, wydawcami i intelektualistami, czytelnikami i przedsiębiorcami branż twórczych. British Council dysponuje w Europie niezwykle rozległym i bogatym doświadczeniem w sferze kontaktowania czytelników ze wszystkich stron kontynentu z najlepszymi brytyjskimi pisarzami. Od wielu lat odnosi sukces stały punkt naszego programu literackiego, Walberberg Seminar on Contemporary Literature, w którym bierze udział około 45 uczestników z całej Europy – wielce zróżnicowana grupa wybitnych literaturoznawców i krytyków literackich, profesorów języka angielskiego, wydawców, dziennikarzy i tłumaczy. Seminarium powołało do życia w 1986 roku niezżyjący już angielski pisarz futurolog Malcolm Bradbury. Przewodniczyli mu między innymi A.S. Byatt, Andrew Motion, Paul Muldoon i Marina Warner. W 2009 roku seminarium Walberberga odbyło się w Akademii Schmöckwitz w Berlinie i nosiło tytuł „Changing Literary Climates”. Prowadziła je Patricia Duncker, a uczestniczyli w nim tacy autorzy, jak David Edgar, James Meek, Michael Symmons Roberts, Rachel Seiffert i Simonetta Wenkert. Dla społeczności młodzieżowej w ostatnich latach British Council wraz z kadrami nauczycielskimi organizacji pracował nad rozwojem „Britlit”. Projekt ten wykorzystuje kulturalne ramy współczesnej brytyjskiej literatury do nauczania języka angielskiego. Ważnym elementem tego niezwykle udanego przedsięwzięcia dydaktycznego są spotkania z brytyjskimi autorami na lekcjach języka w szkołach całej Europy. Uczniowie w szkołach Portugalii i Włoch mieli okazję spotkać Romesha Gunesekeerę i niepowtarzalnego angielskiego autora książek dla dzieci, wyróżnionego ongiś nagrodą Children's Laureate – Michaela Rosena, którzy ukazywali im potęgę cudownych opowieści i odkrywali ogromny potencjał drzemący w twórczych tekstach. Angażujemy się też w wiele innych pro-

jektów w całej Europie, uzupełniając tym samym nasze główne programowe przedsięwzięcia. Przy rosnącej popularności festiwali literackich pracujemy nad wykorzystaniem bogatych możliwości tej wielostronnej platformy literackiego dyskursu. Przykładem są czterej szkocki pisarze, którzy w ramach partnerstwa British Council z Edinburgh Book Festival wzięli udział w 2009 roku w ukraińskim festiwalu literackim we Lwowie, lub nasza współpraca z Hay Festival, który wychodząc od swoich walijskich korzeni, zwraca się do coraz szerszej publiczności międzynarodowej, a poszerzając swój pierwotny zasięg, zdobywa europejską publiczność wraz z festiwalami w hiszpańskiej Segowii i Grenadzie. Obok tych ugruntowanych form dyskursu i wymiany powołano do życia nowe projekty, jak np. Words Converge. Tutaj liryka dzięki innowacyjnej technologii zostaje powiązana z sztuką w przestrzeni publicznej. Projekt rozwija formy prezentacji liryki za pomocą różnych platform, jak billboardy, telefony komórkowe, budynki. Wiodący młodzi poeci i artyści sztuki wizualnej z Rumunii, Izraela, Grecji, Gruzji i Wielkiej Brytanii będą korzystać z tych platform i tworzyć instalacje oparte na tekście. Dzięki naszej współpracy z międzynarodowym światem wydawniczym zwiększamy szanse na stosunki kulturalne, które zawiera w sobie kontekst gospodarczy. Na przykład programy, w których pełnimy funkcję kuratora – jak benefis Market Focus Country londyńskich Targów Książki (corocznie w kwietniu) – wspierają budowę trwałych i owocnych stosunków między narodami za pośrednictwem najpotężniejszego narzędzia: słowa pisar- nego.



**Tanya Andrews** jest dyrektorką ds. literatury w British Council.

**Patrick Hart** jest zastępcą dyrektora British Council Niemcy.







Małe i wielkie narody tłumaczy Język kataloński ma ponadtysiącletnią historię. Katalonia – i jej stolica Barcelona – jest dziś głównym centrum wydawniczym świata iberyjskiego. Udział przekładów na język kataloński, którym nadal posługuje się osiem milionów ludzi w czterech państwach, jest wysoki. *Josep Bargalló*



**N**a przełomie XIII i XIV wieku różnorodność średniowiecznej kultury romańskiej przeżyła przełom dzięki filozofowi Ramonowi Llullowi. Stworzonym w języku katalońskim dziełem przygotował on – równoległą do łacińskiej – drogę do korzystania z nowych języków: do rozpowszechniania dóbr myślowych służących teologii i publikacjom naukowym.

W tej epoce w Katalonii, tak jak i w przestrzeniach innych literatur romańskich, podjęto produkcję literacką. Poeci, jak Ausiàs March, i prozaicy, jak Joanot Martorell, którego książkę *Tirant lo Blanc* jako jedyną uratował przez spaleniem Don Kichot, zdeterminowali kulturę literacką języka katalońskiego – i zapewnili temu językowi szczególną pozycję w Europie.

Rozpowszechnienie języka katalońskiego na przestrzeni dziejów Europy, zwłaszcza w basenie Morza Śródziemnego, sprawiło, że dziś mówi nim około ośmiu milionów ludzi. Tym samym język ten swoją liczebnością przewyższył średnią wartość oficjalnych języków Unii Europejskiej. Od czterech lat jest uznawany za język roboczy i język publikacji dokumentów w niektórych obszarach działań instytucji europejskich, choć nie stanowi oficjalnego języka żadnego z państw członkowskich Unii.

W 2004 roku literatura katalońska była gościem Targów Książki w Guadalajarze (Meksyk), najważniejszych targów książki Ameryki Łacińskiej. W 2007 roku katalońska kultura stanowiła punkt ciężkości frankfurckich Targów Książki. W 2009 roku World Voices Festival w Nowym Jorku został otwarty przez katalońskiego poetę Narcísa Comadire, zaś w 2010 – poezja katalońska będzie gościem Marché de la Poésie w Paryżu.

Z całą pewnością od czasów Ramona Llulla literatura katalońska wydawała autorów i dzieła o znaczeniu uniwersalnym. Można by tu przytoczyć słynnego amerykańskiego krytyka Harolda Blooma, który pisał także o Llulli i w *The Western Canon* (1994) umieścił sześciu katalońskich pisarzy XX

wieku; są to Carles Riba, J. V. Foix, Mercè Rodoreda, Salvador Espriu, Joan Perucho i Pere Gimferrer.

Nie należy pomijać niemieckiego sukcesu przekładów powieści Jaume Cabrégo – *Les veus del Pamano* – i Marii Barbal – *Pedra de tartera* – w czasie frankfurckich Targów Książki 2007 ani znacznej liczby języków, na które przetłumaczono innych współczesnych pisarzy katalońskich, takich jak niedawno zmarły Baltasar Porcel, Quim Monzó czy Albert Sánchez Piñol.

Katalonia – i jej stolica Barcelona – to najważniejszy ośrodek wydawniczy świata iberyjskiego. Wydawnictwa katalońskie nie tylko sprzedają w całej Hiszpanii, ale także eksportują do wszystkich krajów latynoamerykańskich, w których mają ponadto filie albo udziały w tamtejszych przedsiębiorstwach. W samej Katalonii w 2006 roku wydano 30 709 tytułów, z tego 10 861 po katalońsku. Ta liczba rzuca się w oczy przede wszystkim dlatego, że rynek dla książek katalońskich jest o wiele bardziej ograniczony niż dla hiszpańskich.

#### Ogólna liczba wydań przekładów na kataloński

	2002	2003	2004
Hiszpański	628	756	854
Angielski	493	492	456
Francuski	201	197	164
Niemiecki	99	95	95
Inne	158	67	137
Ogółem	1 579	1 607	1 706

Większość tych książek to oczywiście najroźniejsze rodzaje publikacji nieliterackich.

Spojrzenie na dofinansowania przekładów prozy dla dorosłych, dramatów i poezji, przyznawane przez jedną z odpowiedzialnych za tę dziedzinę instytucji rządu katalońskiego, ukazuje szeroki zakres języków pochodzenia. Chociaż pierwsze miejsce języka angielskiego

jest oczywiste, to przekłada się (obok wielu innych języków) również z węgierskiego, portugalskiego, japońskiego, arabskiego i hebrajskiego. Godne uwagi jest to, że katalońscy wydawcy większość swoich przekładów publikują na ogół bez żadnej pomocy publicznej.

Dla Katalonii ważne jest otwarcie na kulturę światową i przyjmowanie jej we własnym języku, jednak jeszcze większą wagę ma prezentacja siebie światu zewnętrznemu. Na tej przesłance opiera się polityka kulturalna wspierająca przekłady dzieł pisanych po katalońsku. Choć na tym obszarze pracują różne instytucje, większość tego zadania przejął Instytut Ramona Llulla. Chodzi tutaj o wspólną organizację rządu Katalonii i rządu Balearów, której celem jest promowanie katalońskiego języka i katalońskiej kultury za granicą. Instytut Ramona Llulla wspiera wyłącznie przekłady z katalońskiego na inne języki. To wsparcie przypada w udziale bezpośrednio wydawnictwu odnośnego kraju.

#### Liczba wspieranych przekładów z języka katalońskiego na inne języki

	2008
Francuski	16
Hiszpański	14
Włoski	13
Portugalski	10
Niemiecki	7
Angielski	4
Grecki	3
Węgierski	3
Holenderski	3
Polski	2
Rumuński	2
Chiński	2
Chorwacki	1
Rosyjski	1
Serbski	1
Razem	82



Liczba przekładów w ostatnich latach wzrosła. Powody tego są różne, jednak widać tu wpływ frankfurckich Targów Książki 2007 z „katalońskim punktem ciężkości”. Wtedy wyraźnie przybyło przekładów, przede wszystkim na niemiecki. Przekładów na język angielski jest jednak relatywnie mało.

### *Z mostu tama*

Ten fakt dotyczy także każdego innego języka. Badania dotyczące międzynarodowej sytuacji przekładów literackich, których wyniki opublikował w 2007 roku Instytut Ramona Llulla we współpracy z amerykańskim Pen Clubem – „Ser traduit o no ser” („Być albo nie być tłumaczonym”) – jasno przedstawiają wielki problem kulturalnej globalizacji: dominujący język stawia opór recepcji innych języków i z mostu staje się tamą.

Na pytanie, jaki miałby być globalny język Europy, Umberto Eco odpowiedział kiedyś, że językiem europejskim jako takim jest przekład. Jeśli nawet brzmi to ironicznie albo jak unik przed drażliwą kwestią, to przecież jest w pełni prawdziwe. Jedyne język, który rozumieją wszyscy Europejczycy, a także wszyscy mieszkańcy świata, to ich własny język. Nawet biorąc pod uwagę angielski, widać wyraźnie, że większość mieszkańców Ziemi go nie zna, nie mówiąc o znajomości potrzebnej do obcowania z literaturą. Dlatego dla pisarza w sumie nie jest ważne, ile osób mówi językiem, w którym stworzył swoje

dzieło. Ważna jest jakość jego pisania i recepcja dzięki przekładowi na języki czytelników.

Jeśli dana kultura zamknie się na recepcję innych literatur, nigdy nie zrozumie świata w jego całości. Jednocześnie kultura, która nie ma narzędzi pozwalających jej dotrzeć do innych kultur, nie jest kompletna, bo własna egzystencja jest tylko wtedy pełna, gdy uznają ją inni. Należałoby w Europie zwracać na to jeszcze więcej uwagi.

**Josep Bargalló** jest dyrektorem Instytutu Ramona Llulla w Barcelonie.



*abcdefghijklmnopqrstuvwxyz*

*ABCDEFGHIJKLMNO<sup>☆</sup>PQRSTUVWXYZ*

*123456789<sup>☆</sup>0*



## Opóźniona duchowa zmiana systemu Brak umiejętności czytania u uczniów i zamykanie bibliotek publicznych. Co się dzieje z kulturą czytelniczną Europy? Spojrzenie na Węgry, kraj, którego wydawnictwa i księgarstwo należą do najstarszych w Europie. *László L. Simon*



**D**zisiaj około 40% Węgrów czyta przynajmniej jedną książkę rocznie. Tendencja jest jednoznacznie malejąca. W czasach reżimu komunistycznego i bezpośrednio po upadku muru regularnie po książkę sięgało 60–65% Węgrów. Na przełomie stuleci było to jeszcze około 50%. Malejąca liczba czytelników nie jest węgierską specyfiką. Na całym świecie słowo drukowane traci na znaczeniu, na co dzień coraz większą rolę odgrywają media elektroniczne. Zmieniające się systemy wartości i nadmierna podaż zliberalizowanego rynku medialnego przyczyniają się dodatkowo do coraz gorszej sytuacji tradycyjnej książki.

Porównawcze badania europejskie ukazują, że w dziedzinie konsumpcji czytelniczej Węgry lokują się w strefie środkowej. Jedynie w uczęszczaniu do bibliotek zajmują miejsce poniżej średniej europejskiej. Jeszcze inaczej wygląda statystyka posiadania książek: Węgrzy zgromadzili w swoich czterech ścianach ponadprzeciętną liczbę książek.

Finansowe cięcia rządu Ferenc Gyurcsániego, który dzierżył władzę jako premier przez prawie pięć lat do kwietnia 2009 roku, szczególnie zaciężyły na instytucjach edukacji publicznej, jak biblioteki, muzea i ośrodki kultury. Skutek: biblioteki muszą zwalniać pracowników, rezygnować z nowych zakupów i skracać godziny otwarcia. Latem 2009 roku w dużych instytucjach publicznych coraz częściej zarządzano przymusowe urlopy, między innymi także w węgierskiej Bibliotece Narodowej. Podobnie będzie w innych bibliotekach publicznych.

Sfera kultury napotyka w naszym kraju coraz większe problemy. Wymagają one ogólnonarodowych rozwiązań, zasadniczo bowiem ten stan rzeczy spowodowało samo państwo: poprzednie koalicje rządowe oddały podtrzymywanie i pielęgnowanie

kultury narodowej wyłącznie w ręce społeczeństwa. Państwo coraz bardziej się wycofywało. Zawinił tu nie tylko kryzys gospodarczy. Swoją rolę odegrały także niekompetencja odpowiedzialnych za tę dziedzinę polityków i lekceważenie przez nich kultury. Zarazem wyraźnie zwiększa się w kraju rozdziew między bogatymi a biednymi, stąd coraz mniej ludzi stać na dostęp do kultury. Środki państwowe często są dzielone niesprawiedliwie przez różne kanały administracyjne i fundacje. Większość pieniędzy płynie do stolicy, Budapesztu, i do dużych miast, a ludność na prowincji jest bardzo uszkodzona.

### *Odwrot państwa*

Podczas gdy państwo coraz bardziej się wycofuje, nikt się nie troszczy o alternatywę. Sponsoring kultury i konieczne po temu państwowe ramy nie są jeszcze na Węgrzech zbyt rozwinięte. Instytucje kulturalne kurczą się więc nadal, życie kulturalne obniża poziom, coraz mniej ludzi interesuje się kulturą. Jest to także jeden z powodów, dlaczego na Węgrzech coraz mniej się czyta.

Konsekwencje zanikającej kultury czytelniczej najwyraźniej ujawiły się w badaniu PISA z zeszłych lat; piętnastoletni węgierscy uczniowie nie wypadli zbyt

Na Węgrzech dwadzieścia lat po upadku żelaznej kurtyny nadal brakuje wielkich dzieł, które by opisały następstwa komunizmu, czyli właśnie pomogły zrozumieć ten postsocjalistyczny świat dzi-  
kiego kapitalizmu.

dobrze w badaniu umiejętności czytania i rozumienia tekstu, znajdują się w dolnej trzeciej części listy badanych krajów. Do tego dochodzi coraz większa podległość literatury duchowi czasu. Nie oferuje ona żadnych objaśnień świata i coraz rzadziej jest ważnym instrumentem edukacji moralnej i duchowej. Książka nie należy już także do pierwotnych źródeł informacji. Skutek: na Węgrzech dwadzieścia lat po upadku żelaznej kurtyny nadal brakuje wielkich dzieł, które by opisały następstwa komunizmu, czyli właśnie pomogły zrozumieć ten postsocjalistyczny świat dzi-  
kiego kapitalizmu.

Że tak być nie musi, dowodzą tego inne środkowo- i wschodnioeuropejskie kraje postkomunistyczne. Tam stworzono właśnie takie arcydzieła literackie, które pomagają zrozumieć najbliższą przeszłość i stanowią wkład w nowy autoportret danego narodu.

Nie znaczy to, że współczesna węgierska beletrystyka nie obfituje w dobre dzieła. Autorzy starają się głównie sprostać oczekiwaniom, że książka będzie zabawna. Dlatego nie powinno nas dziwić, że Imre Kertész dopiero po otrzymaniu Nagrody Nobla znalazł się wśród pięciu najlepiej sprzedających się autorów, i to wcale nie ze swoim nagrodzonym dziełem *Los utracony*. W 2003 roku sprzedano 30 000 egzemplarzy jego książki *Likwidacja*, podczas gdy pierwsze i drugie miejsce listy bestsellerów zajął publikujący pod angielskim pseudonimem László L. Lőrincz: *Siva újra táncol* (*Śiwa znów tańczy*, 140 000 egzemplarzy) i *A vérfarkasok kastélyában* (*Wilkołaki w pałacu*, 70 000 egzemplarzy). W 2004 roku

nowe książki tego samego autora znowu zajęły dwa pierwsze miejsca, podczas gdy Kertész nie zmieścił się nawet w pierwszej piątce. Zdołał tego dokonać Miklós Vámos, jedyny ambitny węgierski pisarz na liście.

Fakty te pokazują, że pisarze węgierscy, którzy zdobyli sławę na Zachodzie, w ojczyźnie nie zaliczają się do najczęściej czytanych. Oczywiście są też na Węgrzech autorzy bardzo dobrzy i poczytni, którzy prawie bezskutecznie albo z wielkim trudem przebijają się na Zachodzie. Przyczyną jest nie tylko brak zainteresowania zachodnich agencji literackich, ale także niedostateczne zaangażowanie węgierskich instytucji kulturalnych. Nowe książki zdane są wyłącznie na mechanizmy rynkowe i dobrą wolę mediów.

Dzieła pisarzy zagranicznych zajmują coraz więcej miejsca na regałach księgarń. W minionym roku przeszło połowa tytułów pochodziła z zagranicy, ich udział w liczbie sprzedanych egzemplarzy sięgnął 75%. Podczas gdy ogólnie maleje liczba sprzedawanych książek, sprzedaż dzieł węgierskich autorów zmniejsza się nieproporcjonalnie bardziej. To samo dotyczy klasycznej beletrystyki. Dzieła współczesne stanowią teraz więcej niż trzy czwarte aktualnie wydawanej literatury.

Literaturę ambitną wypierają nowe bestsellery i literatura faktu. Po zmianie systemu w 1989 roku skokowo wzrosło zainteresowanie pisarzami zza morza, takimi autorami bestsellerów i thrillerów, jak Danielle Steel, Robin Cook i Steven King.

Wcześniej wartościową literaturę współczesną czytały głównie osoby z wyższym wykształceniem, ale liczba czytelników-

intelektualistów nie wzrosła, choć w minionym dwudziestolecu na uniwersytety uczęszczało o wiele więcej młodzieży niż wcześniej.

Jak w wielu innych krajach, w ostatnich latach wielki sukces wśród młodzieży odnieśli Dan Brown z *Kodem Leonarda da Vinci* i tomy *Harry'ego Pottera* J. K. Rowling, których rocznie sprzedawano ponad 200 000 egzemplarzy.

Choć węgierskie wydawnictwa i księgarnie należą do najstarszych europejskich przedsiębiorstw branży związanej z literaturą, rynek opanowują dziś wielonarodowe firmy. Trzy koncerny nie tylko posiadają sieci handlowe, wielkie księgarnie i ogromne magazyny, lecz wykupiły także dawne, już w czasach socjalizmu słynne domy wydawnicze. Wpędziły tym w opresję małe, niezależne wydawnictwa niedysponujące własnymi kanałami dystrybucji. Firmy te muszą dziś nie tylko zmagać się z brakiem kapitału, ale także podejmować wielkie ryzyko na rynku.

Koncerny decydują, które książki przekażą małym księgarniom. Mali handlowcy są więc zdani na wielkich. Ponieważ wielonarodowe firmy dążą tylko do maksymalizacji zysku, nie przekazują dobrze się sprzedających książek do mniejszych księgarń, ale sprzedają je same. Książki, które oceniają jako mniej dochodowe, przekazują małym sklepom. Te książki to najczęściej utwory ambitne, których księgarnie nie mogą wprowadzić pod strzechy, bo brakuje im marketingu. I tak małe księgarnie nie znajdują chętnych na swoje książki.

Struktura rynku jest dziś tak zdeformowana, że zagraża to publicznej sferze kultury Węgier.

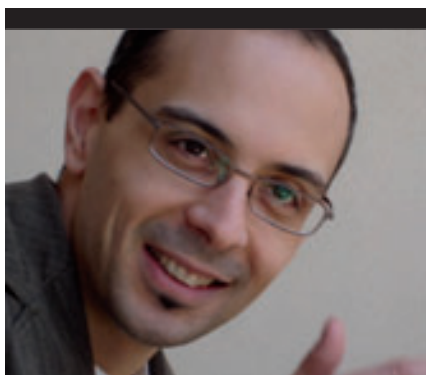
Struktura rynku jest dziś tak zdeformowana, że zagraża to publicznej sferze kultury Węgier. Ważne książki nie wchodzi do obiegu handlowego, a potencjalni czytelnicy nie wiedzą o ich istnieniu. Rząd pozwala dalej zanikać sektorowi kultury, nie dofinansowując go. Sztuka i część mediów reagują na to swego rodzaju wrogością wobec elit. Nie jest to wcale jakaś tendencja neomarksistowska, lecz raczej rozczarowanie nową elitą polityczną, która po upadku dyktatury odnowiła się tylko częściowo. Skoro nieustannie słabną szacunek dla polityki i akceptacja nowej klasy politycznej, zrozumiałe jest, że elita polityczna musi walczyć z problemami swojej prawomocności.

Przybierające na sile głosy wrogie wobec elit stanowią pożywkę dla grup politycznie radykalnych, kręgi postkomunistyczne instrumentalizują to zjawisko do własnych interesów w ścisłej współpracy z dziennikarzami i intelektualistami. Dlatego na Węgrzech dwadzieścia lat po upadku dyktatury nie można jeszcze mówić o stabilnym społecznym porządku wartości w społeczeństwie, w którym instytucje same by się regulowały i kontrolowały lub byłyby tworzone przez społeczeństwo obywatelskie.

Także w literaturze zachodzi, jak powiada pisarz János Sebeők, opóźniona duchowa zmiana systemu. W jego opinii „psychologicznie biorąc, literatura jest dziś ciągle jeszcze zjawiskiem politycznym, podczas gdy malarstwo jest sztuką. Literatura do dziś nadal jest sceną symulacyjnego rozgrywania konfliktów politycznych”.

**László L. Simon** (ur. 1972) publikuje regularnie eseje, studia i utwory beletrystyczne. Jest redaktorem socjologicznego czasopisma „Kortárs” i kuratorem w węgierskiej Műhely Galerie. W latach 1998–2004 był przewodniczącym organizacji młodych pisarzy, od 2004 roku jest sekretarzem Związku Pisarzy Węgierskich.

Długi cień Sokratesa Współcześni autorzy, idąc śladami Cervantesa i Rabelais'go, starają się na nowo odkryć korzenie powieści w Europie. Ducha humoru i ironii służącego wyrażeniu różnorodnych prawd. Tylko w taki sposób kontynent zdoła odzyskać swoją płodność w sferze kultury. *Stefano Zangrando*



**Z**adna z licznych debat wokół tak zwanych korzeni europejskich nie zmierzyła się poważnie z tą postacią sztuki literackiej, która pojawiła się w nowożytnej Europie: wraz ze sztuką powieści. Może dlatego, że powieści nie dostaje powagi, aby być korzeniem czegokolwiek. Przedstawia się ona raczej jako samotne drzewo, jak sugeruje tytuł pięknego eseju literaturoznawcy Massima Rizzantego (L'albero, Venezia 2007). Drzewo wyrosło w tym samym „królestwie opowieści”, w którym wcześniej rozwijały się klasyczna epika i inne ówczesne gatunki literackie, np. tak zwany romans grecki lub bizantyj-

ski – literatura narracyjna z I i II wieku nie nosiła jeszcze miana powieści – jak również eposy i średniowieczne powieści rycerskie. Te ostatnie nazwano „powieściami” [roman], bo spisane zostały w języku narodowym, lingua romana, w przeciwieństwie do pisarstwa uczonego, zapisanego w lingua latina. Mimo więc swobodnego ducha nowożytna powieść należy do gatunku najlepiej pozwalającego nam zrozumieć kulturę europejską.

Nowy etap powieści zaczyna się w renesansie, w epoce wielkich odkryć geograficznych i naukowych, które wytworzyły w Europejczykach zupełnie nowe poczucie względności własnego miejsca w świecie i we wszechświecie. Od początku powieść występowała jako komiczna, parodystyczna odpowiedź na kulturę oficjalną: w powieści François Rabelais'go *Gargantua i Pantagruel* (wydano w 5 tomach, 1532–1564) narrator Alcofribas Nasier (anagram imienia i nazwiska autora) wchodzi do jamy ustnej bohatera, młodego olbrzyma Pantagruela, i znajduje tam „nowy świat”; zęby jawią się jako góry, u ich stóp leżą rozległe łąki, lasy i miasta, a także wieś, której mieszkańcy zarabiają przez sen, a najwyższa stawka przypada tym, którzy

„głośno chrapią”. W *Don Kichocie* (1605, 1615) Miguela de Cervantesa zachwycony średniowiecznymi romansami rycerskimi szlachcic Alonso Quijano pod imieniem Don Quijote de la Mancha postanawia zostać błędnym rycerzem i obrońcą ubogich, wdów i sierot.

„Kiedy Bóg opuszczał z wolna miejsce, z którego sprawował władzę nad wszechświatem i jego porządkiem wartości, oddzielając dobro od zła i nadając sens każdej rzeczy, Don Kichot wyszedł ze swego domu i nie był już w stanie świata rozpoznać. Jakoż świat, pod nieobecność Najwyższego Sędziego, objawił się nagle w przerażającej wieloznaczności; boska Prawda, prawda jedyna, rozpadła się na setki prawd względnych, którymi podzielili się ludzie. Tak oto narodził się świat Czasów Nowożytnych, a wraz z nim, na jego obraz i podobieństwo, powstała powieść” [Milan Kundera, *Wzgardzone dziedzictwo Cervantesa*, przeł. M. Bieńczyk, Warszawa 1991, s.13]. Tak pisze Milan Kundera w pierwszej części książki *Sztuka powieści* (1986). Kundera to powieściopisarz, który wyróżnia się wśród swoich współczesnych teoretycznym zrozumieniem tego, co zachwala jako rzetelną i prawdziwą sztukę, a nie tylko jeden z wielu gatunków literackich. Stanowi o tym jej szczególnie pogląd na świat, pogląd ironiczny, krytyczny, prozaiczny, świadomy ontologicznej wieloznaczności ludzkich spraw i ich nieuniknionej materialności.

Nowożytna powieść należy do gatunków najlepiej pozwalających nam zrozumieć kulturę europejską.

W wykładzie, który Kundera wygłosił w 1985 roku w Jerozolimie i także zamieścił we wspomnianej książce, sięga on do innego epizodu z *Gargantui i Pantagruela*: w trzeciej księdze Panurga, najbliższego przyjaciela Pantagruela, gnębi kwestia, czy powinien się żenić. Chodzi tutaj o rozważenie tej wątpliwości z wszelkich możliwych punktów widzenia; Panurg prosi o radę niezliczonych znawców i uczonych – ale na koniec nadal nie wie, co powinien uczynić. Jaką naukę można wyciągnąć z takiego braku zdecydowania, wielce podobnego do ambiwalencji rzeczywistości, na którą Don Kichot rzutuje swój ideał rycerza? Zdaniem Kundery nauka ta to „mądrość niepewności” przejawiająca się tym, że zarówno w literaturze, jak i w życiu uczymy się radzić sobie w obliczu „ogromu prawd sobie przeczących i względnych”. Jest to mądrość będąca przeciwieństwem *ego cogitans* Kartezjusza: „Mądrość powieści jest czymś innym niż mądrość filozofii. Powieść nie zrodziła się z ducha teorii, lecz z poczucia humoru”.

### *Mądrość niepewności*

Jeśli to prawda, to nic nie jest dalsze duchowi współczesnej powieści niż heroiczna postawa bohaterów średniowiecznych powieści rycerskich czy zawierzenie woli Bożej cechujące zakochanych protagonistów z romansów greckich lub bizantyjskich – i ich autorów. Jeśli przy tym drzewo współczesnej powieści rzeczywiście należy do tego samego królestwa opowieści, co jego poprzednicy, to gdzie indziej należy szukać wzorów „poczucia humoru”.



Ortega y Gasset znalazł je, kierując się intuicją Friedricha Schlegla, i w swoich *Medytacjach o „Don Kichocie”* (1914) objaśnia powinowactwo stylistyczne Cervantesa z *Uczcią* Platona i antycznymi mitami. Pod koniec *Uczty* Arystodemos, którego zbudziło pianie koguta, zauważa, że wczorajsi goście śpią albo już poszli – z wyjątkiem Agatona, tragika, Arystofanesa, komediopisarza i Sokratesa, który prowadzi dyskusję. Arystodemos jest zbyt senny, by pamiętać szczegóły, ale przypomina sobie, „że Sokrates zmusił ich do przyznania, iż jest rzeczą jednego i tego samego twórcy umieć i tragedię napisać, i komedię ułożyć, i że kto jest artystą w tragedii, ten i komediopisarzem być potrafi” [Platon, *Uczta*, przeł. W.Witwicki, 39D]. Jednakże Arystofanes i Agaton, po pijaństwie i nocnych dyskusjach, nie mogą nadażyć za nocnym tokiem myśli Sokratesa i jeden po drugim zasypiają. Dopiero po wielu stuleciach Szekspir i Cervantes ucieleśnia opisane go przez Sokratesa „pisarza tragikomicznego”. Jeśli jednak szczęście Szekspira to majestatyczna rzeka, która płynie pod osłoną solidnej tamy przez ostatnie cztery stulecia europejskiej kultury, to jak należałoby określić to, co Kundera nazywa „wzgardzonym dziedzictwem Cervantesa” [M.Kundera, *Wzgardzone dziedzictwo Cervantesa*]?

W *Przemówieniu jerozolimskim* czeski pisarz wyjaśnia: „Jedną z klęsk Europy jest niezrozumienie najbardziej europejskiej sztuki – powieści, jej ducha, jej olbrzymiej wiedzy i odkryć, wreszcie jej niezależnej historii”. Kundera powołuje się na niedocenioną krytyczną

perspektywę powieści w porównaniu z ideologicznymi i naukowymi pewnikami, które ukształtowały współczesną kulturę europejską pod znakiem przemądrzałości i „doskonałej” wiedzy, a zbyt często lekceważyły tragikomiczne piękno ludzkiej niedoskonałości. Odtąd jednak dokonała się w Europie i na całym świecie głęboka przemiana uważana za niemal tak radykalną jak przejście od średniowiecza do renesansu.

W 1989 roku totalitarny reżim, w którym Kundera wyrastał i przed którym uciekał, załamał się i ustąpił miejsca ideologii związanej z typową dla neoliberalizmu wolnością ideową, której wpływ na jednostkę i jej wolność życia oraz myślenia był tak samo realny, jak wpływ totalitaryzmów XX wieku, choć trudniejszy do wykrycia, bo oderwany od rozpoznawalnej siły politycznej i dlatego tym trudniejszy do zwalczenia.

Na początku tego okresu naszej historii fatwa rzucona przez ajatollaha Chomeiniego na Salmana Rushdiego, oskarżonego o obrazę Boga w powieści *Szatańskie wersety*, potwierdziła rozpoznanie czeskiego powieściopisarza, a mianowicie smutny los „ducha powieści” w świecie, w którym wobec jednej jedynej prawdy nie ma już miejsca na niepewność i ambiwalencję rzeczywistości. A przecież w obu następnych dziesięcioleciach w Europie, ślepiej na jed-

Jedną z klęsk Europy jest niezrozumienie najbardziej europejskiej sztuki – powieści, jej ducha, jej olbrzymiej wiedzy i odkryć, wreszcie jej niezależnej historii.

*Milan Kundera*

no z najwartościowszych dóbr historii jej kultury i będącej pod ideologiczną presją innego rodzaju, duch powieści okazał się najlepszym środkiem zarówno do stawiania oporu, jak i do wyrażania krytycznego sumienia kulturalnego.

To sumienie o europejskim rodowdzie, które później objęło cały świat (w drugiej połowie XX wieku sztuka powieściopisarska zrodziła najpiękniejsze owoce poza Europą), wciela we wzorcowy sposób Elizabeth Costello, główna bohaterka wydanej w 2003 roku powieści Johna M. Coetzeego pod tym samym tytułem. Tytułowa postać ukazuje się po raz pierwszy w eseju Coetzeego *Żywoty zwierząt* (1999), klejnocie sztuki opowiadania. Jej umiejętność stawiania się w pozycji drugiej istoty – ludzi czy zwierząt – przypomina przyjazną, pogodną ironię, która pozwalała pierwszym nowoczesnym pisarzom zrozumieć każdą prawdę. Swoją drogą ten krótki tekst o stosowaniu przez ludzi przemocy wobec zwierząt – podstawowy aspekt współczesnego sumienia – wykazuje podobieństwa z dialogami Platona. Prawda Elizabeth jest zawsze konfrontowana z prawdą rozmówcy, tak że nikt nie może czuć się poszkodowany. W pierwszym rozdziale powieści *Elizabeth Costello*, która przyniosła Coetzeeemu Nagrodę Nobla, narrator, syn Elizabeth, mówi do kobiety, z którą spędził noc: „Myślę, że stoisz przed zagadką, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiasz, przed zagadką boskości w człowieku. Wiesz, że w mojej matce jest coś szczególnego – to cię do niej przyciąga – ale gdy ją spotykasz, okazuje się, że

jest ona zwykłą starą kobietą. Nie potrafisz pogodzić jednego z drugim” [przeł. Z. Batko, Kraków 2006]. Czy więc rozterka owej kobiety, sama będąc dzieckiem ideologicznych i naukowych pewności, nie odzwierciedla niezdolności do rozpoznania w starej Elizabeth Costello tego samego *daimona*, który władał Sokratesem?

### *Ambiwalentnie karnawałowo*

Współcześni autorzy, jak Kundera, Coetzee, Rushdie, a także Roberto Bolaño, Dubravka Ugrešić, Ingo Schulze czy Zadie Smith, potrafili zgodnie z nauką Rabelais’go i Cervantesa skonfrontować sztukę powieści z przemianą, która w ostatnich dekadach nastąpiła w Europie i na całym świecie, a której widomą niewystarczalność ujawnił obecny kryzys gospodarczy: bezprzykładne fale migracji i nagromadzenie bogactwa w rękach nielicznych, nowe formy ubóstwa i niebezpieczne odradzanie się rasizmu, manipulacja ludzkim życiem przez media i wyrodzoną w nieustający spektakl kulturę, która pogrąża się w stanie beztroski bez odniesienia do przeszłości czy przyszłości.

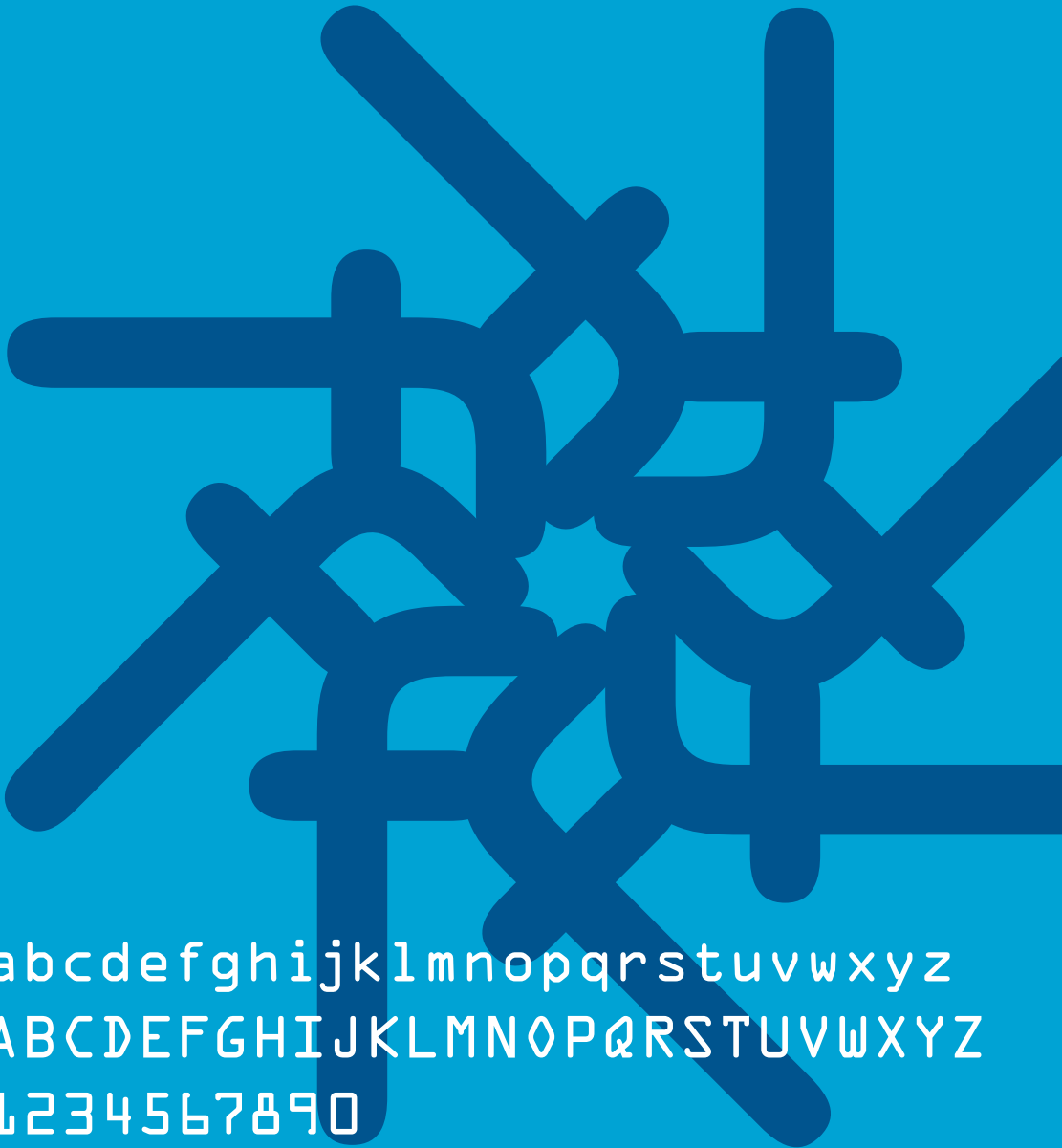
W wygłoszonym w 1946 roku, wkrótce po okrutnych wydarzeniach II wojny światowej kładących kres współczesnej Europie, wykładzie o teatrze José Ortega y Gasset powiedział: „Ciągłość to płodna koegzystencja lub, jeśli kto woli, współistnienie przeszłości i przyszłości, i jest to jedyna możliwość uniknięcia reakcyjności. Sam człowiek to ciągłość, a gdy ją przerywa (w tej mierze, w jakiej ją przerywa), znaczy to, że na chwilę przestaje być człowiekiem, że rezygnuje z siebie samego i staje się innym – starszym. To oznacza, że ów człowiek się zmienia, że w kraju zaszły zmiany. Należy się wówczas zatroszczyć, by takie zmiany przestały zachodzić, aby człowiek

znowu stał się sobą i aby mu się udało – jak zwykle to wyrażać wspaniałym słowem występującym tylko w naszej mowie – *en-simismarse*: być sobą samym”.

Dzisiejsza pluralistyczna, pełna sprzeczności, ambiwalentnie karnawałowo nastrojona Europa na pewno nie jest porównywalna z powojenną Hiszpanią. Czy jednak nasz kontynent, nacechowany stałą obecnością „totalitaryzmu konsumenckiego”, zagrożony nowym populizmem i prowadzony na manowce przez kicz wspomnienia i kult własnych blizn, nie utracił tego żywego poczucia ciągłości? Czy zarzut Kundery niezrozumienia „najbardziej europejskiej sztuki – powieści” nie jest znakiem tej utraty?

Pod koniec *Uczty o świecie* zasypiają Agaton i Arystofanes; dopiero na progu ery nowożytnej pierwsi wielcy europejscy powieściopisarze ucieleśniają opisywanego przez Sokratesa pisarza tragikomicznego. Dziś ich dziedzictwo zależy od naszej zdolności do zachowania czujności, do niezasypania wobec nieuniknionej ambiwalencji nowego globalnego dnia. W tym zaś na pewno umocni nas to, że odkryjemy na nowo i docenimy korzenie powieści w Europie oraz odnajdziemy w nich mądrość niepewności, poczucie humoru, zdolność do wypowiedziania za pomocą ironii różnorodnych prawd ożywiających Europę i cały świat. Tylko tak uda nam się być sobą i na nowo odkryć naszą zdolność do tworzenia kultury.

**Stefano Zangrando** (ur. 1973 w Bolzano, południowy Tyrol), prozaik, krytyk literacki i tłumacz. Należy do założycieli międzynarodowego seminarium o powieści (SIR) na Uniwersytecie Trento i jest redaktorem czasopisma kulturalnego „Sud”.



abcdefghijklmnopqrstuvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
1234567890

# POSTĘP EUROPA?

Europa nie może wprawdzie zobligować swoich pisarzy, ale pisarze Europy mogą zobligować Europę. Z punktu widzenia literatury: jak pisarze widzą rolę kultury w Europie? Jak definiują europejską kulturę, co odróżnia kulturę europejską od kultur narodowych? Czy może ona odegrać strategiczną rolę, aby pomóc kontynentowi w znalezieniu ciągle brakującego poczucia wspólnoty? Czy kultura w ogóle może tchnąć duszę w Europę? Jakie postępy czy regresy można w ostatnich latach zauważyć na drodze do jednej europejskiej kultury?

Jak pisarze widzą rolę  
w Europie?



le, kultura







Pośrednicy między kulturami Europa jest nierozdzielnie spleciona ze swymi sąsiadami pod względem historycznym, kulturalnym i politycznym, a tym samym wprost predestynowana do podjęcia roli pośrednika. Warto się starać o sprawiedliwy pokój na Bliskim Wschodzie, bo skorzysta na tym także przyszła Europa. Oto uwagi autora, który urodził się wśród Palestyńczyków, Kurdów, Czerkiesów, Afgańczyków, Greków, Jugosłowian i Libańczyków, a sam stał się pośrednikiem między dwoma światami. *Rafik Schami*



**D**laczego piszę to, co piszę, i dlaczego piszę tak, jak piszę? Może dlatego, że jestem pośrednikiem między światami. Pod „między światami” można by się dorozumiewać stanu, który polega na fruwaniu między kontynentami, konferencjami i kulturami. Ja jednak jestem zwierzęciem lądowym, które nie fruwa, dlatego chodzi tutaj o funkcję łącznika między częściami należącymi do jednej całości, nawet jeśli same różnią się pod wieloma względami, jak oko i ucho. Można by określić to połączenie po prostu jako most, który spaja brzegi rzeki i dotyka obu jej stron, nie należąc do żadnej z nich. Ta przynależność do różnych światów nie wymaga ode mnie żadnego wysiłku. Zapewnia ją biografia. Przyszedłem na świat jako katolik. Moi rodzice pochodzili z aramejskiej

górskiej wsi Malula, położonej 60 km na północ od Damaszku, o trzy godziny pieszego marszu z Libanu. W latach 20. XX wieku Francuzi arbitralnie wytyczyli tam granicę, i tak moja ciotka ze strony matki i mój wuj ze strony ojca stali się Libańczykami, a my pozostaliśmy Syryjczykami. Przyszedłem na świat przy ulicy zamkniętej niegdyś murami Damaszku; to stąd uciekł apostoł Paweł alias Saul. Stoї tam dziś kaplica bez ozdób, niezniszczalna jak język Pawła.

Gdyby urodziła mnie kobieta tylko 7 metrów dalej od pokoju moich rodziców, byłbym dzieckiem żydowskim, bo nasz dom graniczył od zachodu z domami ulicy żydowskiej. Gdyby urodziła mnie kobieta 14 metrów dalej, byłbym najprawdziwszym Ormianinem, bo na naszej ulicy mieszkała mała gmina ormiańska, która znalazła w Damaszku schronienie po straszliwej rzezi z lat 1915–1916. Gdyby zaś urodziła mnie inna kobieta nie dalej niż 12 metrów od naszego domu, byłbym druzem, a gdyby 14 metrów na południowy wschód, byłbym ortodoksyjnym chrześcijaninem. Gdyby moją matką została jeszcze inna kobieta 24 metry od naszego domu, należałbym do muzułmańskiej (sunnickiej) większości w moim kraju. Przypadek chciał jednak, że byłem dzieckiem właśnie mojej matki.



Musiałem się skracać, bo lista narodów w naszym sąsiedztwie, których synem mógłbym zostać, jest znacznie dłuższa. W naszym otoczeniu żyli Palestyńczycy, Kurdowie, Czerkiesi, Afgańczycy, Grecy, Jugosłowianie i Libańczycy. A wszyscy o najróżniejszej przynależności religijnej.

Każdy szczegół tego życia w Syrii i później w Niemczech pozwalał mi rozumieć obie strony. Jeśli teraz rozważę, że należę do mniejszości aramejskiej, i z całą pokorą wspomnę, iż aramejski według drzewa pochodzenia języków jest krewnym języka hebrajskiego i arabskiego, jasne będzie, czemu zawsze tak mi leżało na sercu pojednanie obu narodów, Żydów i Arabów, Palestyńczyków i Izraelczyków.

Przejdźmy teraz do pojęcia pośrednictwa. Pominąwszy znaczenia wtórne, słowo to określa czynność, którą słownik Dudena opisuje następująco: „mieć na celu pojednanie między przeciwnikami i wprowadzać «coś» między przeciwników: pośredniczyć w osiągnięciu rozejmu między prowadzącymi wojnę”.

Tu geografia gra mniejszą rolę niż zrozumienie, że działania agresywne, jak wojna, nigdy nie rozwiązują problemów, lecz tworzą nowe. Na pewno ciążył mi i ciąży stuletni konflikt Żydów z Arabami. Ale każda wojna, nawet na Falklandach, smuci mnie i gniewa, bo dowodzi prymitywnego stanu ludzkości. Ta zaś wojna między Żydami a Arabami, ze swoim globalnym

Gdyby urodziła mnie kobieta nie dalej niż 12 metrów od naszego domu, byłbym druzem, a gdyby 14 metrów na południowy wschód, byłbym ortodoksyjnym chrześcijaninem.

oddziaływaniem, należy do najniebezpieczniejszych we współczesnej historii. Oba narody samodzielnie nie wydostaną się ze spirali, w którą wpadły. Potrzebują pomocy z zewnątrz. Pomoc zaś przyniesie owoce tylko wtedy, gdy utworzy most pośredniczący między dwoma brzegami. Sam pomocnik musi pozostać na moście. Nie powinien się udawać na jedną lub drugą stronę i być ślepym na sprawy strony przeciwległej, bo w ten sposób świadomie lub nieświadomie popiera wojnę. Pokój między oboma narodami jest niepodzielny i musi zostać osiągnięty jednocześnie przez obie strony, nie może się pojawić nagle jak sensacyjna błyskawica, ale trzeba o niego z uporem walczyć. W każdej chwili możliwy jest regres. Dlatego pokój ten jest tak skomplikowany, że nie można go pozostawić samym Amerykanom, których polityka zagraniczna od dawna wprawia resztę świata w przerażenie. Widzę tutaj wielką szansę dla Europy. Europa jest najbliższym sąsiadem i dała już dowód doświadczenia podczas rozsądnych mediacji w Europie Wschodniej.

Warto występować o sprawiedliwy pokój i absolutne prawo wszystkich narodów do pokojowego życia w krajach Orientu, gdyż na tym pokoju będą korzystać także nasze dzieci i nasza przyszłość w Europie.

Mnie jednak zaprzęta – z przyczyn zawodowych – inna wojna, wojna ze słowami. Tego rodzaju wojnę prowadzą fanatycy. Niekiedy to, co wydają z siebie jako rzekomo wartościową myśl, graniczy ze śmiesznością, ale śmiech zamiera na ustach, gdy rozważy się konsekwencje. Arabscy fundamentalisci najpoważniej twierdzą, że Bóg rozumie tylko arabski. Nie wymyślili tego sami, lecz ściągnęli od ograniczonych prostych żydów,

którzy głosili, że Jahwe też jest tak prosty i rozumie tylko po hebrajsku. Cóż, można by na ten przyływ zarozumiałstwa obu narodów, żydowskiego i arabskiego, spuścić zasłonę miłosierdzia.

Oba narody są prastare, tak jak mój, aramejski. Nasze zwycięstwa to legendy i opowieści, nasze klęski to realna historia. Cóż jednak czynią nasi katolicycy fundamentaliści? Ci znowu chcą zagadywać Boga po łacinie. Moi przodkowie, Aramejczycy, byli wśród pierwszych chrześcijan, i dziś także, po niemal dwóch tysiącach lat, są jeszcze chrześcijanami. Czuję się ich reprezentantem i obserwatorem tutaj, w Europie. Nauka Jezusa, od czasu pojawienia się w Europie, przeżyła pewne, niekiedy komiczne, a niekiedy makabryczne metamorfozy.

Zamiast zająć się pilnymi sprawami, Watykan odgrzewa stare dyskusje o liturgii w języku łacińskim i tym samym ustawia się w jednym rzędzie ze wspomnianymi fundamentalistami żydowskimi i islamskimi. Jak gdyby Bóg znał tylko łacinę. U papieża wszakże mogą jeszcze pewne rzeczy zrozumieć, choć nie zaakceptować. On jest władcą, musi utrzymać swoją władzę, chciałby więc zdyscyplinować i prowadzić swoją trzodę. Jednak nie rozumiem, jak współcześni niemieccy autorzy mogą być aż tak reakcyjni, by głośno twierdzić, że do Boga trzeba znowu mówić po łacinie. Bóg rozumie nie tylko ponad 6 tysięcy języków naszej Ziemi, ale także gaworzenie niemowląt, mowę wszystkich zwierząt, szmer wody i pieśni wiatru.

Czy to żydzi, muzułmanie, czy chrześcijanie, wszyscy fundamentaliści obrażają Boga, gdy robią zeń prostaka. I co ciekawe, ilekroć Bóg rozumiał i znał tylko jedną mowę, stawał się wojownikiem. Nie, nie On, lecz fanatycy nadużywający Jego imienia, by mordować innych. Papieżowi

Widzę tutaj wielką szansę dla Europy. Europa jest najbliższym sąsiadem i dała już dowód doświadczenia podczas rozsądnych mediacji w Europie Wschodniej.

nie będę nic radził. On i jego następcy może zrozumieją, gdy liczba katolików skurczy się jeszcze radykalniej. Ale niemieckim autorom, którzy uważają Boga za łacinnika, radziłbym, by zostawili Boga w spokoju i sami zaczęli pisać swoje powieści i eseje po łacinie. Bardzo by mnie to ucieszyło, bo oszczędziliby mojemu ukochanemu językowi niemieckiemu trochę nudziarstw.

### *Wojna z językiem*

Możemy naprawdę być szczęśliwi, że w Niemczech państwo i Kościół są rozdzielone. Jedną ze szczęśliwych tego konsekwencji jest to, że takie naciski na język niemiecki nie przynoszą skutków. Inaczej jest w świecie arabskim. Tam fundamentaliści i dyktatorzy prowadzą stałą wojnę, a jej pierwszą ofiarą jest język.

Od dobrych czterech lat język arabski i pismo arabskie stoją w centrum moich zainteresowań, bo w mojej nowej powieści *Das Geheimnis des Kalligrafen* [Sekret kaligrafa] chodzi o miłość i morderstwo, a obok tego o piękny język, którego pismo i substancja są zagrożone. Przez dziesięciolecia kaligrafia była moim hobby, odkąd jako młodzienc uczyłem się jej trzy lata u sta-

rego mistrza. Temat „język” pojawiał się u mnie stale, na co może wpłynęła biografia. Aramejski to mój język macierzysty, arabski to mowa mojego dzieciństwa. Moim pierwszym językiem obcym był francuski – ze względu na dawną kolonialną władzę Francji, drugim angielski – co warunkował układ władzy na świecie. Niemiecki to mój język literacki i schronienie od 36 lat.

Dlatego ciągle narzucały mi się porównania między tymi językami. Także studia ekonomiczne i przyrodnicze otwały mi oczy na ogromne luki i słabości języka arabskiego. Aż jakoś stało się to głównym tematem moich badań. Skąd pochodzą te słabości i dlaczego nigdy nie zreformowano arabskiego języka ani pisma? Około 300 milionów osób mówi po arabsku, a za pośrednictwem islamu z pismem arabskim ma do czynienia 1,5 miliarda ludzi.

Od ponad dwunastu wieków, od ostatecznego spisania Koranu, nie było żadnej reformy, bo fundamentaliści uznali ten język za święty, a my we wszystkich krajach arabskich nie mamy rozdziału między religią a państwem. A póki tak jest, reformatorzy będą tylko pchać palce między drzwiami. Politycy w krajach arabskich to prymitywni dyktatorzy wojskowi, którzy nie mają odwagi wprowadzania jakichkolwiek reform ani najmniejszej na to ochoty. Ich zainteresowania koncentrują się wyłącznie na umacnianiu władzy ich klanu. Pozwala im na to ich bogactwo. A przecież język arabski, jak wszystkie języki, to wynalazek ludzi. Przy tym reforma nie musiałaby obejmować Koranu, miałaby tylko rozszerzyć i zreformować język codzienny. Język arabski przejawia wielkie braki

w zasobie współczesnego słownictwa, brak mu także liter, które pozwoliłyby na zapis tych nowych słów. Nie ma W, P, E ani O i dlatego nie może poprawnie oddać języków łacińskich. Gdyby Arab musiał napisać „Pablo Picasso mieszkał najpierw w Bateau Lavoisier na Montmartre w Paryżu”, miałby kłopot. Nie znajdziemy dziś artykułu z dziedziny chemii, matematyki, fizyki, ekonomii, medycyny, farmakologii, geologii, filozofii itd., który nie byłby naszpikowany łacińskimi słowami w nawiasach. Nie można także oddać niuansów języka hiszpańskiego lub chińskiego ani miękkich spółgłosek języka perskiego.

Trwająca od półwiecza arabska dyktatura plemienna nie tylko z Arabii uczyniła zacofany kraj. Wypacza także ludzi i niszczy ich język. Nienawidzi wszelkiego rozsądnego rozwoju, każdego ruchu wolnościowego. A przecież od czystej dyktatury gorszy jest jej mariaż z ropą naftową. Skutkiem – perfekcyjny demontaż kultury przy olśniewającym blasku powierzchni. Ta nędza ma komórkę, jeździ najdroższą limuzyną, a co gorsza, uważa się za cywilizowaną. Arab jest dziś w istocie bardziej zacofany niż jego przodkowie w IX czy XI wieku.

Dyktatura prowadzi wojnę z językiem przeciwko własnemu społeczeństwu, a także przeciwko samemu językowi. Niewola niszczy i zagarnia całe obszary języka, zamyka inne obszary i ogłasza sferami zakazanymi. Nierzadko wiersz jest przyczyną brutalnej kary więzienia. W taki sposób dyktatura „łamię” język. Narzuca się porównanie z więzieniem, który był przetrzymywany na odległej wyspie w całkowitej izolacji i nagle przybywa do współczesnej metropolii. Taka a nie inna jest dziś pozycja mowy arabskiej

Czuję się ich reprezentantem i obserwatorem tutaj, w Europie.



wobec zagadnień naszego czasu. Myśli zaś formują się ze słów. To spustoszenie języka nie ominęło arabskiego myślenia. Nie dziwi mnie, że liczba arabskich patentów krąży wokół zera, przy blisko 300 milionach ludzi. W całej Arabii wydaje się rocznie 35 tytułów książkowych na milion mieszkańców, z czego znaczna część to książki religijne. To katastrofa dla kultury. Dla porównania w Niemczech wydaje się ponad 700 tytułów na milion mieszkańców.

Władze stosują cenzurę i przejawiają wrogość wobec książki, czym zagrażają nie tylko dorastającym pokoleniom, które coraz bardziej stają się współczesnymi analfabetami, ale także pozycji języka arabskiego w świecie. Jest to tylko kwestia czasu – jeśli kraje arabskie nie podążą za przykładem Atatürka z 1928 roku i nie zrezygnują z alfabetu arabskiego. Atatürk w krótkim czasie zniósł tenże alfabet i kazał Turkom używać alfabetu łańcińskiego.

To, że arabski jest językiem światowym, nie jest żadną stałą fizyczną, lecz skutkiem szerokiego upowszechnienia tego języka. Jednakże dekada w naszej epoce szybkością zmian odpowiada stuleciu we wcześniejszych epokach. Jeśli arabski nadal będzie kużył za współczesnością, to rósł będzie dystans między nim a standardem, jakiego cywilizacja wymaga od języka światowego. Tylko wtedy, gdy arabski wyzwoli się z więzów dyktatury i spod pięści fundamentalistów, zasłuży na godne miejsce wśród języków Ziemi. Wszyscy ekstremiści pogardzają śmiercią, bo z jakichś względów stracili ochotę do życia. Jako powód wszakże podają coś innego, pewien szlachetny cel, który można nazwać jednym słowem: „raj”. Raj dla jednych jest doczesny, dla innych zaświatowy. Jednak w drodze do niego obie frakcje tworzą piekło na ziemi. Zapytałem sam siebie, dlaczego

kocham śmiech. Dlaczego czuję tak głęboką sympatię do Cervantesa, Woody’ego Allena i Gerharda Polta? Oczywiście wybór jest subiektywny; pewien mój sąsiad w Heidelbergu nawet Hegla uważał za zabawnego.

### *Śmieszny Hegel*

Być może kocham śmiech, bo pochodzę z prastarego ludu Aramejczyków, którzy niegdyś panowali nad całym obszarem śródziemnomorskim, a dziś rozproszeni po całym świecie żyją jako uciśniona malutka mniejszość. Gdy więc spotykam się z ważniactwem jakiejś młodej kultury, mogę się tylko śmiać. Jestem głęboko przekonany, że takie postaci bardzo często znajdowały się wśród moich przodków na dworze króla Asurbanipala, który w latach 660–630 p.n.e. władał potężnym państwem od Egiptu aż po dzisiejszą Turcję. Ten wielki król był odczytany i lubił polowania na lwy. Później stał się garstką zawierających wapń minerałów, a jeszcze później prymitywne rośliny wessały jego ostatnie ślady.

Osobliwość mojej biografii też pobudza mnie do śmiechu. Bieg mojego życia można scharakteryzować jednym hasłem: zbieracz mniejszości. To stałe życie na obrzeżu pozwala na komiczne migawkowe ujęcia większości, która wielu rzeczy nie widzi, bo porusza się w środku wiru.

### *Śmiech z rany*

Być może śmiech był próbą buntu przeciwko ciemności. W pewnym eseju nazwałem satyry arabskich pisarzy „śmiechem z rany”. W wieku 15, 16 lat odkryłem, jako chciwy słuchacz i dobrze

Byłoby kłamstwem rzec,  
że piszę i nie interesuje mnie, czy  
moja książka będzie czytana.

zapowiadający się opowiadacz, że śmiech to wyrafinowany przemytnik. Niekiedy w śmiesznej historyjce można zawrzeć więcej niż w grubych tomach poważnych autorów. Sam to wypróbowałem i wynalazłem własną mieszankę: między wesołością a smutkiem, twardością a delikatnością, kłamstwem a prawdą. I także między Orientem a Zachodem.

Gdy przyjechałem do Republiki Federalnej Niemiec, oniemiałem ze zdumienia i potrzebowałem trochę czasu, by wrócić do swego literackiego języka. Niemieckiego nauczyłem się względnie szybko, ale go nie opanowałem. Kocham go. Gdy jeszcze zadziwiła mnie współczesne społeczeństwo, szybko zrozumiałem, że w Niemczech nie traktuje się poważnie wesołej i rozrywkowej literatury. W tym kraju pozbawionego poczucia humoru autora nigdy nie podejrzewa się o to, że jest niepoważny, i jest to jeden z największych błędów współczesnej niemieckiej literatury, ponoszący odpowiedzialność także za obniżenie się pozycji literatury niemieckiej w światowym rankingu. Ta wiedza wszakże nie ułatwiała mi startu. Stałem przed wielkim problemem. Naturalnie przy pisaniu pytamy o recepcję naszej literatury. Zawsze powstaje to proste pytanie, czy przy pisaniu myślę o czytelniku. Odpowiedź brzmi „nie”, w tym sensie, że nie piszę dla kogoś specjalnego, dla krytyki literackiej lub dla określonej partii czy grupy ludzi. Byłoby wszakże kłamstwem rzec, że piszę i nie interesuje mnie, czy moja książka będzie czytana. Co więc zrobić?

Aby nie wzięto mnie za bohatera, muszę opowiedzieć troszkę o najważniejszej decyzji w mojej karierze literackiej. Wygnanie jest nie tylko gorzkie. Wygnanie daje odwagę, otwiera drogi i rany, wymaga wiele pracy, ale także garściami obdarowuje. Nigdy nie stałbym się tym pisarzem, którym jestem dzisiaj, gdybym nie przybył do Niemiec. Tutaj zaznałem wolności i demokracji, która mnie do dziś fascynuje. Za jednym zamachem umknąłem od mego plemienia, od szantażu ciotek, wujków i chrześniaków, szesnastu tajnych służb, armii państwowych pisarczyków, różnorodnych więzień i materialnej biedy. Oto pojęcie „siedmiu za jednym zamachem”, typowo niemiecka minimalizacja.

Jednak musiałem zapłacić za to wyswobodzenie, a cena była wysoka. Nie mogłem już zobaczyć najpiękniejszego miasta świata ani pochować ukochanej matki. Czegóż mógłbym się jeszcze lękać? Postanowiłem więc, ośmielony swoją wygnańczą odwagą, że będę pisał po niemiecku, tak jednak, jakbym nie żył w Niemczech i nie wiedział, iż tutaj ma się tym większe szanse na poważne potraktowanie przez świat literacki, im nudniej się pisze.

To się dziś zmieniło. Dziś weszło w modę nazywać siebie storytellerem, a krytyka ceni lekturę pełną napięcia. Wtedy, w latach 80., gdy zaczynałem swoją karierę literacką, krytycy najpoważniej chwalili niektórych autorów za to, że potrafili napisać całą powieść, nic nie opowiedziawszy.

Opowiadałem więc bajki, historyjki, satyry, snułem opowieści. Najpierw otaczał mnie nieprzenikniony mur milczenia. Ale mury zawsze mają słaby punkt i gdy się go odkryje, upadają. W moim przypa-

dku rozwiązanie brzmiało: mury milczenia upadają dzięki hałasowi. Legenda o Jerychu powstała na Wschodzie. Nie posiadałem nut biblijnej muzyki, która potrafiła burzyć mury, ale odkryłem, że Niemcy chętnie się przysłuchują, gdy coś się im opowiada. Zacząłem więc podróżować i opowiadać moje historie. Wszystkie swoje wieczory gawęd ewidencjonowałem, bo jestem dobrym podatnikiem, ale po tysiąc dwusetnym przestałem je liczyć. Było to w 1992 roku.

Teraz już rzadziej podróżuję, na jedną powieść odwiedzam tylko sto miast. Na początku miałem pięciu słuchaczy i naturalnie po siedmiogodzinnej jeździe garbusem z Heidelbergu do Hanoweru powstawało pytanie, czy to się opłaca. Ale dla tych nielicznych opowiadałem tak dobrze jak ktoś, kto chciał ich zachwycić i uczynić zwiastunami nowej literatury. I stali się najlepszymi zwiastunami. Dziś, po trzydziestu latach, nierzadko na moich odczytach siedzą obok siebie trzy pokolenia jednej rodziny.

Pomogły mi i pomagają do dziś dwa źródła energii. Jedno to przekonanie, że literatura bez czytelnika i słuchacza nie istnieje. Publiczność ofiarowuje opowiadającemu to, co ma najcenniejszego: czas. Nigdy go nie odzyska, więc próbuję sprawić, by ta strata była dla nich możliwie najmniej dostrzegalna. Drugie źródło mojej energii to niezwykła przyjemność przemieniania opowieścią osoby dorosłe w roześmiane dzieci. To jest szczęście, jakie odczuwam w sercu, a opisać go nie potrafię. Smakuje jak lody, szlachetna czekolada albo pistacje. Kto jednak chce coś osiągnąć w moim zawodzie, musi mieć cierpliwość wielbłąda, odwagę lwicy i głęboki oddech

wieloryba. Ignorowałem złośliwe komentarze towarzyszące mojemu sukcesowi. Sięgały one od nieszkodliwego „wujka bazarza”, bo poważnie traktowałem dzieci, po „babskiego ulubieńca”, gdyż mężczyzn wychowuje się w zbytnej szorstkości, wskutek czego dziś 70% moich słuchaczy to kobiety. Wszystko to mieściło się w sferze nieszkodliwych szpilek. Groźnie robi się przy „zdrajcy”, zwłaszcza że ta krytyka przychodzi najczęściej ze strony arabskiej, często od ludzi, którzy sami nie czytają ani nie rozumieją żadnej krytyki. Mówiąc szczerze, było mi obojętne, co mówili lub przemilczali inni. Jednak po spotkaniu odczuwam wielką satysfakcję, że z pomocą publiczności zdołałem pokonać wszystkie te przeszkody.

Długoletnia przyjaciółka moja i mojej literatury powiedziała mi kiedyś, że zawsze czyta moje opowieści, jakby były koniami trojańskimi. Poczuję się zdemaskowany. Ona mnie przejrzała. Żaden cud. Czyta tyle książek jak mało kto. Robi je.

Inna przyjaciółka, pisarka i malarka, przeczytała moją powieść *Die dunkle Seite der Liebe* [Ciemna strona miłości] i powiedziała mi: „Jeśli choć jeden syryjski generał przeczyta tę powieść, nie dostaniesz amnestii, tylko dożywocie”. Nawiązała do inicjatywy moich przyjaciół, którzy wówczas na próżno próbowali uzyskać ją dla mnie. Od śmierci matki nie potrzeba mi już żadnej amnestii. Ta przyjaciółka bardzo dobrze zna moje książki. Jest pierwszą czytelniczką wszystkich moich utworów.

Kto jednak chce coś osiągnąć w moim zawodzie, musi mieć cierpliwość wielbłąda, odwagę lwicy i głęboki oddech wieloryba.

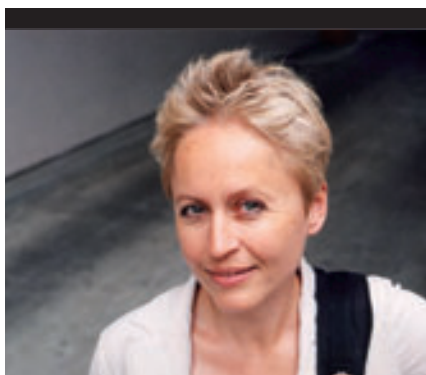
Jest moją żoną. Pomyślałem sobie, że obie kobiety rozpoznały to drugie dno, bo są bardzo mądre i odcytane. Ale wkrótce dowiedziałem się, że także mniej mądrzy i ledwie umiejący czytać wrogowie przejrzelili mnie i wypowiedzieli mi nieubłaganą wojnę. Żaden autor nie rozkoszuje się tak jak ja wrogością ze strony dyktatury i jej dworskich poetów. Czyż naziści nie traktowali książek poważniej niż humaniści? Czyż nie palili barbarzyńsko także utworów, które w humanistycznych kręgach wyśmiewano?

Powoli dochodziłem do wniosku, że słowa nie nadają się do budowy koni trojańskich. Są przezroczyste jak szkło. Na chwilę i przy korzystnym odzwierciedleniu śmiechu mogą coś ukryć, ale po pewnym czasie każdy rozpozna przesłanie literatury. Opowieść, która nie zdradza swoich tajemnic przy powtórnym, uważnym czytaniu – nie ma ich.

Moja nowa powieść nie jest książką polityczną. Nosi tytuł *Das Geheimnis des Kalligrafen* i rozgrywa się w latach 1954–1958. Chodzi tylko o miłość i tajemnicę kaligrafa, która doprowadzi go do ruiny. Świadomie wybrałem jedyny długi okres demokracji w moim kraju, bo chciałem raz spokojnie napisać powieść, nie włączając w to polityki. Od wiosny 1954 roku do unii z Egiptem w lutym 1958 roku trwała najdłuższa faza wolności mego kraju. Funkcjonowała demokracja parlamentarna z wieloma partiami i gazetami. Nikt nie siedział w więzieniu za poglądy. To był cudowny okres.

**Rafik Schami** (ur. 1946 w Damaszku) od 1971 roku mieszka w Niemczech. Zaliczany jest dziś do najlepszych pisarzy języka niemieckiego. Jego utwory przetłumaczono na 22 języki.

Stara, ale niekoniecznie mądra Nierzadko do Europy stosuje się metaforę rodziny: rozproszonej, zwykle nieobecnej, ale jednak spokrewnionej. Jest to eufemizm. Europa nie jest rodziną, lecz programem politycznym. „Kultura” nie występuje tutaj „ot tak, po prostu” i w najlepszym razie da się organizować jako poród głową do przodu. Ostatecznie nie chcemy mieć do czynienia z powieścią o brukselskiej biurokracji. *Ulrike Draesner*



**N**ie można się od niej uwolnić, choć nie pozwala się uchwycić. Z zewnątrz, z perspektywy innego kontynentu okazuje się, że Europa to postrzępiony cypelek, koniuszek Azji nad Afryką. Jeśli zaś siedzimy pośrodku, czyli na skraju Europy, bo peryferia ma ona wszędzie, to nie wiadomo, czym lub gdzie ona jest: tak szybko, często po niewielu kilometrach czy milach, zmieniają się kolory, światło, krajobraz, język, ludzie. Z pewnością w porównaniu z okresem sprzed 50 lub 30 lat ujednoliciły się pieniądze i towary. A przecież dzięki rzekom, góróm i morzom poznają granice węchem, wyczuwam je na lotniskach w długiej kolejce „UE”.

To symptomatyczne, że pytanie o Europę stale powraca. A przy tym tajemnicą polisz-

nela jest: tej Europy nie ma. Wymyślono ją dawno temu, potem zapomniano, po II wojnie światowej ożywiono na nowo. Stała się użyteczna, co potwierdziło się także w kryzysie finansowym, który zaczął się jesienią 2008 roku. Europa jest silna ekonomicznie i finansowo; przestrzeń gospodarcza jest szczerlnie wypełniona. Następny zdefiniowany obszar nazywa się „polityka”: tutaj Europa uchodzi za raczej miękką, trochę rozleniwioną, podzieloną, opieszalą. Jest jakaś scena polityczna, ale nikt tam nie wie, kim jest lub mógłby być. Jak dalece rozeszły się fikcja i rzeczywistość, pokazują między innymi pertraktacje wokół traktatu lizbońskiego. Potem „kultura”. Zaczyna się robić nieciekawie. Tu Europa jest bagażnikiem, w każdym razie terenem skrajnie podmokłym.

Były „blok wschodni” najsilniej nalega, aby „mieć z tego więcej”. Jest tym małym (mniejszym), nowym, zaciekawionym. To jest odświeżające i niekiedy sięga ducha; podstawą są pieniądze ze specjalnych źródeł finansowania, rodzących projekty. Z tego powstało ambiwalentne powiedzenie: Europa oznacza pieniądze.

Ledwie opuści się kontynent, uwidacznia się to nader wyraźnie; w Europie jest niewiele ubóstwa. Panuje tu luksus

łagodnego klimatu. Niewielkie powodzie. Relatywnie mało trzęsień ziemi. Europa, kontynent bez prawdziwych slumsów, bez metropolii ńędzy.

Kultura europejska oznacza dla mnie przede wszystkim właśnie tę świadomość. Wystarczy choćby spojrzeć z perspektywy Afryki, przez owe 14 kilometrów morza między Tangerem a Gibraltarem... Zobaczyć, jak to daleko i jak blisko... Jak malutkie są jednak łódzie wyprawiające się na wody z wybrzeża Maroka, skrycie i ryzykancko.

Europa, po drugie, jest bardzo biała. Łatwo się o tym zapomina, choć w naszej historii ciągle odgrywa to ważną rolę.

I Europa nazywa się dwojako: stara i nowa. Stąd może powstać kulturalna korzyść: widzenie stereometryczne. Europa to wyczuwalna historyczność. To jest klisza – a zarazem klucz. Oczywiście także inni mają historię, Europa jednak oznacza specyficzną kulturę pamięci. Europa była archiwalna już w epoce brązu.

Wracając do sedna sprawy: Niełatwo zbliżyć się do pudełka z napisem „Europa”, które z zewnątrz tak skutecznie udaje twierdzą; można się ześlizgnąć po jego polerowanych przez dziesiątki lat ścianach, błyszczących od haseł i celów. Dopóki świat był w jednym kawałku, cała Europa była terażniejszością i prefiguracją nadchodzącego zbawienia. Takmała jak dziś jest od niedawna; dodatkowo zmniejszyła ją globalizacja. A przecież nawet geograficznie, jako kontynent, Europa nie wyszła z dołków startowych i w najlepszym razie jest subkontynentem! Tym ważniejsze

Podstawą są pieniądze ze specjalnych źródeł finansowania, rodzających projekty.

jest stwierdzenie: potrzebujemy jedności i granic, sąsiadów i obcych jako ekranu do projekcji. Takiego Bliskiego Wschodu lub Dalekiego. Potrzebujemy „innych”, by dokonywać projekcji lęków, by poczuć siebie, i potrzebujemy do tego, niejako w konkluzji, także „nas”. Europa to moduł lub kostka w tej grze ludzi i luster lub, jeśli kto woli, „objaw” naszej odzwierciedlającej konstytucji, rozciągnięty między biegunami przynależności i wykluczenia, my i wy. W ramach tej konstelacji widoczne jest, dlaczego „kulturalna Europa” stale słabuje. Objaw uśmiecha się złośliwie i wyniośle. I słusznie. Otóż u podstaw idei kulturalnej Europy leży błąd myślowy, bo postrzega się ją za pomocą obrazu gospodarczej i politycznej jednostki organizacyjnej o tej samej nazwie; i zawsze tak było, że tę polityczno-ekonomiczną jedność próbowano trochę upiększyć płaszczykiem kultury. Nierzadko w tym kontekście do Europy stosuje się metaforę rodziny: rozproszonej, zwykle nieobecnej, ale jednak spokrewnionej. Jest to eufemizm. Europa nie jest rodziną, lecz programem ekonomiczno-politycznym. „Kultura” nie występuje tutaj „ot tak, po prostu” i w najlepszym razie pozwala się organizować jako poród głową do przodu. Na szczęście. Tylko pamięć, pojmowana jako archiwum, a także jako aktywne, zatem twórcze przypomnienie, przede wszystkim zaś nasze języki i ich wzajemne przekłady naprowadzą nas na właściwy trop.

### *Bricolage*

Europa to mit: barwnie wymieszany, wielokrotnie podmalowywany, rucho-



my i ciągle dyskusyjny. Rejestry narodowe, państwowe, kulturalne, historyczne i językowe krzyżują się tu często i trwale; Europa ciągle ukazuje się przy tym tylko kawałeczek po kawałeczku, jak *patchwork*, mozaika i funkcja pamięci. Jej kulturalnym bogactwem są języki. Języki to archiwa wiedzy, skrzynki skarbów, które swoimi metaforami czy gramatycznymi strukturami opowiadają nam, jak widzimy świat, jakie wynaleziono obrazy, jak odczuwamy. Język niemiecki [Deutsch] mówi to wprost w słowie „etwas ausdeutschen” („tłumaczyć coś na niemiecki” w sensie „tłumaczyć z polskiego na nasze” – przyp. red.). Zabawne różnice ujawniają się w idiomach: Anglicy skaczą z patelni w ogień [z deszczu pod rynnę], a mówiący po niemiecku pytają, czy mamy w kredensie wszystkie filizanki [czy mamy równo pod sufitem].

Europa: osiem wielkich rodzin językowych na bardzo małej powierzchni. Przez stulecia porozumienie zapewniała łacina, dziś *lingua franca* to angielski, poszczególne języki są ściśle ze sobą splecione. Istnieją swoistości duńskiego, retoromańskiego, starobawarskiego itd., a w Finlandii nie odróżnia się „ona” od „on”. Czy da się to w ogóle zrozumieć, mając na barkach głowę z indoeuropejską mową? Dziwimy się i cieszymy: jeszcze nie wymarła! I rozumiemy: Europa to istota hermeneutyczna. Kontynent nieoczywistego porozumienia. Od razu nasuwa się myśl, by wołać do Brukseli: oczekujemy od was, że będziecie pielęgnować tę różnorodność. Bruksela zwykle odkrzykuje rażno: oczywiście, oczywiście... To jest miłe, szczerze i dalekowzroczne.

Jako siedmiolatka pojechałam ze swoimi puzzlami na pierwsze wielkie wakacje nad europejskie morze, Adriatyk, do kraju pośrodku Europy, którego już nie ma. W

sklepach wisały portrety mężczyzny z długą brodą, kraj nie był drogi, woda błękitna, a kurtyna, nad którą łamałam sobie głowę, bo była żelazna, ale niewidoczna, wprawdzie wisała przed tym krajem, ale można było do niego wjechać. Puzzle były kolorowe. Na prawym końcu planszy zaczynał się Związek Radziecki. Kłopot sprawiały mi tylko małe państwa, bo były za małe na swoją nazwę i łatwo gubiły się w piasku. Austria była lila, Francja zielona. Kolory podzielono między kraje ani symbolicznie, ani narodowo, ale po prostu według zasady największego kontrastu w stosunku do sąsiadów. Pomyślane to było pedagogicznie. I mądrzejsze niż zamiar pierwotny: państwa w swej barwności tworzyły całość. Łączyła je ich różnorodność.

„Kulturalna Europa” to rodzaj wielkiego pudła wypełnionego mniejszymi. Tu i tam pusto albo obszernie, albo stan przejściowy. Puste miejsca są dobre, brak (jedności) europejskiej kultury to zaleta. Oznacza ruchliwość. Można coś wyjąć, coś wstawić. Kulturalna Europa nie jest trwałym domem, właściwie w ogóle nie jest domem, lecz nieefektywną i niezracjonalizowaną przestrzeń. Oferuje miejsce małemu: tutaj siedzi, kto chce, zupełnie sam na swojej górze czy na brzegu, osobny i osobliwy.

### *Nad brzegiem morza w Sydonie*

Wewnątrz tak rozumianego, nieostrego i będącego w stałym ruchu fikcyjnego tworu jak „Europa” pojęcie „literatury europejskiej” będzie w szczególnej mierze fikcyjne. Tej literatury, inaczej niż amerykańskiej czy chińskiej, w ogóle być nie może. Tam

## Powinno się uznać przekład za rdzenne pojęcie europejskie.

mówi się lub pisze w konkretnym języku. Tymczasem „europejski” dzięki mnogości jej języków oznacza nieoczywistość rozumienia.

Przekład jest więc pojęciem typowo europejskim. Pora to dostrzec. „Europę” czyni być może trudniejszą, ale też bardziej interesującą to, że ten rdzeń nie dotyczy rzeczy, lecz pewnego procesu. Mówi o tym już grecki mit o Europie: należycie odczytany, opowiada historię przekładu. I to po trzykroć. Europa, córka fenickiego króla, bawiąc się nad brzegiem morza w Sydonie (na południe od Bejrutu, nad Morzem Śródziemnym; dziś czwartym co do wielkości mieście Libanu), zobaczyła, że otacza ją stado byków; nagonił je Hermes. Były przyjazne, a jeden byk, całkiem biały, wyróżnił się urodą. Uradował go widok dziewczęcia. Skłonił przed nią białe rogi. Dziewczyna ozdobiła je różami i wspięła się na jego grzbiet. Stado chyłkiem i cicho zbliżyło się do morza, a gdy Europa to zauważyła, było już za późno. Byk rzucił się w fale, ona krzyczała i gestykulowała, ale trzymała się mocno. Zwierz szybko dopłynął z nią do Krety i tam, w świątyni Zeusa, przybrał z powrotem boską postać. Znowu pan Olimpu oszukał swoją zazdrosną małżonkę Herę. Spłodził z Europą trzech synów, potem wydał dziewczę z Orientu za króla Krety, który adoptował dzieci.

A zatem: obca kobieta przybyła, aby nadać sobie imię – zrozumieć siebie. Akt ten ukazuje, jak ważny jest pogląd drugiej istoty na nasz pejzaż, kontynencik, który także tutaj występuje jako podrzędne przedsięwzięcie wielkiego Wschodu: to on nadał imię.

„Przeniesienie” Europy odbyło się poprzez oszustwo i przemoc. Ale najwidoczniej byk i dziewczyna zdołali się porozumieć: on w końcu wyjaśnił jej, kim jest. A ona, zamężna z królem Krety, zapewne nauczyła się potem... greckiego. Tu kogoś „przeniesiono” przez wodę, ale imię i język zabrano z sobą. Słowo „przekład” ma jeszcze trzecie znaczenie i ono także dotyczy rdzenia takiej kulturalnej Europy, jaką chciałabym widzieć: przekładanie oznacza przekładnię zamieniającą siłę w ruch. Rzeczywiście, „przekład” oznacza, niemal dosłownie, pewien złożony transfer, bo oczywiście nigdy nie przekładamy słowa na słowo czy gestu na gest, ale zawsze wprawiamy w ruch zarazem historyczną i kulturalną, językową i naukową przestrzeń języka, jego historyczną głębię użytkowania, różnice w odczuciu, jego specyficzne właściwości. Często się to nie udaje albo udaje się z trudem. Także o tym opowiada mit – aby wykonać przekład, niekoniecznie trzeba (choć niekiedy chciałoby się!) być Zeusem czy oszukańczyć małżonkiem, ale odrobina chytrkości, oszustwa i przemocy zawsze gra rolę w każdej przemianie.

Europa nosi w sobie, zgodnie z mitem swojego imienia, obczyznę. Także dlatego ten mit jest czymś szczególnym: odzwierciedla Europę, w jej nazwie, jako miejsce wartości granicznych. Należy to rozumieć na wskroś dosłownie: granic i przypisanej im wartości. Również z tego powodu powinno się wreszcie pojąć przekład jako rdzenne pojęcie europejskie – i nauczyć się szanowania go. Nieoczywistość porozumienia w obrębie kontynentu jeszcze ciągle wprawia Europę w ruch. Rozwój specyficznej, europejskiej kultury pisma i pamięci, a na-

wet... jej obsesja, najściślej się z tym wiąże. W obszarze literatury określenia narodów łączą się w osobne jednostki pamięci i znaczenia: wyobrażone państwa językowe naniesione na mentalną mapę z poziomicami słuchania i czytania. Powstają twory przejrzyste, pełne luk: mieszane istoty o wielu językach (Anglik w Berlinie pisze wiersz z niemieckimi, koreańskimi, polskimi słowami), językowe szczeliny (jak powiem „mind“?), historyczne luki (jak wyrazić w języku średnio-wysoko-niemieckim „aventure“?) i hybrydy („handy“).

Ukazuje się tutaj Europa, która jest stara i nowa zarazem: formy literackie jak sonet czy powieść to wynalazki europejskie, które podbiły europejskie języki i systemy kultury. Zainicjowały przekład i zostały przez przekład wypromowane. Każdy napisany tekst wstępuje w tę przestrzeń: nie jest ani niemiecki, ani angielski, ani tylko dzisiejszy, ani wczorajszy, ani tylko utrwalony w piśmie, ani tylko ustny. Można ją sobie wyobrazić jako „europejsko nacechowaną powierzchnię do pisania”, gdy faktyczna powierzchnia do pisania, z której powstaje tekst, wydaje się coraz bardziej oddalać. Już same języki są jakby wzajemnie pozaczepiane ponad granicami kontynentu: tutaj rządzą świat obrazu i mitu, komiksy i techno, moda, Microsoft, CNN i Rolling Stones. W stosunku do Europy właściwa jest skromność; odpowiednie wydaje się, by przez „europejski” rozumieć wagę i obecność, dominanty i miejsca błędne, a przy okazji próbować uświadamiać sobie luki we własnej wiedzy. Także to jest przeciwieństwo „wartością graniczną”.

Wspieraniu dobrych tłumaczeń przypada w udziale kluczowa rola. Literatura to

język, jest zdana na to, że w tłumaczeniu podchodzi się do niej poprzez język i w nim. Tylko tak można przetransportować fragment obcej rzeczywistości w rzeczywistość innej części Europy. Oznacza to odejście o krok – a chętnie także o dwa – od rynku książki. Rynki rozwijają się według korzyści, wielkości i wypychania. Należy określić, wspierać i dokładnie obserwować, co rzeczywiście chce się uznać za europejską literaturę. Niemcy lubią się grać w blasku tytułu „translatorskich mistrzów świata”. Także tu jednak najczęściej tłumaczy się z angielskiego, także tu przekłada się z przekładu zamiast z języka oryginału, także tu tłumaczy opłaca się poniżej ich wartości i wkładu pracy, a przełożone manuskrypty szybko znikają w młynach produkcji książek. Nie jako pisarka, ale przede wszystkim jako czytelniczka życzę sobie, by właśnie pod tym względem napełnić „Europę” treścią, wspierać kształcenie tłumaczy i cieszyć się tym swobodnie urządzonym, zawsze w miarę przewiewnym pudełkiem wielojęzyczności i wielorakich tożsamości, które żyje z wielości możliwych dróg.

### *Wcale nie dziewicza narzeczona*

Dziś Europa składa się z 48 państw i zupełnie nie jest dziewiczą narzeczoną. Obcy przybywają do niej – i zostają. Byk to giełda, ona jednak – kawałek „kultury”(?) – powiewa flagą metaforyki, przekładu i interpretacji. Nieoczywistość porozumienia wie, jak błyszczeć, gdy już raz ją odkryto.

Formy literackie, jak sonet czy powieść, to wynalazki europejskie, które podbiły europejskie języki i systemy kultury.

Pojęcie „literatura europejska” można rozumieć także w innym znaczeniu, a mianowicie merytorycznym. Wolelibyśmy raczej darować sobie ewentualną powieść o brukselskiej biurokracji; rzeczywiście, Europa jako temat literacki występuje rzadko i niemal zawsze łączy się z tematyką wojenną. Dotyczy to, choć w ograniczonej mierze, powieści *Zeno Cosini* napisanej przez włoskiego autora Itala Sveva (ukazała się w 1923 roku). Czytając ją, po raz pierwszy miałam silne poczucie europejskości i oczywiście próbowałam znaleźć tego powody. Otóż stanowią je z jednej strony „kody”, jakimi posługuje się powieść, choćby Freudowska psychoanaliza, produkt wybitnie europejski. Z drugiej strony są to tematy, postaci, ich rytuały jedzenia i miłości, ich konflikty i strategie. Rozpoznałam wartości i życiowy klimat. Nagle przestało już być ważne, że powieść dzieje się we Włoszech; opowieść Sveva dociera do grubych żołądków i pomruku wołów, co według Gustawa Flauberta, innego europejskiego pisarza, nadaje powieści żywotność. Pojęłam: swoje poczucie Europy zawdzięczałam humorowi książki. Azjatycki śmiech bardzo się różni od mojego, afrykańskiego nie znam, amerykański znam, ale rzadko rozumiem. W europejskim humorze natomiast można dostrzec wiek tego półkontynentu. Cynizm, który może być łagodny, sarkazm obejmujący też siebie, ale nigdy nie jest traktowany w pełni serio, ślăpstick – tak, ale jako komizm u Szekspira. Nie tak kuglarski jak Chaplina ani nie tak nerwowy jak Woody’ego Allena, raczej humor jak w *Pani Bovary*; zauważany przez większość czytelników dopiero przy drugim czytaniu.

Europa jest rozszczerpiona, śliska i stara. Może być niezbędną i owocną raz jeszcze to powtórzyć. Europa jest stara, ale niekoniecznie mądra, wypełniona nie tyle ludźmi (wystarczy porównać ją z wieloma azjatyckimi czy południowoamerykańskimi obszarami gęstego zaludnienia), ile materiałem: wiedzą, techniką, archiwami.

Dla pisarza oznacza to, w moim rozumieniu, korzystanie, aktywowanie, sięganie przez granice. Tylko dzięki przekładom możliwe jest korzystanie z naszego zróżnicowania i z warstwowej historycznej gęstości europejskiej przestrzeni i naszych języków. Oznacza to:

- \* Wzmocnienie pamięci zbiorowej. Dostęp do każdego rodzaju tekstu w przekładach.
- \* Dobre przekłady literackie trzeba dofinansowywać, rynek ich nie produkuje.
- \* Kształcenie tłumaczy. Jest to pilna konieczność, albowiem ciągle pojawiają się małe wydawnictwa, które zleciłyby tłumaczenie książek, ale nie znajdują nikogo, kto byłby w stanie to zrobić. Skutek: książka nie jest tłumaczona, co prowadzi do tego, że kształci się jeszcze mniej tłumaczy, bo uważają oni, że i tak nie ma zainteresowania ich pracą itd.
- \* Słowo „kultura” wywodzi się z obszaru kultury rolnej; także Europa stamtąd się wywodzi, jak o tym świadczy bytło z mitów, ale odeszła daleko od wołu u pługą. My również powinniśmy to wreszcie zrobić: czas najwyższy, by Europa wyrosła ze swego rolniczego dzieciństwa.
- \* Zastosowanie zasady podwójnego celu: think big – and small. To, co małe, specyficzne, wspierać tak

samo jak wielkie projekty, które można podejmować tylko dzięki integracji. Czyli: uwidocznic także Europę wspólnotową o możliwościach przewyższających możliwości danego państwa. Następuje to w dziedzinie lotów kosmicznych.

A co poczniemy z literaturą? Otóż nie powinno zabraknąć tego oto pomysłu: założmy wielką europejską bibliotekę. Wzniesmy spektakularną budowlę o spektakularnych zbiorach. Elektroniczny dostęp dla wszystkich. Z dołączoną siecią tłumaczeń, aby książki i teksty były rzeczywiście tłumaczone, niekiedy nawet podwójnie czy po trzykroć, by można było słuchać poetów w innych europejskich językach i przeczytać o ich życiu. I w ten sposób świętować graniczną wartość kontynentu.

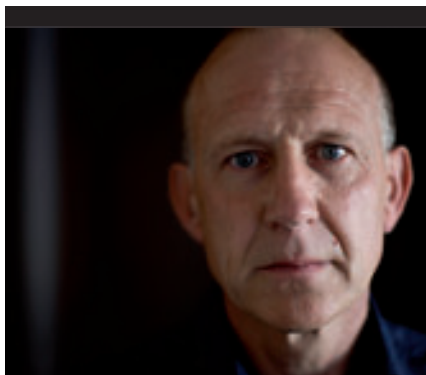
**Ulrike Draesner** (ur. 1962), pisarka i eseistka. Jej dorobek obejmuje powieści, opowiadania, wiersze i eseje. Otrzymała wiele nagród, m.in. Nagrodę im. Hölderlina (2001) i Nagrodę Wydawnictw (2002). Jej ostatnie książki to: *Berührte Orte* (Monachium, 2008), *Schöne Frauen lesen* (Monachium, 2007), *Spiele* (Monachium, 2005), *Hot dogs* (Monachium, 2004).



ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
1234567890



Prosta droga do sławy Zawsze miło posłyszeć o niedoskonałości innych krajów. Gdy czyta się Thomasa Bernharda lub Elfriede Jelinek, myśli się zawsze z lekką zgrozą, jak straszna musi być ta Austria. Z kolei UE to koncepcja zbyt amorficzna i wielowarstwowa, aby czytelnicy mogli się radować z mającego tam miejsce bezprawia. Nikt nie pisze o tym powieści. *Tim Parks*



**C**o skłania młodego mężczyznę lub młodą kobietę do napisania powieści? Zwykła ambicja? Demony, które należy wypędzić? Miłość do języka i upodobanie do snucia opowieści? Może życzenie, by innych właśnie tak uwodzić, jak kiedyś samemu było się uwodzonym i oczarowanym przez innych pisarzy? Albo poczucie, że pisanie umożliwia interakcję ze światem zewnętrznym bez, by tak rzec, brudzenia sobie rąk? Można krytykować najwyższe autorytety i pociągać do odpowiedzialności samego Boga, sie-

dząc sobie bezpiecznie we własnym gabinecie przed pecetem, w tle mając program poczty elektronicznej. Do tego jeszcze inni nas podziwiają, co potwierdza i wzmacnia naszą tożsamość.

Czy ten młody człowiek myśli o Europie? To raczej nieprawdopodobne. Jeśli dąży do jakiegoś politycznego celu, może mu chodzić o jakieś wielkie bezprawie. Czytelnik zareaguje współczuciem na troskę pisarza wywołaną cierpieniem ofiar tego świata. Unia Europejska, przy całej swej korupcji i ograniczoności, jeszcze nie zalicza się do wielkich złoczyńców, więc młody pisarz nie pomyśli o niej pod tym kątem. Gdyby chodziło o jakąś osobistą niesprawiedliwość, mógłby poruszać się w swoim lokalnym otoczeniu lub co najwyżej na poziomie narodowym. Młoda kobieta została wykorzystana seksualnie, a policja i sąd zlekcewały jej poniżenie. Zrozumiała, że weszła na drogę pisania: ukazuje karykaturalność brytyjskiego systemu prawnego. Jej dzieło apeluje do nadrzędnego trybunału i pozwala pisarce obrócić własne cierpienie w pieniądze. Albo młody człowiek został pominięty przy zatrudnianiu na uniwersytecie na rzecz córki

jakiegoś profesora. Zrozumiałe, że potępi ten włoski nepotyzm, to bezprawie, które w tym kraju panuje od zawsze. A gdy te książki ukażą się potem za granicą, czytelnicy będą się cieszyć, że Wielka Brytania wcale nie jest krajem tak bardzo cywilizowanym, a Włochy jak były, tak są skorumpowane. Zawsze miło posłyszeć o niedoskonałości innych krajów. Gdy czyta się Thomasa Bernharda lub Elfriede Jelinek, myśli się zawsze z lekką zgrozą, jak straszna musi być ta Austria. Przy lekturze książki o mafii pt. *Gomorra* Francuzi i Niemcy stwierdzają z satysfakcją, że Neapol nigdy nie będzie tak cywilizowany, jak Marsylia czy Monachium. Ale cóż, ostatecznie Europa jest koncepcją zbyt amorficzną i wielowarstwową, by czytelnicy radowali się z bezprawia we Wspólnocie Europejskiej. Nikt nie będzie pisał powieści o straszliwym przeżyciu, jakiego doświadczył w Europie.

### *Dziecięcy czarownik i spisek*

Dlaczego dziesiąty lub dwunasty z rzędu wydawca (choćby nawet po wymuszeniu wielu „poprawek”) decyduje się na publikację dzieła młodego pisarza czy młodej pisarki? Ponieważ ma ono potencjał komercyjny. Wymienia się też inne powody, ale ten jest jedynym powodem, jaki się rzeczywiście liczy. Dziś wśród wydawców w Wielkiej Brytanii z trudem znajdzie się

Przy lekturze książki o mafii pt. *Gomorra* Francuzi i Niemcy stwierdzają z satysfakcją, że Neapol nigdy nie będzie tak cywilizowany, jak Marsylia czy Monachium.

redaktora stawiającego na pierwszym, drugim czy choćby trzecim miejscu względnie „walory literackie” – cokolwiek by to znaczyło. Redaktorów, którzy tak pracowali, już dawno wyrzucono i teraz pracują jako wolni strzelcy w domu, gdzie według wskazówek mądrzejszych od siebie, roztropnie wykształconych w dziedzinie marketingu i handlu książkami, czytają i redagują manuskrypty.

Na szczęście istnieje wiele tematów, które noszą w sobie ten komercyjny potencjał – od dziecięcych czarowników, przez międzynarodowe sprzysiężenia, oczywiście historie miłosne, morderstwo, przemoc i chaos, niedolę mniejszości etnicznych, po pornografię i hańbę niesprawiedliwości. Wszystkie te tematy to proste drogi ku sławie.

Jeszcze przed wydaniem powieści naszego młodego człowieka będzie kładziony nacisk na sprzedaż praw za granicę. Czy dlatego, że pisarz w Portugalii lub Irlandii raczej nie może się spodziewać, iż będą go czytać w Belgii, Grecji czy Słowenii? Na pewno nie. Jeśli nawet jego powieść jest fascynującym obrazem kultury i polityki jakiegoś małego kraju europejskiego, naprawdę nie oznacza to jeszcze, że pisarz ów cieszy się na kontakt z kręgami kulturalnymi innych małych lub dużych krajów europejskich. Poza tym jest mu dość obojętne, czy rozumieją one jego kulturę. Napisał o niej, bo poprzez nią dotarł do własnej formy autoprezentacji. Teraz chodzi o to, by jego książkę przeczytał każdy. Nowoczesny pisarz nie jest ani Anglikiem, ani Francuzem, ani Niemcem – jest niezależną

jednostką; jego krąg czytelniczy obejmuje wszystkich. Najbardziej interesuje się przekładem na język angielski, wtedy bowiem dotrze do czytelników w Wielkiej Brytanii, a także w USA, Kanadzie i Australii, co zwiększy zauważalność dzieła, a to znowu doprowadzi do dalszych przekładów. Nie zwraca się ani do swej ojczyzny, ani do Europy, lecz do świata.

Fakt, że pisarz nie pisze dla narodowego, lecz dla globalnego kręgu czytelników, ma decydujące znaczenie. Ta ewolucja już teraz zmienia rolę literatury i będzie ją nadal zmieniać w przyszłości. Na przykład pisarz portugalski czy grecki będzie raczej zważał na to, by nie mówić zbyt szczegółowo o własnej kulturze i w żadnym wypadku nie pisać tylko dla czytelników, którzy są znawcami tej konkretnej kultury, bo ograniczyłoby to krąg jego międzynarodowych czytelników. Przy lekturze Hugona Clausa, jednego z wybitnych pisarzy lat 40. i 50. XX wieku, zadziwia naiwność, z jaką autor przyjął, że jego międzynarodowy krąg czytelniczy wie o Belgii dostatecznie wiele, by czytać jego książki. Współcześni powieściopisarze poczynają sobie roztropniej. Nie trzeba nic wiedzieć o Norwegii, aby czytać Pera Pettersona, i niczego też się nie dowiemy od niego o tym kraju. To samo dotyczy Holandii Gerbranda Bakker. Obaj to znakomici pisarze międzynarodowi.

Ta nowa sytuacja wpływa na przekłady na inne języki, o czym pisze Milan Kundera w swoim niemal ekstatycznym dziesięcioczęściowym eseju *Zdradzone testamenty*. Tłumacze powinni przestać

klęczeć przed konwencjami nakazywanymi przez „dobry francuski, niemiecki czy włoski”. W zamian ich „najwyższym autorytetem” powinien być „osobisty styl danego autora”.

Przekraczający reguły styl w języku czeskim podobnie musi się obchodzić z wymogami stylu w języku francuskim, niemieckim, japońskim czy kantońskim. Kundera tak zdecydowanie postanowił prezentować międzynarodowemu czytelnikowi Kunderę zamiast jakiejś hiszpańskiej czy włoskiej metamorfozy, że ten inteligentny i niezwykle uzdolniony człowiek zapomniał, iż określony styl pisania istnieje w kontekście języka i kultury, w których napisano tekst, i nie da się go zeń wyizolować. Tego stylu nie da się odtworzyć w postaci absolutnego odpowiednika stylu oryginału. Kundera mówi o „swoich tłumaczach” jak o jakiejś oświeconej grupie, która zaakceptowała jego najwyższy autorytet. Tożsamości poszczególnych tłumaczy zostają włączone do tożsamości Kundery. Dziwna sytuacja.

Inni tłumacze piszą rozprawy naukowe o tym, jak konieczny jest dla tłumacza sprzeciw wobec autora tekstu i danie temu wyrazu w przekładach. Są zbyt głodni uznania. Wszystko to oznacza dla Europy, że wyobrażenie, iż pisarze mogliby

Jeśli nawet dana powieść jest fascynującym obrazem kultury i polityki jakiegoś małego kraju europejskiego, naprawdę nie oznacza to jeszcze, że pisarz ów cieszy się na kontakt z kręgami kulturalnymi innych małych lub dużych krajów europejskich.

propagować „dialog między kulturami”, jest prawdziwie naiwne. Być może zachodzi jakaś ożywiona wymiana między różnymi kulturami – i książka mogłaby przynieść ze sobą coś autentycznego, co pisarz wyraził, czerpiąc ze swego bezpośredniego doświadczenia życiowego – a może nie. Ale ostatecznie to jest drugorzędne.

Dla ambitnego pisarza najważniejsze jest, aby jego dzieło było dostępne wszędzie. W imię tego celu gotów jest zmieniać treść i styl swojej książki. Brytyjski pisarz pochodzenia japońskiego, Kazuo Ishiguro, mówił o niezbędności łatwego do przetłumaczenia języka angielskiego, dzięki któremu można dotrzeć do całego świata. Od skandynawskich pisarzy wiem, że wybierając imiona swoich postaci powieściowych, myślą o czytelnikach zagranicznych. Czytelność w kraju i oddziaływanie książki na poziomie narodowym nie są tak ważne – a na europejskim mniej niż na światowym. Chyba że z korzyścią dla samego pisarza.

Włosi, hiszpańscy i nawet niemieccy pisarze żądają głośno, by przekładano ich na angielski, bo chcą dzięki temu otworzyć sobie drogę do międzynarodowej sławy. Ale oczywiście więcej jest przekładów na inne języki i przekłada się raczej z angielskiego na języki tych pisarzy. Tutaj, we Włoszech, gdzie mieszkam, ponad 70% wydawanych książek to przekłady, a większość – z angielskiego. W Mediolanie nauczam w ramach podyplomowego studium dla tłumaczy prac naukowych. Wszyscy studenci muszą znać dwa języki, w tym angielski. Jeśli nawet wolą francuski, niemiecki czy hiszpański, zakłada się, że przekłady

z angielskiego będą stanowiły większość przyszłych zleceń. Powodem nie jest zachwycony wzrok Europy zwrócony na Anglię, ale jak wcześniej, tak i teraz, sława Ameryki jako przodowniczki w kulturalnym rozwoju świata. Zarazem Europa nie tylko jest zbyt amorficzna na miejsce akcji opowieści, ale też jej mieszkańcy postrzegają ją jako przestarzałą albo uważają, że brakuje jej innowacyjnej energii Ameryki, czy też nie potrafi z równą mocą przeprowadzać swoich zamierzeń.

Daremnie byłoby gniewać się na to czy buntować. Być może jest to nawet poniekąd korzystne, bo pozwala Europejczykom żyć własnym życiem i dążyć do własnych celów, nie cierpiąc w światłach rampy, które padają na wszystko, co przybywa z Ameryki.

### *Napuszone myśli*

W tym kontekście istotne jest, że pisarz prawdopodobnie tęskni do sławy i bogactwa, które mogą przynieść przekłady i międzynarodowa renoma. Z drugiej strony zapewne najgorsze, co mogłoby mu się zdarzyć jako człowiekowi i pisarzowi, to osiągnięcie tych celów. Nic bardziej nie rozwodni, nie wykrzywi i nie zafałszuje jego pracy niż znaczący międzynarodowy sukces i nadymająca ego myśl, że wydawany jest jednocześnie w wielu krajach.

Nic zaś bardziej nie pozbawia narodowego kręgu kultury wartościowego wkładu jego autorów niż pokusy światowej popularności. Jeśli nawet pisarz – jak utalentowany afrykański piłkarz – niekoniecznie wyjeżdża za granicę, to przecież myślami

jest gdzie indziej. Od wyęsknionej sławy ważniejsza jest dla niego wolna przestrzeń do pracy, owa swoboda wyrażania ściśle tego, co chciałby powiedzieć – teraz, właśnie w tej chwili, w Glasgow, w Bonn, w Dijon – i bez oglądania się na wyniki sprzedaży w Nowym Jorku.

Właśnie to sprawia, że Unia Europejska jest tak ważna. To jedyna rola, w jakiej powinna ona, zdaniem autorów, występować: powinna troszczyć się o wolność. W UE brytyjczy, irlandzcy, włoscy i polscy pisarze cieszą się pełną swobodą wypowiedzi. Dysponują uspokajającą wiedzą, że w wypadku danego kręgu kulturalnego bardzo trudno byłoby większej wspólnoty ją tłumić. Ta wolność to największy dar, jaki rząd może ofiarować swoim artystom, a zarazem najlepsze napomnienie dla tych wszystkich krajów, które czynią inaczej.

Bardzo ważne jest zrozumienie, że nie mówimy tu o wolności ekonomicznej. Nie jest zadaniem Unii Europejskiej decydowanie, czy należy wspierać danego pisarza, a czy inny musi się przebijać sam. Tego rodzaju decyzje zawsze będą miały charakter polityczny lub co gorsza osobisty. Aby dziś upublicznić swoje opinie, wiersze, opowiadania czy nawet powieści, wystarczy zacząć pisać blog, którego koszt to tylko energia i pilne oddanie. Rzeka informacji, kreatywności czy po prostu słów przyprawi o zawrót głowy.

Jednocześnie tradycyjny rynek książki coraz bardziej staje się domeną wielkich sieci mających w programie coraz więcej przeciętnych tytułów, co do których ma się nadzieję, że dobrze się sprzedadzą. W

efekcie prawdziwe innowacje coraz częściej dokonują się na lokalnej scenie, są coraz bardziej fragmentaryczne i znajdują sobie własną formę dystrybucji w Internecie, która jest zarazem regionalna i globalna. Prowadzić to może do mniej uprzywilejowanego stylu życia pisarza, jednak z drugiej strony może być bardzo wyzwalające, bo największym pragnieniem pisarza jest mówić do czytelników, którzy go rzeczywiście rozumieją.

List, zapraszający mnie do tych rozważań, stawiał następujące pytania: „Czy kultura może odgrywać strategiczną rolę i przyczynić się do powstania jeszcze nieistniejącego poczucia przynależności do Europy? Czy potrafiłaby może nawet wytworzyć europejską duszę?”. Wydają mi się one niepokojące. Ludzie przejawiają poczucie przynależności, gdy są atakowani lub gdy w obrębie większej całości angażują się mocno we wspólną sprawę. Niech to wszystko będzie nam oszczędzone. Lepiej skakać sobie do oczu i obserwować się nieufnie. Lepiej nigdy nie wpisywać do konstytucji wspólnej religii. Lepiej nie mieć nigdy wspólnej „polityki obronnej”. Lepiej nie pojmować Europy jako „twierdzy” czy „mocarstwowego bloku”.

O genialności UE stanowi właśnie owa wewnętrzna przestrzeń gry, pozwalająca każdemu krajowi na przeżywanie delirium swej narodowej tożsamości bez zastępowania jej równie szaleńczą tożsamością kontynentalną, ale dająca każdemu obywatelowi możliwość życia tożsamością państwa narodowego,

Człowieczeństwo  
powinno wystarczyć  
jako poczucie  
przynależności.

europejską lub zupełnie indywidualną – według upodobań. Człowieczeństwo powinno wystarczyć jako poczucie przynależności. Co się tyczy „duszy”, nadal szukam słownika, który wyjaśniłby mi, co znaczy to słowo, ale jeśli nawet coś takiego istnieje, nie umiem sobie wyobrazić, jak można by to zaktywizować za pomocą jakiejś strategii w dziedzinie kultury.

**Tim Parks** (ur. 1954) studiował w Cambridge i na Uniwersytecie Harvarda. W 1981 roku wyjechał do Włoch, gdzie do dziś mieszka i pracuje jako pisarz i tłumacz. Napisał 11 powieści, m.in. *Europa* (1997), *Cleaver* (2006) i *Dreams of Rivers and Seas* (2008). Wśród jego licznych przekładów z włoskiego są dzieła Alberta Moravii i Itala Calvina. W książce *Translating Style* analizuje włoskie przekłady angielskich modernistów. Otrzymał wiele nagród literackich, m.in. Somerset Maugham Award.

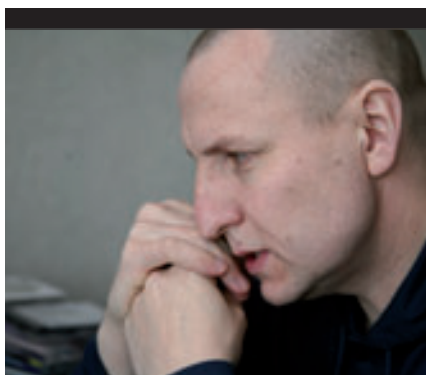






Nie wierzę w Europę, wierzę w kulturę Liryka zaniknie tak samo jak pojęcie starej Europy - prorokuje litewski autor Sigitas Parulskis. Czy Europa jest już jedynie poetyckim toposem, metaforą, która już dawno zagubiła swoje znaczenie i popada w zapomnienie?

*Sigitas Parulskis*



Mój notebook pokazuje zły czas – różni się o całą godzinę od czasu litewskiego. Wiosną tego roku mieszkałem dwa miesiące w Berlinie i mój komputer nadal pamięta czas niemiecki. Ta różnica jednej godziny jest dla mnie symboliczna i bogata w znaczenia. W powieści Trzy sekundy nieba także opisałem różnicę czasów – trzysekundową lukę w życiu i świadomości człowieka, który służył dwa lata w armii radzieckiej. (Kolejna przypadkowa zbieżność – odbywałem służbę wojskową właśnie w Niemczech). Gdy człowiek spędza dłuższy czas w niewoli,

na wygnaniu lub w samotności, to zawsze powstaje jakiś rozdział – jakieś pęknięcie, które często nie chce się zamknąć aż po kres życia. To jest dramat. Pod względem społecznym i egzystencjalnym. Rozdział, który odbiera ludziom poczucie tu i teraz.

Podobnie może się zdarzyć całemu narodowi, na przykład mojemu – Litwinom. Aż do dziś w życiu codziennym i w edukacji, w gospodarce i polityce, a także bez wątpienia w kulturze można wyraźnie wyczuć u nas tę jednogodzinną różnicę czasu.

Pocieszamy się myślą, że Litwa już od chrystianizacji, czyli od 1387 roku, należy do kultury europejskiej, kultywuje ją i nią się żywi. W ogólnych zarysach to prawda, ale złożone okoliczności historyczne stale spychały nasz mały kraj w zupełne zapomnienie, na skraj europejskiej kultury i polityki lub nawet poza ich granice.

Po II wojnie światowej naród nasz przez pół wieku był straszliwie raniony i dręczony; dlatego także nasza kultura znalazła się w stanie, który można określić jako ustawiczną schizofrenię. Były to bowiem w istocie dwie kultury: radziecka, to znaczy rosyjska, narzucona nam z zewnątrz, obca kultura okupanta,

i nasza kultura litewska. Bycie Europejczykiem dla Litwinów prawie zawsze w przeszłości oznaczało konieczność doganiania, wzmoczony wysiłek, by zasklepić tę cholerną lukę, przekroczyć ten przeklęty rozziew i wyrobić sobie właściwe poczucie europejskiego czasu oraz europejskich tradycji i wartości.

Nie wiem, co odpowiedzieć na pytanie o rolę kultury w Europie, bo budzi ono we mnie mieszane uczucia. Moim zdaniem kultura to niewątpliwie jedyna znacząca rzecz w ludzkim życiu. Gdy uznamy ją za przeciwieństwo natury, za ogół stworzonych przez ludzi materialnych i duchowych wartości, wówczas wszystko, nawet broń i idiotyczne, agresywne, niszczące miliony ludzkich istnień ideologie, będą wytworami kultury. W końcu powiada się, nie bez racji, że wojna jest motorem postępu. A kultura i postęp są, jak twierdził np. Albert Schweitzer, niemal tym samym.

Nie wiem, jak mógłbym lepiej wyodrębnić pojęcie kultury. Być może sztuka z jej różnymi formami wyrazu (jak na przykład architektura) byłaby alternatywą. To właśnie jednak kultura pozwala mi porozumiewać się z innymi ludźmi. Nie jeżdżę za granicę, by coś tam kupić czy sprzedać, ani w poszukiwaniu jakiejś kobiety czy religii – jeżdżę z powodu kultury: by ją znajdować, żyć nią, dzielić się nią i ją podzielać itd. O jej sensie czy bezsensie nie chcę się wypowiadać, bo jest ona ziemią, na której buduję swoje domy, pałac swego istnienia, swój świat. Pytanie o kulturę

równa się dla mnie pytaniu o to, czy dla człowieka ma sens posiadanie głowy. Joseph Guillotin na pewno przytaknąłby mi z radosnym śmiechem.

Osip Mandelsztam, jeden z najciekawszych rosyjskich poetów lirycznych, określił akmeizm jako „tęsknotę do kultury światowej”. Na Litwie to podejście zawsze było bardzo popularne, a tęsknotę do światowej czy europejskiej kultury szczególnie odczuwali artyści, bo było jej u nas bardzo niewiele zarówno pod względem ilości, jak i jakości. Żelazna kurtyna nie była dla nas tylko wygodną metaforą polityczną, lecz także odstręczającą rzeczywistością. Żelazną kurtynę mogły pokonać tylko dzieła dopuszczone przez politbiuro w Moskwie, przez cenzurę i KGB.

Wiele książek z Zachodu przetłumaczono u nas głównie z powodu daty ich pierwszego wydania, która powinna w miarę możliwości przypadać na okres przed 1972 rokiem. W Związku Radzieckim bowiem prawa autorskie na utwory opublikowane za granicą przed 1972 rokiem obowiązywały tylko 15 lat, a dla książek opublikowanych później – 25 lat. Dopiero od 1996 roku, gdy Litwa podpisała porozumienie berneńskie, prawa autorskie obowiązują przez 70 lat. Jednak bardzo wątpię, by Sowieci w ogóle przestrzegali jakichkolwiek reguł przyzwoitości. Drobnym przykładem: czytałem powieść *Biały tygrys* Aravinda Adigi w oryginale wkrótce po przyznaniu jej Nagrody Bookera. Jeszcze przed dwudziestu laty byłoby to nie do pomyślenia.

Jednocześnie mimo tych smętnych wynurzeń, pełnych uzalania się nad sobą,

Pocieszamy się myślą, że Litwa już od chrystianizacji, czyli od 1387 roku, należy do kultury europejskiej.

muszę powiedzieć: nie wierzę w Europę. Uważam, że europejska kultura jako samodzielny fenomen o określonych regułach oraz konkretnych przedmiotach i podmiotach w ogóle nie istnieje. „Kultura europejska” to termin wynaleziony przez biurokratów i polityków. Kultura europejska składa się z wielu kultur narodowych, które w dłuższej perspektywie czasowej bez wątpienia tracą samodzielne cechy i będą się stawać coraz bardziej kosmopolityczne.

Wcześniej kultura europejska opierała się na cywilizacji antycznej zmieszanej z wartościami chrześcijańskimi, z odpowiednimi tradycjami, symbolami, tematami itd. Naprawdę jednak nie wiem, jak można by ją dziś zdefiniować, skoro do Unii Europejskiej coraz szerzej napływają także inne religie, kultury i tradycje. Stary słownik wyrazów obcych podaje następującą definicję: „Europidy, biała (eurazjatycka) rasa – jedna z trzech pierwotnych lub wielkich ras rozpowszechnionych na całej Ziemi; typowe są jasna skóra w różnych odcieniach, gładkie lub pofalowane, miękkie włosy, bujna broda, silne owłosienie ciała, wąska twarz, wąski nos o prostych, raczej prostopadłych nozdrzach, wysoka nasada nosa i wąskie wargi”.

### *Atrofia umiejętności myślenia*

Dzisiejsza obserwacja ludności europejskiej nie potwierdza tej definicji. Czym jednak miałyby być ta nieszczęsna Europa czy też jej kultura, jeśli nie jej mieszkańcami, ludźmi? Coraz częściej posługujemy się de-

finicjami i terminami, projektami i wizjami, zapominając przy tym o najważniejszym: te abstrakcje to tylko środki pomocnicze, które właściwie mają nam pomagać żyć, porozumiewać się i nie zabijać się nawzajem. Europa, polityka, a nawet Bóg to nic innego jak takie środki pomocnicze, które powinny umożliwiać człowiekowi znoszenie tej straszliwej samotności na ziemi i własnego tragicomicznego losu.

Nie wierzę, by pisarz mógł cokolwiek istotnego zmienić, nikt bowiem go nie słucha. I to prawdopodobnie także jest dobre. Prawdziwy pisarz zawsze tworzy jakiś nierzeczywisty, a więc idealny świat, w którym prawdziwi ludzie nie umieliby żyć. Oczywiście, w szczególnych okolicznościach historycznych pisarze wyrażają w pewnym sensie wolę społeczeństwa, w którym żyją. Na Litwie zajętej przez Związek Radziecki ludzie oczekiwali od pisarzy słów o wolności. Powstały w latach 1987–1988 litewski ruch narodowy i reformatorski Sajudis dowiódł, że autorytet pisarzy może być bardzo duży, bo ludzie potrzebują pięknej retoryki, ostrych słów, wyrazistych porównań i poruszających obrazów. Jednak poezja demonstracji i barykad bardzo szybko zbladła, gdy przyszedł czas, by rzeczywiście wziąć w ręce los Litwy. Gdy inicjatywę przejęli politycy, ludzie interesu i bankierzy – pisarze wkrótce przestali cokolwiek znaczyć. Przestali grać jakąkolwiek rolę. Nie sądzę, by ich wpływ był inny w krajach o dłuższych tradycjach demokratycznych. Nie należy mieszać sztuki i polityki, to są rzeczy o odmiennym rodowodzie.



Kultura wspiera nasze człowieczeństwo, czyli wrażliwość, współczucie i poświęcenie dla innego – dla kogoś, kto jest słabszy, łatwiejszy do zranienia lub tylko po prostu odmienny od nas, a mimo to jest człowiekiem, tak jak i my, tylko właśnie innym.

Popkultura zajmuje się wyłącznie rozrywką, i to właściwie wcale nie jest złe. Niestety, jak mówi Anglik John Fowles (pisarz, którego bardzo lubię), przewaga kultury rozrywki wzrosła tak bardzo, że poważna kultura nie ma wobec tej kultury szans. Ogranicza to ludzkie możliwości oparcia się owej garstce sprytnych, wykształconych cyników, którzy uważają się za polityków i ludzi interesu. Coraz więcej ludzi nie czyta książek, co prowadzi do narastającej atrofii umiejętności myślenia.

Obserwuję kulturę przez okno literatury, tzn. moim kodem dostępu do świata kultury jest słowo. Na tej podstawie zgodzę się z Josifem Brodskim, który kiedyś rzekł, że odczytanie człowieka trudniej oszukać. Odczytany człowiekiem trudniej manipulować, co często próbują czynić z czystego egoizmu politycy i biznesmeni.

W minionych latach podróżowałem dość dużo po Europie. Byłem na północy, na przykład w norweskim Trondheim, a najbardziej wysuniętym na południe miejscem Europy, które zwiedziłem, było Rodos. Byłem w Polsce, Słowenii, Niemczech, Izraelu, we Włoszech i Francji. Moje książki przetłumaczono na osiem języków europejskich. A mimo to nie potrafiłbym

powiedzieć, co to właściwie jest ta Europa. Często mam ochotę mówić, podpierając się Ludwikiem XIV: Europa to ja. Bo jeśli nie nazwę się Europejczykiem, to kim? Jakże ktoś taki musiałby mieć wykształcenie, jakie pochodzenie, jakie poglądy?

Z moich podróży po Europie powracam niemal zawsze z tym szczególnym i trochę rozdwojonym uczuciem: jeśli nie sprawi się, by produkt kultury czy sztuki był dobrze sprzedającym się towarem, to dzieło zawsze robi trochę osobliwe wrażenie. Także imprezy artystyczne, w których nie biorą udziału żadne gwiazdy, imprezy reklamowane jako „małe”, „kameralne” czy podobnie, nie czynią wrażenia pełnych życia. Zwracają się tylko do wąskiego kręgu słuchaczy i wydają się trochę staromodne, niezmotywowane i gnuśne. Sztuka musi się dobrze sprzedawać, musi się podobać wielu ludziom, jeśli bowiem przypada do gustu tylko małej ich grupie, to jest skazana na zapomnienie. Stoi za tym pierwotna, bezlitosna gospodarka rynkowa. Gdy widzę na jakimś festiwalu garstkę poetów, którzy czytają sobie nawzajem swoje wiersze, bo przyszło tragicznie mało publiczności, ogarnia mnie zwątpienie: „Po co to wszystko? Po co poezja, którą interesują się tylko autor i wydawca?”. To niedobre uczucie. Czy ta garstka poetów to jakby mała sekta pierwszych chrześcijan? Apostołowie, którzy później rozniosą swoją dobrą nowinę masom? Nie, tak się nie stanie. Liryka będzie zanikać jak pojęcie dawnej Europy. Właśnie, może wreszcie znalazłem odpowiednie porównanie: pojęcie „Europa” to prawdopodobnie

Gdy inicjatywę przejęli politycy, ludzie interesu i bankierzy – pisarze wkrótce przestali cokolwiek znaczyć.



już tylko topos poetycki, metafora, która prawie straciła dawny sens i teraz popada w zapomnienie.

P.S. Później jednak, po powrocie z podróży – zwykle nie natychmiast, ale po miesiącu czy nawet roku – nagle przypominam sobie jakiś drobiazg, historyjkę, którą ktoś mi opowiedział, czy szczegół krajobrazu, i czuję się bardziej ludzki. Gdy wiem, jak żyją ludzie w tym czy innym kraju, trudniej przychodzi mi pogardzać nimi lub im zazdrościć, mówić o nich coś złego albo po prostu udawać, że nie istnieją. Myślę, że właśnie na tym polega sens więzi kulturalnych – na wyczuwaniu życia wewnętrznego twoich bliźnich. Na pojmowaniu, że jest ono nader bliskie temu, co sam odczuwasz, czym żyjesz i na co się skarżysz, nad czym bolejesz i czym się cieszysz. Twój bliźni jest twoim lustrzanym odbiciem, i nie ma znaczenia, gdzie mieszka – tuż obok czy oddalony o tysiąc kilometrów. W tym poradzimy sobie bez Europy (czymkolwiek, na miłość boską, ona jest!), ale bez kultury, bez sztuki – nie.

**Sigitas Parulskis** (ur. 1965) mieszka w Wilnie. Za opublikowany w 1990 roku pierwszy tomik wierszy otrzymał rok później Nagrodę Zigmasele dla najlepszego debiutu poetyckiego roku. Jego pierwszą powieść *Trzy sekundy nieba*, w której zawarł swoje przeżycia z okresu, gdy był żołnierzem radzieckiej dywizji spadochroniarzy stacjonującej koło Cottbus, Związek Pisarzy Litewskich nagroził jako najlepszą książkę 2002 roku. W 2004 roku otrzymał Nagrodę Państwową Republiki Litwy za całokształt twórczości. Jego utwory przetłumaczono na jedenaście języków. Na podstawie powieści *Trzy sekundy nieba* powstaje film.



**abcdefghijklmnopqrstuvwxy**  
**ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ**  
**1234567890**

Fermentujący brzuch starego kontynentu Czy Europa jest tylko pozbawionym duszy organizmem finansowym i gospodarczym? Rozrośnięta Unia Europejska nie przetrwa, jeśli ograniczy się do wymiaru ekonomicznego. Przed kontynentem, przez stulecia rozdzieranym konfliktami wrogich państw, otwierają się niepowtarzalne możliwości. Co może osiągnąć kultura?

*Antonio Moresco*



Co się gotuje w brzuchu Europy? Jakie przemiany zachodzą dziś w przewodzie pokarmowym naszego kontynentu? Musi nas bowiem interesować nie tylko pytanie, co zamierza głowa Europy, ale także, co zachodzi w jej brzuchu. Można odnieść wrażenie, że na naszych oczach dzieje się coś niesłychanego, nieoczekiwanego, co jeszcze niezupełnie wyszło na światło dzienne, nie przyjęło jednoznacznej postaci. Tyle wrze teraz w brzuchu Europy, tak wiele rzeczy dobrych i złych, że nie sposób przewidzieć, jaki będzie nasz kontynent – nie mówię: za sto lat, nie, nawet nie za dwadzieścia.

Mamy tu do czynienia z istotnymi przemianami geopolitycznymi. Z wędrownkami ludów. Z różną tożsamością kulturową i z różnymi wspólnotami wyznaniowymi, które stoją naprzeciwko siebie lub częściowo się pokrywają. Z niepewnością, lękami, antagonizmami. Także takimi, które sztucznie pobudzają ludzi żyjący z podsycaenia różnic politycznych i religijnych i wzniesienia konfliktów. To jest wieczne inspirowanie i wyhamowywanie sił politycznych i religijnych, krwio-bieg z dynamiki i restauracji, chciwości i braku odwagi, podporządkowania, korupcji, egoizmu i monopoli gospodarczych. Także walka ze strukturami kryminalnymi, które stały się integralnym składnikiem europejskiej, a także światowej gospodarki. Stała erozja mechanizmów demokratycznych. Gra znacznymi kartami przebiegająca pod wpływem potęgi ekonomicznej i nacisku mediów, demagogii i populizmu. Przeprogramowanie umysłów i indywidualnych umiejętności postrzegania prowadzące wśród ogromnego nadmiaru informacji do zaniku zdolności oceniania tego, co się naprawdę dzieje, i do atrofii decyzji.

Widzimy wszelako także powstawanie nowego ładu, nowych struktur, powiązań

i synergii. Jednolita waluta. Włączające się do Wspólnoty, jeden po drugim, nowe kraje. Nowe, wielkie, niepowtarzalne możliwości otwierające się przed tym kontynentem przez stulecia, tysiąclecia rozdieranym wojnami domowymi, konfliktami wrogich państw, który jeszcze wczoraj był podzielony, uwięziony w dwóch przeciwstawnych blokach. Państwa, które niegdyś panowały nad kontynentem i były potęgami kolonialnymi, muszą się teraz uczyć wspólnego życia, a do tego dochodzi jeszcze cały wielowymiarowy, dramatyczny i twórczy świat Europy Wschodniej, który zdecydowanym krokiem wdarł się do tej wspólnej przestrzeni ze swoją ludzką siłą, swoją inteligencją i swoimi roszczeniami.

Co teraz powstanie z tej całej dynamiki przeciwstawnych sił? Wszystkich tych napięć i ogromnych nadziei na pewno nie da się połączyć, jeśli sięgać będziemy jedynie do podłoża dawnych ideologii i dobrych założeń, narodowych, a także do etnicznych i religijnych tożsamości. Lub gdy ograniczymy się do wymiaru ekonomicznego i cały kontynent przemienimy w jeden wspólny organizm finansowo-gospodarczy, pozbawiony jednak nerwów, anemiczny, bez duszy i dlatego skazany na szybki koniec, zapaść. Aby spełnić cud innego świata, nowego marzenia dla kobiet i mężczyzn zamieszkujących nasz mały kontynent na tej niewielkiej, przeludnionej, przegrzanej i wyczerpanej planecie, potrzeba zupełnie innych koncepcji i o wiele szerszych ho-

Następuje przeprogramowanie umysłów prowadzące wśród ogromnego nadmiaru informacji do zaniku zdolności oceniania tego, co się naprawdę dzieje.

ryzontów. Wszystko należy przemyśleć na nowo i na nowo wynaleźć, a mianowicie w sposób dynamiczny i w powiązaniu zarówno z europejską, jak i z globalną sytuacją, w jakiej żyjemy. Należy wyzwolić ogromne uspięne energie, które – być może – tkwią jeszcze spętane we wnętrzu Europy.

Europa to nie wyspa. Geograficznie złączona z ogromnym kontynentem azjatyckim, jest tylko najmniejszą z sześciu części Ziemi, łącznie z białą Antarktydą. Jest to jedyny kontynent w całości leżący na północnej półkuli planety. Europa jest jak ogromne przedgórze, jak fraktal. Do tej tratwy dotarli czterdzieści tysięcy lat temu pierwsi ludzie, którzy przybyli z Afryki i zachodniej Azji, na krótko przed nagłym zniknięciem neandertalczyków. Odtąd przez stulecia i tysiąclecia kontynent przeżywał potężne konflikty, ludobójstwa i wojny. Powstawały narody, całe ludy masakrowały się nawzajem. Tworzyły się struktury dynastyczne, następowały rewolucje gospodarcze i polityczne, rodziły się nowe klasy społeczne ze swoimi ideologiami, które zawsze przedstawiano jako prawdy uniwersalne i ostateczne. We właśnie zakończonym stuleciu stoczono tutaj dwie wojny światowe pełne okrucieństwa i obłądki, niesłychanych zniszczeń, rzezi, holokaustu.

### *Fraktal i tratwa*

I jak antyczna Grecja ze swym tysiącem wysp na Morzu Egejskim była tygłem, w którym stapały się ludy, kultury i państwa, tak i Europa stała się tygłem ludów, narodów, języków i kultur, a także małych i wielkich państw. Ja sam, jako Włoch, ale z na-

zwiskiem, które wskazuje na hiszpańskie, a przede wszystkim żydowskie źródła, noszę wdrukowaną w to nazwisko historię wędrówki ludów i historię prześladowań, historię diaspory oraz walki o wolność i przetrwanie.

Teraz wreszcie z profetycznego marzenia kilku Europejczyków wśród ruin Europy lat czterdziestych zawiązał się zarodek tego starego i nowego politycznego kontynentu. Umieli oni patrzeć w przód, niekiedy nawet, jak zaliczani do ojców założycieli Unii Europejskiej Altiero Spinelli i Ernesto Rossi, z mroku więzienia, i mieli wizję przyszłości Europy. „Lata na tej wyspie – wspominał po latach Spinelli wyspę Ventotene, gdzie w okresie faszyzmu był uwięziony wraz z Rossim – są wciąż we mnie obecne z pełnią, jaka przysługuje momentom i miejscom, w których dokonuje się to tajemnicze wydarzenie nazywane przez chrześcijan wybraństwem. Pojąłem, że w owym momencie byłem podobny do rozwijającego się płodu, który oczekuje na narodziny, i że w tamtych latach, w tamtym miejscu przyszedłem po raz wtóry na świat”.

Wówczas kwestią przetrwania było przezwyciężenie samobójczej sytuacji pata ideologii, w który się wpędziliśmy, oraz sił i potęg, które doprowadziły nas do tej wojny, i znalezienie drogi do rozleglejszej przestrzeni, do szerszego europejskiego horyzontu. Dziś cała Europa powinna – jak wówczas poszczególne europejskie narody – na nowo odnaleźć się i wytyczyć nową drogę, o większym rozmachu i o globalnej perspektywie. Jesteśmy częścią eksperymentu, jakiego nigdy wcześniej nie podejmowano na naszym kontynencie. Dynamiczną

sumą, która powstała nie przez rozmycie granic państwowych i anektowanie coraz to nowych narodów przez państwa agresywniejsze i silniejsze, ale dzięki wielostronnemu porozumieniu.

Mogłoby to być działanie wzorcowe i wytyczające nowe ścieżki. Ludy, grupy etniczne najróżniejszego pochodzenia żyjące w swoim środowisku, ale częściowo przychodzące z krajów w minionych stuleciach najmocniej kolonizowanych, narody, które się dawniej zwalczały, teraz spłotyły się ze sobą w pewnej sytuacji geopolitycznej epokowego i całkowicie nowego rodzaju, co może być dla nich ostatnim zwarem znużonych bokserów, niezdolnych już do wymiany ciosów – lub właśnie przełomem.

Jednocześnie ciągle pojawiają się nowe wyzwania i zagrożenia: na Wschodzie powstają lub odradzają się wielkie państwa, a inne być może zmierzają do upadku z powodu swej ślepoty i chciwości, nie nauczyły się bowiem prastarej lekcji od ropuchy, która chciała być wielka jak słońce i żarła tak długo, aż pękła. Dlatego powodzenie tego eksperymentu ma żywotne znaczenie. Europa może w globalnym kontekście odegrać nową rolę.

Dawne straszdyła powracają właśnie w momencie przyspieszenia – i brzuch Europy, tak jak brzuch świata, znowu jest gotów do przywoływania starych rojeń i do płodzenia nowych: nasza odpowiedzialność jest olbrzymia. Teraz Europa jest uchem igielnym, nieskończenie małym, przejściem, które wymaga poszerzenia – nie tylko dla nas, lecz także dla reszty świata. Nie wystarczy przeciwstawianie się niebezpiecznym ideom, które będą się wiecznie odradzać w Euro-

pie i na świecie. Byłoby to jak ustawianie luster pozwalające tym ideom odradzać się bez końca. Musimy wymyślić coś nowego i lepszego. Ta Europa, która na własnej skórze doświadczyła nieskuteczności dawnych dróg, może teraz być owym brzuchem, w którym owo nowe się tworzy.

Należy zmienić kąt patrzenia, by dostrzec to przejście i to ucho igielne, owo coś, jakby projekcją nadającą sens tej wieży Babel języków, narodów, tożsamości. Należy przesunąć ogniskową, poszerzyć horyzont wśród tych grup ludzkich na tratwie naszego kontynentu unoszącego się na płynnej masie tej małej planety, która powstała cztery miliardy lat temu w ogromnym brzuchu kosmosu i której zapaść w ciągu stulecia przewidują znaczący naukowcy, jeśli ta pełna chciwości i szaleństwa forma życia nie zdoła poddać samej siebie pod dyskusję i zmienić kursu.

### *Dryfowanie bez perspektyw*

Co się stanie, gdy te jeszcze kruche struktury Europy znajdą się pod naciskiem migracji wielkich mas ludności, które dryfują bez perspektyw, wobec zmian klimatycznych i środowiskowych oraz wyczerpywania się zasobów surowcowych?

Przyszedł moment, gdy wszystkie te tożsamości, właściwości i bogactwa będą musiały się odnaleźć w jakiejś większej tożsamości, która nie powinna być

Teraz wreszcie z profetycznego marzenia kilku Europejczyków wśród ruin Europy lat czterdziestych zawiązał się zarodek tego starego i nowego politycznego kontynentu.

niwelującym osłabianiem sił, lecz ich

pomnażaniem. Od tego będzie zależeć przyszłość nie tylko Europy, lecz także całego świata. Nie ma już czasu do stracenia. Muszą powstać pierwsze zarodki struktur kontynentalnych i globalnych, jakich wcześniej nie było, odpowiednio do tego, co się rzeczywiście wokół nas dzieje.

Ostatnio przeczytałem w gazecie doniesienie, które mnie poruszyło. W pobliżu Mantui, mojego rodzinnego miasta, archeolodzy znaleźli dwa ciasno objęte szkielety z epoki neolitu. Byli to z całą pewnością mężczyzna i kobieta. Mieli splecione nogi, obejmowali się, a ich głowy zbliżone były jak do pocałunku. Musiała to być bardzo młoda para, chłopiec i dziewczyna – świadczy o tym pełne uzębienie – pochowana razem w czułym objęciu, które trwa od sześciu tysięcy lat. Europejski uścisk, który przybywa z bardzo odległych czasów. O wiele starszy od średniowiecza, Rzymu, Bizancjum i Karola Wielkiego, śmiałych nordyckich narodów, wikingów i Normanów, Słowian, Celtów, ludów islamu. Pochodzi bezpośrednio z czasu, który arogancko nazywamy „prehistorią”. Kobiety i mężczyźni Europy zaczęli cierpieć i marzyć o wiele wcześniej, niż powstały pierwsze państwa znane nam dziś z ksiązek historycznych.

Kim było tych dwoje? I jakie podłoże miało tak osobliwe pochowanie ich? Akt miłosny czy nagłą śmierć? Ofiara z ludzi, zaskoczona para – jak Paolo i Francesca u Dantego? Albo są to Romeo i Julia, Tristan i Izolda, Eugeniusz Oniegin i Tatiana, Mistrz i Małgorzata? Kim więc byli według naszych wyobrażeń? Historia eksploduje. Z kochanków spod Mantui powstał kochankowie Europy. Wszyscy



pochodzimy z tego objęcia. Powiada nam ono, kim są ci dwoje i kim my się staniemy w najbliższej przyszłości.

Jako autor dobrze wiem, jak bardzo w dzisiejszych czasach została poniżona żywiołowa siła słowa pisanego, tatuaz słów na papierze, jego tchnienie i moc. Jednak dla mnie literatura nie oznacza tej małej rzeczy wytwarzanej przez ogromne maszyny poruszające się w ograniczonym horyzoncie przestrzeni czasowej o krótkim oddechu, gdzie wszystko ulega niwelacji i traci siłę, gdzie nie ma już żadnego napięcia, niczego, co mogłoby wywołać niepokój, myśl, utratę kontroli. Dla mnie ta rzecz, którą – w głupi, uogólniający sposób – nazywa się literaturą, przynajmniej potencjalnie pozostaje także objawieniem, inwazją, wynalazkiem, prefiguracją i eksplozją. Może to być także przejście, ucho igielne.

Pisarze okazujący się godnymi tego miana nie są sługami ducha czasu ani idei uznawanych doraźnie za zwycięskie. Nie są dostarczycielami rozrywki ani nie mają jedynie odwracać naszej uwagi od krótkiego czasu, jaki nas dzieli od śmierci, a co najwyżej nieszkodliwymi moralistami. Nigdy nimi nie byli, nawet w epoce, gdy wszelkie przestrzenie stały się za ciasne i tylko słowo, jako teren podziemny, pozostało poza kontrolą i nieugięte stawiało opór – jedyny nastrój, jedyne przejście, jedyne ucho igielne, przez które przeszło potem wielu.

Pisarze i artyści to niszczyiele i budowniczy, zwiadowcy i myśliciele, prowokatorzy, pionierzy i marzyciele. Dlatego chcę jeszcze powiedzieć słówko o pisarzach i artystach Europy, jej myślicielach i naukowcach oraz o ich odkryciach i wynalazkach.

Chciałbym sobie wyobrazić, jak pośrodku nocy, gdy nikt ich nie widzi, te wszystkie postaci spotykają się na ulicach owego północnego kontynentu, który próbuje się narodzić i odrodzić. Najpierw idą gromadą. Jest ich wielu, płynąca w noc rzeka kobiet i mężczyzn. Nie do wiary ilu ich jest! Udało mi się niektórych rozpoznać: ślepiec-bard, który zajrzał w genetyczny kocioł życia w czas wojny i śpiewał o ludzkości bez pokoju, odwadze bez nadziei; inny, w kapturze, garbatonosy podróżnik w zaświaty, pokazujący nam świat, który wszyscy mamy przed oczyma i w którym wszyscy żyjemy, potem Szekspir, barbarzyński i łagodny, który opowiedział nam o parze młodych kochanków Europy, z Werony, i o krwawym oblężdzie, który rodzi państwa.

Są tam nasi myśliciele i naukowcy, Kopernik, Galileusz, Newton, Darwin... którzy uczyli nas niezależności i cierpliwości, Spinoza, myślący marzyciel, który wpoił nam pogodną dzielność łagodnego i żarliwego człowieka, Leopardi i Hölderlin z ich zwątpieniem i pragnieniem. Dumne, radykalne i łagodne postaci kobiet z rosyjskich powieści ze swoimi wielkimi katastrofami, wielkimi marzeniami i wielką literaturą, łagodne i dzikie pisarki Europy, jak Emily Brönte i Virginia Woolf... melancholijny Mefisto, uwodziciel i wychowawca, młody Julian Sorel ze swą zdradzoną młodością w szponach pożądania i świata, nieokrzesany, śmiały i wruszający Balzac, który pokazał nam, jak powstają i giną społeczeństwa i światy. Jest tam także chuderlawa i klekocząca postać,

Jako autor dobrze wiem, jak bardzo została w dzisiejszych czasach poniżona żywiołowa siła słowa pisanego, jego tchnienie i moc.

która jednak dumnie kroczy z innymi. To kukielka Pinokio, która nauczyła nas owej trudnej sztuki – teraz tak nam, wątpięcym, potrzebnej – przemiany. W pobliżu niego zaś ludzki owad imieniem Gregor Samsa, ze zgniłym jabłkiem ceremonialnie wbitym w grzbiet. Jest tam także Raskolnikow, samotnik z toporem, są meteory Büchner i Rimbaud, którzy uczyli nas niezłomności i namiętności, buntu, delikatności i pogardy. Potem Heloiza i Kasia z Heilbronn, które ukazały nam wzorce miłości, Puszkina, który nauczał wytwarności w obliczu śmierci, i Dostojewski, który swoim tematem uczynił ból. Są postaci ze *Straży nocnej* Rembrandta, wszystkie w jednym szeregu, tak zuchwale ożywione, a wśród nich nasza dziewczynka, ubrana na białe, z kurą, na której skupia się całe światło świata. Nagie ciało Dawida z zagadkową Moną Lisą, która z rozwianymi włosami maszeruje u boku swego dzielnego marmurowego małżonka. Panuje wielka cisza, tylko delikatna muzyka zalega w powietrzu. Co to za muzyka? Skąd dobiega? To muzyka pochodząca od odkrywców mentalnego królestwa muzyki, od tych, którzy z najgłębszej struktury materii dźwięczącej w atmosferze wydobywają inaczej brzmiącą konfigurację kosmosu. A potem jeszcze wielu innych. Jakże zdołalibyśmy ich wyliczyć!? My też jesteśmy w tym tłumie. A przewodzi nam na chwiejącej się szkapie zawsze on, Don Kichot, największy rycerz Europy, nasz wódz.

**Antonio Moresco** (ur. 1947 w Mantui) mieszka w Mediolanie. We Włoszech opublikował w renomowanych wydawnictwach wiele powieści i esejów; uchodzi dziś bezsprzecznie za prekursora młodej



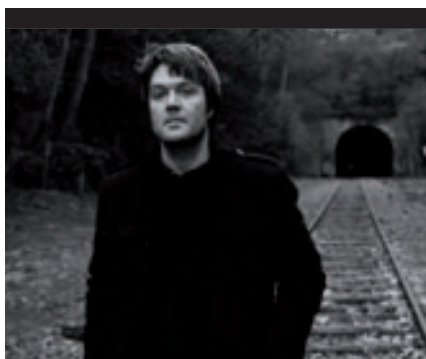
IL GAZZETTINO

Vinto Andreotti

Gorbaciov butta giù la cortina



Taniec na linie Wyzwania, przed którymi stoi Europa, są często technicznej, dość przyziemnej natury, jak np. wynagrodzenia tłumaczy literackich i konferencyjnych. Gdzie indziej jednak autor może tak obficie czerpać z kulturowej różnorodności, jeśli nie tam, gdzie Kafka wzbogacił niemiecką Goethego językiem czeskim i jidysz, stając się nomadą i imigrantem własnego języka.  
*Alban Lefranc*



Gdy trzeba zabrać głos na temat Europy, główne niebezpieczeństwo polega na tym, że możemy popaść w uspokajające i bezdyskusyjne banały. A co do nich wszyscy, przynajmniej w społecznym *milieu*, w którym czytane są te słowa, bezspornie jesteśmy zgodni: tak, warto odkrywać to, co obce; tak, przekłady to dobra rzecz; tak, pokój między narodami w naszej części świata to niezwykła zdobycz, i tak dalej. Jednak chociaż kiedyś głowno się nad tymi tezami, nie uczyniono nic, by zmienić je w konkret. By nie wpaść w tę samą pułapkę,

chciałbym sięgnąć do kilku poglądowych przykładów z mego szcztąkowego i dyskusyjnego doświadczenia tłumacza (z niemieckiego) i francuskojęzycznego pisarza (który napisał wiele książek o niemieckich osobowościach).

Chciałbym rozpocząć od wydarzenia, które jest niezwykle pouczające i symptomatyczne, jeśli chodzi o wgląd w trudność podjęcia (konkretnego) działania na rzecz Europy i sformułowania ogólnego dyskursu o niej. Zaproszono mnie, bym poprowadził w Maison de l'Europe w Paryżu dyskusję z ważnym austriackim pisarzem Wernerem Koflerem i jego nie mniej ważnym tłumaczem Bernardem Banounem, który za swą pracę otrzymał w tym roku Nagrodę Nerval'a. Tematem dyskusji miała być Europa. Ponieważ nie mieliśmy do powiedzenia o Europie nic ogólnego ani też nie czuliśmy się kompetentni, rozmawialiśmy we trzech o specyfice literatury austriackiej, o zarzutach prowincjonalizmu, których obiektem stała się także Elfriede Jelinek, a także o wpływie Thomasa Bernharda itd.

Rozmawialiśmy po niemiecku, ja tłumaczyłem publiczności naszą dyskusję



na język francuski. Nasze wywody nie były ani szczególnie akademickie, ani trudno zrozumiałe, raczej opierały się na życiowych doświadczeniach z zakresu współpracy językowej i tematów europejskich. Kierownik szacownego Maison usiłował nam jednak przerwać, wspiął się na podium i nalegał, by podjąć zapowiedziany temat: Europa! W jego oczach Bernhard, Jelinek i Kohler nie byli dość „europejscy”. Powtórzył potem z naciskiem słynną wypowiedź Umberta Eco: „Językiem Europy jest przekład”. Nie chcąc wcale polemizować, uważam, że mamy tutaj do czynienia z dobrym przykładem na trapiące debatę zagrożenia truizmami. Wyzwania, z którymi Europa ma nader często do czynienia, są mianowicie technicznej, a nawet dość przyziemnej natury i dotyczą przekładu i tłumaczenia symultanicznego, a także wynagrodzenia tłumaczy literackich i konferencyjnych.

*Znakiem jesteście niewytłumaczonym,  
Bez bólu jesteście i prawie  
Mowę zatraciliśmy w tym, co obce.  
(Hölderlin, Mnemozyna)*

Porozumiewanie się w kwestii przekładów w ogóle czy znaczenia zagranicznych literatur ma w sobie coś kojącego, ale w rzeczywistości bardzo niewielu autorów jest dostrzeganych poza granicami ich ojczystego języka, a przemysł kulturalny organizuje się nadal wokół autorów narodowych. (Wyjątek stanowi literatura amerykańska, która – w znacznej mierze zasłużenie – wszędzie cieszy się dużym zainteresowaniem). Trzeba więc ciągle nawiązywać do istotnej roli tłumaczy. Jako francuski powieściopisarz, którego książki tłumaczono na niemiecki (przekładała Katja Roloff), a także jako

francuski tłumacz Petera Weissa, nader często zauważałem, że w recenzjach czy prezentacjach książki nazwiska tłumacza nawet się nie wspomina. Pełen wczucia i zrozumienia przekład z jednego języka na inny, całe godziny, gdy z powodu jakiegoś idiomu tłumacz rwie sobie włosy z głowy, wypytuje autora *czy native speakerów*, aby tylko zrozumieć i oddać nieznanne wyrażenie – ta cała praca zostaje uznana za bliżej nieokreśloną, anonimową usługę i nader często pozostaje niedoceniona. Wiara w przejrzystość języków, przesłodzona ideologia „tout communicationnel”, wyobrażenia wszechobecnej komunikacji są bardziej rozpowszechnione, niż się przypuszcza.

W lutym 2007 roku rozgorzała w Niemczech dyskusja, podczas której w wielu artykułach redakcyjnych ostro krytykowano tłumaczy domagających się wyższych wynagrodzeń i wykpiwano ich jako primadonny. Wytrąca jednak z równowagi fakt, że niemiecka znormalizowana strona przekładu licząca 1 800 znaków jest opłacana gorzej niż znormalizowana strona francuska krótsza o 300 znaków. Należy także wiedzieć, że tłumacz zwykle wykonuje kilka zawodów naraz: ma być agentem autora, którego chciałby przetłumaczyć, i często spada nań trud przekonania zagranicznego redaktora, by zainteresował się kimś mało znanym (nie mówię tutaj o Michelu Houellebecqu czy Amélie Nothomb, ale o tak ważnych autorach, jak Christian Prigent czy Régis Jauffret, aby wymienić tylko tych dwóch zupełnie w Niemczech nieznanych).



Oczywiście działa to również w drugą stronę, wobec bardzo dobrych autorów niemieckich. Ten sam tłumacz dostarczający prasówkę o książce, która miałaby zostać przełożona, przedkłada także dwunastostronicową próbkę tłumaczenia – bez żadnej gwarancji, że te wszystkie działania do czegoś doprowadzą. Dlatego chciałbym, by w debacie o przekładach nie zaniedbano prostych, lecz fundamentalnych kwestii, a mianowicie kwestii honorariów, docenienia osoby tłumacza (choćby tylko przez wymienienie jego nazwiska w recenzji) i jego pracy.

Stosunek nas, Francuzów, do Dostojewskiego czy Döblina opierał się na przekładach, które niedawno zostały poddane gruntownej rewizji i które przywróciły nam nieprzeniknioną i obcą tych autorów, uwolniły ich od trybu francuskiej składni tam, gdzie pierwsi tłumacze próbowali ją siłą narzucić. Za ponowne odkrycie rosyjskich powieściopisarzy należy pochwalić tutaj André Markowicza. Kiedy pytano go o status gwiazdy wśród tłumaczy, gdy stał się obiektem krytyki, odrzekł: „Przynajmniej w jednej sprawie mi się powiodło: że zwraca się uwagę na przekład, że się zauważa, iż książka jest tłumaczona. W teatrze zwykle nie zwraca się uwagi na to, że sztuka została przetłumaczona. Po raz pierwszy tłumacz zostaje uhonorowany jak autor. I to jest pozytywne”.

Również nowy przekład *Berlin Alexanderplatz* Oliviera le Laya dopiero teraz umożliwił ponowne odkrycie tej powieści,

która w pierwszym tłumaczeniu została drastycznie okrojona o jedną czwartą i skrajnie wygładzona. Te same wstrząsające momenty odkrycia całkowicie innej książki, momenty stwierdzenia, że pod tym samym mianem (*Berlin Alexanderplatz*, *Zbrodnia i kara*, tytuły towarzyszące nam od dawna) kryje się nowy syntaktyczny kierunek uderzenia i nowe odczucia, pozwalają nam uświadomić sobie kruchość pobytu na tym świecie. Nasze postrzeganie świata, a nawet naszego życia żywi się lekturą wielkich dzieł światowej literatury.

### *Syntaktyczny kierunek uderzenia*

Podczas tłumaczenia pojawia się stałe niebezpieczeństwo polegające na galicyzacji tekstu, wlaniu go w naszą formę. Dlatego Olivier le Lay, autor nowego przekładu powieści Alfreda Döblina, stwierdza, że cieszy go, gdy ktoś mu mówi, iż przy czytaniu zauważa się, że to przekład. Dlaczego koniec końców mielibyśmy zacierać obcość tekstu, skoro przecież to ona jest tym, czego szukamy?

Chciałbym opisać ten właśnie stosunek do obcości, tę utratę oczywistości języka, to quasi-cieleśne nabywanie świadomości, że język nigdy nie jest dany, że z konieczności podkopuje go to, co niezrozumiałe i stawiające opór. Mieszkałem w Niemczech prawie siedem lat, tylko na krótko wyjeżdżając do Francji. Naturalnie o wiele mniej drastycznie, niż to przedstawił z emfazą Hölderlin, jak wielu innych doświadczyłem tej obcości i

zawieszenia, w jakie popada się po kilku miesiącach pobytu w danym kraju, którego język, nieważne, jak dobrze znany, zawsze pozostaje językiem obcym. Nagle znajdujemy się między francuskim skrzyżowanym z niemieckim (moją mowę ojczystą zaczynają obsiadać liczne germanizmy) a niemieckim przenikniętym przez francuski, co stanowi doświadczenie szczególnie bolesne dla tłumacza, albowiem zaczyna on tracić naturalne wycucie języka (lub to, co za nie uważa), gdy chodzi o składnię, a nawet słownictwo (różnica imparfait/passé simple, system zaimków, by wymienić tylko te dwa punkty).

Ma się także wrażenie tracenia kontaktu ze współczesnymi wyrażeniami macierzystej mowy, z jej wielokształtnymi przemianami, jej ciągle się odnawiającym argot; ilekroć wracałem do Paryża, witało mnie mnóstwo nowo powstałych wyrażen. Ale ten stan zawieszenia może nas nauczyć także „tańca na linie”, jak nazywają to Deleuze i Guattari w książce o Kafce (*Kafka: Pour une littérature mineure*). Obaj filozofowie domagają się tutaj od nas, byśmy pogłębiali język, stali się nomadami i imigrantami własnego języka, i mniejszością – jak Kafka, który wzbogacił niemiecką Goethego językiem czeskim i jidisz. Nadał językowi niemieckiemu czyste brzmienie i oswobodził go z zaskorupień i klisz zubożających go w Pradze z początku XX stulecia. W zupełnie inny sposób książkę Bernarda Lamarche’a Vadela (*Vétérinaires, Sa vie son oeuvre*) stanowią poruszające

przykłady przeniesienia języka niemieckiego do francuskiego; posługują się one szczególną, „bezużyteczną”, ale niezwykle piękną i niepokojącą mową, jak gdyby Thomas Bernhard skrył się za plecami klasycznej francuszczyzny moralistów Grand Siècle’u.

Kolejny aspekt tej hybrydyzacji polega na wyborze tematów rekonstruujących inną historię narodową niż właściwa autorowi; tematem moich trzech pierwszych powieści (tytuł niemiecki: *Angriff. Fassbinder, Vesper, Nico. Drei Romane*, przełożyła Katja Roloff) są Niemcy okresu odbudowy z lat 60. i 70. XX wieku. Dokładniej: od Fassbindera, Bernharda Vespera, Frakcji Czerwonej Armii aż do śpiewaczki Nico. Jako historyk czy specjalista w tych kwestiach, nigdy nie odważyłbym się na zabieranie głosu na tak wyraźnie delikatnym i problematycznym terenie, ale dokonałem nań projekcji własnych biograficznych napięć. Usiłowałem sobie także wyobrazić możliwego Baadera i Fassbindera (tak samo wiarygodnych i prawdopodobnych jak ich historyczne wzory), ale spojrzeniem Francuza, który wprawdzie wchłonął filmowe kolaże Godarda i wiersze Apollinaire’a, jednakże w równym stopniu zafascynowany był techniką bokserką Mohammeda Alego; gdy tworzyłem z materiału historycznego i artystycznego czy sportowego i cudzoziemskiego, zbliżałem się do niemieckiej historii.

Możliwość zmieszania rodzajów/gatunków i wpływów świetnie ujął Malcolm Lowry we wstępie do swej powieści *Pod*

Dlaczego koniec końców  
mielibyśmy zacierać obcość tekstu,  
skoro przecież to właśnie ona  
jest tym, czego szukamy?

*wulkanem*. Powiedział tam: „Powieść należy traktować jak swego rodzaju symfonię, rodzaj opery – lub nawet jak western. Chciałbym zrobić z niej jazz, wiersz, piosenkę, tragedię, komedię, farsę i wiele innych jeszcze składników. (...) Powieść to prorocstwo, polityczne ostrzeżenie, kryptogram, głupi film, mane, tekel, fares, słowo na ścianie”.

Te wzajemne połączenia, te dziwaczne historyczne, językowe i gatunkowe przeniesienia pomogą może pewnego dnia stworzyć swoistość europejskiej literatury, ale zarazem należą już do jej części składowych – a umożliwiają to tłumacze.

**Alban Lefranc** (ur. 1975) mieszka w Paryżu, jest pisarzem, tłumaczem i współwydawcą niemiecko-francuskiego pisma literackiego „La mer gelée”. Na początku 2009 roku ukazała się jego najnowsza powieść *Vous n'étiez pas là* (Verticales/Gallimard, Paryż). Wydawnictwo Blumenbar Verlag wydało w październiku 2008 roku jego powieść *Angriffe. Fassbinder. Vesper. Nico. Drei Romane*.



abcdefghijklmnopqrstuvwxyz

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

1234567890

**Użyteczny zestaw** Kultura może być turystyczno-edukacyjnym zestawem upominkowym, zawierającym trochę historii, trochę folkloru, jeden czy dwa wiersze. Może być zwykłym produktem marketingowym albo służyć jako zestaw do identyfikacji. Jasne jest, że słowo „kultura” znakomicie pasuje do słownika administracyjnego żargonu UE, jednak najczęstsze pojęcia są w nim zarazem najbardziej rozmyte. *Dubravka Ugrešić*



**Z**eus, ojciec wszystkich bogów, uśmiecha się dziś z zadowoleniem, obserwując działania swej ukochanej Europy. Nie można powiedzieć, że zawiodła jego oczekiwania, bo na początku nie miał żadnych. Zanim ją opuścił, zostawił jej elegancko dwa upominki, których może sobie życzyć każda kobieta: włócznię, która nigdy nie chybia celu, i cenny klejnot.

Europa, po wykorzystaniu swego wielbiciela jako najszybszego środka transportu pomocnego w dotarciu do dogodniejszych geograficznie okolic i po kilku erotycznych eskapadach z rogatym zwierzem, któremu nawet urodziła synów, chętnie

poślubiła miejscowego młodzieńca imieniem Asterion. W życiorysie biednego Asteriona znajdziemy tylko informację, że poślubił ukochaną Zeusa i adoptował jej trzech nieślubnych synów – poza tym nic. Dzięki swemu wrodzonemu talentowi jednakowo łatwego dochodzenia do ładu z bogami, zwierzętami i ludźmi oraz dzięki niewielkiemu, ale wartościowemu kapitałowi, który jej przekazano za ewentualne szkody moralne, Europa żyła sobie dostatnio. Ta pierwsza wyprawa na grzbiecie Zeusa pobudziła jej geograficzny apetyt, więc odkrywała ciągle nowe kraje i kontynenty. Wiele skolonizowała, ale ostatecznie też zdekolonizowała. Wzbogaciła się. Przemysłała wiele spraw. Dla takich pojęć, jak demokracja, humanizm, sztuka, literatura i filozofia żądała dla siebie wyłącznego copyright. Była także agresywna, prowadziła wiele wojen i osiągnęła perfekcję w niszczeniu. Przed kilkoma dziesięcioleciami dokonała najgorszego i najstraszniejszego przestępstwa – wymordowała około sześciu milionów Żydów, co jednak nie przeszkadza jej odgrywać roli arbitra moralności, ilekroć nadarzy się okazja. Europa jako dobra i mądra pani domu jednoczy dziś swoje kraje, choć ostatnio nie zdała egza-

minu z tego jednoczenia. Ona, która nie zapobiegła rozpadowi Jugosławii i wojnie, lansuje dziś określenia w rodzaju jednostki ponarodowe i ponarodowe układy. Ona, która na przykład nie zauważyła zniknięcia „Jugosłowian” (a była to etnicznie indyferentna „mieszana” mniejszość żyjąca w niegdysiejszej Jugosławii, choć liczbowo większa od Słowenów, którzy zyskali świadomość narodową), stawia dziś jako główny warunek przyjęcia w jej szeregi wymóg ścisłego respektowania praw mniejszości.

Kto wie, może właśnie dlatego kultura należy do najważniejszych ideologicznych dźwigni europejskiego zjednoczenia. Tak jak kiedyś każda miłośnica w państwach komunistycznych miała swój „dom kultury”, tak dziś europejską mapę zjednoczenia pokrywa sieć wirtualnych i realnych „domów kultury”. Kultura może być turystyczno-edukacyjnym zestawem upominkowym, zawierającym trochę historii, trochę folkloru, jeden czy dwa wiersze, może służyć jako zestaw do identyfikacji, jako niejasny punkt szacunku dla siebie i innych, jako wolna przestrzeń przypisywania i wczytywania znaczeń. Kulturę można ujmować jako formę życia, czy to dla Berberów, czy dla barbarzyńców (whether of Berbers or Barbarians), jak dowcipnie zauważył brytyjski teoretyk literatury Terry Eagleton, jako kulturalno-historyczny ciąg od Seneki do Seinfelda, jako opozycję do definicji barbarzyństwa, jako romantyczny symbol, jako formę manipulacji i dominacji,

Dziś Europa jako dobra i mądra  
pani domu jednoczy swoje kraje,  
choć ostatnio nie zdała egzaminu  
z tego jednoczenia.

jako zwykły produkt marketingowy albo jako synonim określenia tożsamość narodowa. Słowo kultura znakomicie pasuje do słownika administracyjnego żargonu UE, jednak najczęstsze pojęcia są w nim zarazem najbardziej rozmyte, jak mobilność, fuzja itd.

W tym nowoeuropejskim sensie kultura miałaby być tradycyjna, narodowa i kosmopolityczna, po prostu wszystkiego po trochu w roztropnej mierze i w wyważonych proporcjach. Powinna prezentować swoją specyfikę, ale zarazem pozostać otwarta, powinna otwierać granice, ale zarazem utrzymywać stereotypy. Każdy turysta swoją wizytę w Holandii wieńczy zakupem przynajmniej jednej pary małych sabotów, miniaturki wiatraka i cebulki tulipana. I choć tulipan to kwiatna inspiracja z Turcji, choć w błotnistej Europie Północnej rolnicze ludy wszędzie noszą takie drewniane buty, a wiatraki obracają się także w Don Kichocie, nie zdoła to odwieść turysty od twardego postanowienia, by z podróży do Holandii przywieźć coś holenderskiego. Także sklepy z pamiątkami na to się nastawiają. Nikt tak dobrze jak one nie wie, że próba uwolnienia rynku od stereotypów kończy się bankrutem.

Kultura jest więc reprezentacją czegoś. W tej bardzo typowej fuzji pojęć wiąże się z bardzo szerokim rozumieniem słowa sztuka. Europa w swej bogatej historii kultury ustanowiła mecenat, płodne połączenie sztuki i pieniędzy, które zainaugurowało także „złoty wiek” i europejski kanon kulturalny. Później Europa zakosztowała połączenia sztuki z ideologią, okresów, kiedy to według Waltera Benjamina „faszyzm



zestetyzował politykę”, a „komunizm upolitycznił sztukę”. Europa przeżyła różne estetyczne kanony, koncepcje artystyczne i okresy – długie okresy elitarnej kultury wysokiej, a potem także czas „mechanicznej reprodukcji” i pozbawienia sztuki aury – by na koniec wylądować wśród totalnego rozpadu koncepcji, ale także silnej jego dynamiki, sprawiającej, że mieszają się ze sobą demokratyzacja sztuki i panowanie rynku, silna dominacja kultury masowej, która częściowo jest amerykańska, i w związku z tym także geopolityzacja kultury, a na koniec pozostałości tradycyjnych koncepcji kultury i ich upolitycznienie. W tym procesie Europa, która jako decydującego narzędzia ideologicznego używa właśnie kultury, czuje potrzebę ponownego jej wyartykułowania i przededefiniowania.

### *Płatni entuzjaści Europy*

Na pierwszy rzut oka to żaden powód do zmartwienia. Krótka wędrowka po Internecie pokazuje, że Europę oplata rozległa sieć setek autostrad, dróg i ulic, setek funduszy i fundacji, organizacji patronackich i pozarządowych, usług kulturalnych i wirtualnych biur, których jedyne zadanie polega na umożliwianiu niezakłóconego transferu kultury. W sferze usług i logistyki tego kulturalnego ruchu i kulturalnej kooperacji pracują liczni menedżerowie kultury, „oficerowie”, „adwokaci” kultury i pośrednicy kulturalni. Ci ludzie to płatni euroentuzjaści, postnacionaliści i internacjonałowie, kosmopolici i globaliści, europejscy i regionalni nacjonalisci, szermierze europejskiej odrębności i różnic,

ale też europejskiego zjednoczenia, profesjonaliści o wielu tożsamościach, ludzie o wielu głowach na jednej szyi. W łonie tej dynamiki – w rozległej sieci europejskich biurokratów zajmujących się kulturą i wśród jeszcze nieusieciowionych bezpośrednich producentów kultury – rozgrywa się obecne i przyszłe życie kulturalne Europy.

Choć literatura dawno utraciła dominującą pozycję, oddając ją mediom bardziej atrakcyjnym i reprezentatywnym, jej życie rozwija się według tej samej dynamiki. Także współczesny autor europejski, szczególnie ze Wschodu, jest produktem tej chaotycznej dynamiki kulturalnej. Ma ciało o wielu głowach, stara się zajmować pozycję zgodną z przemianami. Dyskretnie próbuje zachować tradycyjną „duszę swego narodu”.

W krajach zachodniej Europy ta pisarska funkcja już dawno uległa odpolitycznieniu, ale trwa skrycie jak jakaś synekura. W nowo dołączonych krajach wschodnioeuropejskich, którym jak dotąd nie udało się jeszcze rozstać ze swoim „wyzwalającym” nacjonalizmem, pisarz nadal jeszcze jest użyteczny jako „dusza narodu”. Ten model nie stracił więc na atrakcyjności. „Dusza” bowiem jednego narodu najłatwiej komunikuje się z „duszą” innego narodu. Komunikacja „duszy” bez granicy i stałego adresu kształtuje się już trudniej, nieprawdą? Uprzednio nasz Litwin czy Słoweniec broniący autonomii „sztuki literackiej” odmawiał roli przedstawiciela swojego (komunistycznego) narodu. Dziś znowu jest gotów nim być. Ze względu na swój (postkomunistyczny) naród? Ponieważ zmieniła się

jego postawa wobec literatury? Nie, z powodu prawa podaży i popytu w sferze kultury. Europejski rynek literacki może bowiem nie wytrzymać szturmowi pięćdziesięciu litewskich pisarzy (dotyczy to także rynku litewskiego, który może sprostać nie więcej niż dwóm pisarzom holenderskim) i dlatego zaprasza tylko jednego lub dwóch. Ci dwaj wybrani uchodzą za „przedstawicieli” literatury litewskiej. I tak nasz człowiek Wschodu (ale także Zachodu) jest zarówno zorientowaną na Europę „duszą”, która tęskni do afirmacji na europejskim rynku, jak i „duszą globalistyczną”, gotową natychmiast sprzedać swoją europejską afirmację i zamienić ją na zyskowniejszą amerykańską. Wyjście z raju literatur narodowych, gdzie pisarza wciąż jeszcze uznaje się za „przedstawiciela” i artystę słowa, obejmuje zgodę na demokrację rynku.

Przed pisarzami ze Słowacji czy Słowenii, otoczonymi dotąd przez krótkowzrocznych kolegów z ciężkim siedzeniem, stoi więc konfrontacja z rynkiem. Na tym rynku oczekuje ich między innymi David Beckham, który niedawno otrzymał nagrodę British Book Award, bo podpisaną swoim nazwiskiem książką przysporzył przemysłowi księgarskiemu góry pieniędzy. Dlatego nasz Estończyk, jeśli jest rynkowym optymistą, będzie musiał znaleźć w swoim terminarzu literackim czas także na regularne wizyty w siłowni. Konkurencja bowiem jest mocna, nierówna i deprymująca. Szczerze mówiąc, opóźnienie konfrontacji z brutalnym rynkiem, przynajmniej w okresie

przejściowym, umożliwiwia europejska biurokracja kulturalna, która nadal jeszcze szanuje i stymuluje wymianę literackich tożsamości narodowych. Kasuje za to jeden czy dwa procent, tak jak każdy agent. Jednak nie są tu bez winy również czytelnicy. Aby szybko zdobyć informacje, czytają nawet przekłady z estońskiego.

A co z tymi, którzy nie mają żadnej tożsamości narodowej? Z bagażem kosmopolitycznym, proletariackim, intelektualnym, z adwokatami europejskiej tożsamości, europejskiego *melting pot*, który chciałby wymazać granice państw oraz narodowe i etniczne podziały i regulować tę tożsamość jednym europejskim paszportem i statusem obywatela Europy? Tacy ludzie będą musieli jakoś przetrwać. Tacy ludzie mogą ulokować swoją utopijną nadzieję jedynie w mobilności wielkiego kapitału, jakkolwiek paradoksalnie to brzmi. W przyszłości mianowicie, jako *identity maker*, mogłaby zamiast narodu i państwa wystąpić jakaś potężna korporacja, a wtedy mogłoby się zdarzyć, że logika pieniądza po prostu wymazałaby granice państw i tożsamości. Gdyby tak się stało, Serbia mogłaby przyjąć miano Ikei, jej mieszkańcy – Ikean, Słowenia stałaby się Siemensją z mieszkańcami Siemensjanami. I można sobie wyobrazić przywódcę politycznego w jakimś europejskim kraiku, jak daje do zrozumienia rodakom: „Jeśli będziecie się źle zachowywać, sprzedam was Billowi Gatesowi”.

Także życie wydaje się nieodparcie zmierzać w tym kierunku. Po przyjęciu nowych członków ze Wschodu to nie

W nowo dołączonych krajach  
wschodnioeuropejskich pisarz  
nadal jeszcze jest użyteczny jako  
„dusza narodu“.

Wschód przesiedla się na Zachód, czego obawia się każdy przerażony zachodnioeuropejski szowinista, to raczej Zachód osiedla się na Wschodzie. Nic nie wiem o ścieżkach wielkiego kapitału, ale wiem, że chorwackie wybrzeże zostało sprzedane, że bułgarskie miasto Warna zaludnili średnio zamożni Holendrzy, Belgowie i Niemcy, którzy spóźnili się z zakupem we właściwym czasie mieszkań w Dubrowniku, Pradze czy Budapeszcie, więc teraz kupują tam, gdzie to tylko możliwe. Nie wykluczone, że ci mali, ale liczni i niewidoczni migranci, na których nikt nie zważa, ci drobni posiadacze chorwackich, bułgarskich i rumuńskich metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej określają przyszłość Europy – także kulturalną, dlaczego by nie. Wiedzą, że życie w krajach świeżo po akcesji (i w czekających jeszcze na nią) jest tańsze i weselsze niż w drogich zachodnioeuropejskich urbanistycznych gettach. Także tutaj istnieje jakaś „diabelska” tożsamość na eksport: od śmiesznie wielkich bułgarskich czewapcziczi do potężnego zaśpiewu bułgarskich babć.

Co się tyczy przyjęcia nowych członków, serce skacze mi z radości, gdy sobie wyobrażę, jak Francuzi wymawiają litewskie nazwiska, a Niemcy łotewskie. Poza tym cieszę się, że Litwini, którzy dotąd chlubili się, iż Wilno jest geograficznym centrum Europy, po wstąpieniu do UE musieli stonować swój bezbrzeżny entuzjazm ze względu na własną specyfikę narodową.

A sama literatura, czy zmienia się dzięki tej interakcji? Przyjmuję, że w pierwszej fazie adaptacji słowaccy, litewscy i łotewscy

pisarze dołożyli jeden czy dwa tytuły do już istniejącej sterty książek o osobistych cierpieniach autorów w czasach komunizmu. W Belgradzie handlarze pamiątek sprzedają obecnie małe popiersia Tita (30 euro za sztukę). „To dla cudzoziemców, oni chcą zabrać ze sobą coś komunistycznego”, mówią sprzedawcy.

### *Wśród Ikeañczyków*

W literaturze – tak zakładam – szybko wróci topografia, która zatraciła się z biegiem lat. W co inteligentniejszych chorwackich powieściach z przełomu XIX i XX wieku i z pierwszej połowy XX wieku (a podobnie jest w literaturze czeskiej, węgierskiej i innych) bohaterowie podróżowali między Wiedniem, Pragą i Budapesztem, mówili po niemiecku lub francusku. Książki te wydawano w języku chorwackim bez objaśnień w przypisach. Ta topografia zwycięży. Z topograficznego repertuaru ludzi ze Wschodu powoli będą znikać tematy wygnania, paszportu i wizy, a także podział Europy na „my” i „oni”. A z pola widzenia marginalnej grupy ludzi Zachodu, którzy interesowali się Wschodem, znikną również te bombastyczne imperialne składniki. Na pewno byłoby ciekawie, gdyby europejscy autorzy popatrzyli sobie w oczy i coś o tym napisali. Jednak entuzjazm, jaki wybuchł z powodu zjednoczenia, i poprawność polityczna nie dadzą im na to szansy. Także rynek będzie stawiał na lżejsze i pogodniejsze literackie tematy.

I na koniec, skoro jesteśmy już przy temacie europejskiego literackiego zjednoczenia i literackiej geopolityki, rzućmy okiem

na myśl Mirosława Krleży: Co znaczy w dzisiejszym świecie pojedyncza książka, czy jej wydanie rzeczywiście ma sens? Mniej niż kropelka wody w Amazonce. Gdy przed czterystu laty jakiś Erazm publikował swoje książki w dwustu egzemplarzach, dla elit od Cambridge i Paryża aż po Florencję było to wydarzenie, ale dziś – między setkami targów książki, na których pojawiają się setki tysięcy nowości – jak można w ogóle zauważyć jedną samotną książkę? Wielcy mistrzowie, którzy uczynili z książki zyskowny interes, autokraci metropolii literatury i sztuki wyznaczają rynkowi literackiemu smak i kryteria estetyczne, i bez wrzawy ich propagandy tysiące i setki tysięcy książek przepadają w absolutnie anonimowej ciszy. Nie chcę powiedzieć, że prasa i reklama będą mi konstruowały literacki sukces, tak jak zwycięstwa w wyścigach konnych nie można uzyskać wrzawą w gazetach, ale ewentualne przewartościowanie literackich wartości mogłoby dziś dać inny obraz literatury europejskiej niż prezentowany przez prasę wielkich ośrodków. Myślę, że to jest bezsporne. Struktura wartości przeciętnej lub całej produkcji literackiej nabrałaby innego wymiaru. Być może nie zachwiałyby to dzisiejszymi kryteriami, ale w każdym razie galeria słyszalnych głosów wzbogaciłaby się o kraje, którym dostęp do literackich metropolii uniemożliwiają ich nieznanne szerzej języki. Przynajmniej

W chorwackich powieściach z przełomu XIX i XX wieku bohaterowie podróżowali między Wiedniem, Pragą i Budapesztem, mówili po niemiecku lub francusku.

na mapie poszerzyłyby się granice dobrych książek.

*Lamento* Krleży nie straciło do dziś, wiele dziesiątek lat po powstaniu, swego sensu. Na sprawiedliwy literacki osąd będziemy musieli poczekać, bo literatura to teren geopolityczny. Istnieją wielkie, imperialne literatury, na pozór wyposażone w wartości uniwersalistyczne, i są literatury małe, narodowe, od których oczekuje się, że zwiążą w pęczek i wniosą swoją lokalną, regionalną, etniczną, ideologiczną i inną specyfikę. Podczas ledwo zakończonej wojny w byłej Jugosławii wielu cudzoziemców, którzy przybyli tam służbowo lub z innych powodów związani byli z tym terytorium, chwaliło mi się, że czytali Ivo Andrić i Mirosława Krleżę. Dlaczego? – pytałam. By lepiej zrozumieć bałkańską mentalność, brzmiała odpowiedź. Gdybym powiedziała jakiemuś Niemcowi, że czytam Güntera Grassa, by lepiej zrozumieć „niemieckiego ducha”, albo Amerykaninowi, że czytam Philipa Rotha, by pojąć istotę amerykańskiej mentalności, jestem pewna, że byliby niemiło poruszeni. Grass i Roth to wybitni literaci, a nie autorzy turystyczno-duchowych przewodników. Peryferii wszakże i centrum nie traktuje się dziś jednakowo; nie było tak również w przeszłości. Dlatego książki Krleży i Andrić także w przyszłości pozostaną dla wielu jedynie literackim przewodnikiem po Bałkanach.

Podobna różnica w traktowaniu twórczości zachodzi między literaturą a literaturą kobiecą. Ta pierwsza dźwiga ciężar wartości uniwersalnych, podczas gdy druga zajmuje się wąską, uwarunkowaną płciowo specyfiką. Gdy na przykład kobiety piszą

o seksie, chodzi o kobiety punkt widzenia, gdy piszą mężczyźni, punkt widzenia jest stale uniwersalistyczny. Każdy pisarz to wydarzenie samo w sobie, coś szczególnego. Pisarki niemal zawsze „traktowane” są w praktyce (teorii literatury, historii literatury i socjologii) jako grupa, w formacjach, po dwie, po trzy, po cztery, zwłaszcza gdy pochodzą z małych krajów. Dwie Bułgarki, dwie Wschodnioeuropejki, ... Zorientowane na płęć krytyczki literackie, które uparcie interpretują teksty literackie jako fenomen płciowy, nie różnią się jakoś szczególnie od sztywnych, szowinistycznych krytyków literackich. Także oni widzą w literaturze pisanej przez kobiety wyłącznie problem płciowy. Dlatego siostrzana troska o status literatury, której autorkami są kobiety, przyczynia się do tego, że siostry nadal gniją się w swoim płciowym getcie, tyle że teraz, zauważmy na pociechę, jest ono mniej ukryte. Tak długo oczekiwane prawo do zachowania płciowej, etnicznej lub rasowej tożsamości przemienia się ostatecznie w koszmar i staje się karą.

Zapewne na literackiej mapie świata są rzeczy o wiele bardziej skomplikowane, niepozwalające się sprowadzić do takich binarnych związków, jak między peryferiami a centrum, między dużymi i małymi literaturami, czy do problematyki płci. Zresztą wystarczy tylko wyobrazić sobie potężną literacką produkcję Chin i tamtejszą wielomilionową publiczność, a od razu skromny wzrost litewskich i estońskich akcji na europejskim rynku literackim zupełnie traci na znaczeniu. Do zrozumienia wszakże skomplikowanych stosunków w obejmującej cały świat „literackiej republice” lepiej niż tradycyjny system pojęć przydają się na pewno rekurs i dyskurs ekonomiczny oraz polityczny (powołuje się na niego francuski krytyk literacki Pascal

Casanova w książce *The World Republic of Letters*) i takie określenia, jak kapitał literacki, ekonomia literatury, rynek werbalny, światowy rynek dóbr intelektualnych, bogactwa niematerialne, polityka literacka. Dlatego, drodzy koledzy pisarze, otwórzmy się na wyzwania kapitału i fizyki! Metafizyka bowiem służy już tylko kryminalistom jako alibi dla ich uczynków.

**Dubravka Ugrešić** urodziła się w 1949 roku w dzisiejszej Chorwacji. Zanim musiała w 1993 roku emigrować z powodów politycznych, wykładała literaturę na uniwersytecie w Zagrzebiu. Potem pracowała jako nauczyciel akademicki na amerykańskich i europejskich uniwersytetach. Otrzymała liczne nagrody, m.in. w 1995 roku Europejską Nagrodę za Esej im. Charles'a Veillona. W języku niemieckim ukazała się w 2007 roku jej powieść *Das Ministerium (Ministerstwo bólu)* i tom esejów *Keiner zu Hause (Nikogo nie ma w domu)* - oba tytuły w wydawnictwie Berlin Verlag.



abcdefghijklmnopqrstuvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNPOQRSTUVWXYZ  
1234567890







Co najmniej jak koledzy Na kontynencie europejskim żyje skromna, zapędzona w kąt, od stuleci raz po raz podbijana, peryferyjna Europa wschodnich i południowo-wschodnich ludów. Literatura jest jedną z możliwości doświadczenia wielowarstwowej normalności. Albowiem kto czyta, ten ma przywilej wglądu w umysł innego człowieka. Może się wygodnie umościć między myślami autora. *Andrea Grill*



Przed wszystkim chciałabym się usprawiedliwić przed czytelnikami, że będę mówić tutaj o własnej książce. To trąci autoreklamą. Zwłaszcza że chodzi o moją najnowszą książkę. Cóż, nikt nie poradzi sobie bez autopromocji. W tym wypadku jednak idzie o to, że zapytana o rolę, jaką odgrywa wielojęzyczna literatura Europy we wzajemnym zrozumieniu i postępie Europy, muszę ograniczyć się do tego, na czym się znam. Wprawdzie twierdzenie, że na czymś się znamy, zawsze jest ryzykowne, ale o własnych książkach autor może tak mówić z relatywnie czystym sumieniem.

Moją trzecią książkę omawiano w albańskich gazetach, zanim w Austrii w ogóle zauważono, że się pojawiła. Jak to możliwe? Powieść została napisana po niemiecku i opublikowana w austriackim wydawnictwie. Jednakże albańscy recenzenci najwidoczniej jej nie przeczytali: poprawnie odtworzyli kwintesencję akcji, ale przechrzcili głównego bohatera. Nazywa się on Galip. Oni nazywają go Dalip. I chwalą książkę. Nieznana. Dlaczego? Skąd to zainteresowanie książką, którą w Albanii mało kto potrafi przeczytać? Nawet dziennikarze, którzy o niej pisali.

„Takie sytuacje, gdy głównymi bohaterami książek europejskich pisarzy są Albańczycy, to teraz niezmiernie rzetelność, która powinna inspirować również nas... ale przede wszystkim sprawia, że czujemy się lepiej, co najmniej jak koledzy!”, napisał w artykule Aleko Likaj.

Co najmniej jak koledzy! Nie spodziewałam się, że samo pojawienie się bohatera mojej powieści może sprawić, iż ktoś poczuje się lepiej. Dla mnie, jako autorki, ta sytuacja jest tyleż radosna, co dająca do myślenia. Czy cieszyliście się kiedyś z tego, że bohater powieści jest Niemcem, Anglikiem, Francuzem, Włochem, Austriakiem, Portu-

galczykiem, Szwajcarem? Czy jako Niemcy, Anglicy, Francuzi, Włosi, Austriacy, Portugalczycy, Szwajcarzy byliście kiedyś dumni, że w jakiejś książce, której nie potraficie przeczytać, napotkaliście wymyślonego rodaka? Muszę powiedzieć, że nie mogę sobie przypomnieć, bym była szczególnie dumna czy uradowana, napotkawszy w jakiejś książce Austriaka. Nie przychodzi mi do głowy żaden przykład radości z austriackiego bohatera powieściowego. Myślę, że cieszymy się z czegoś, co wydaje się nam niezwykle. Nie cieszymy się z rzeczy zwykłych. Może należałoby się z nich cieszyć, nauczyć się tego. Co mnie wydaje się normalne, dla innego jest sprawą wyjątkową.

Co najmniej jak koledzy... Pierwsze z serii pytań, które postawiono, proponując mi napisanie tego eseju, brzmiało następująco: jaką rolę może odegrać literatura w życiu Europy? Odpowiedź może być prosta, ujęta w jednym zdaniu: literatura to możliwość przeżycia wielowarstwowej codzienności mówiących innymi językami mieszkańców różnych regionów geograficznych. Oczywiście są także inne możliwości, np. film czy telewizja. Malarstwo. Zwiedzanie danego regionu. Jednak literaturze właściwe jest coś, czego innym formom sztuki brak, a mianowicie puste miejsca. Miejsca między słowami, które pozwalają czytelnikowi inkorporować w najbardziej prywatnej formie tę inną rzeczywistość i prawdziwie ją sobie przyswoić. Kto czyta, ma przywilej wglądu w umysł innego człowieka. Może

Czy cieszyliście się kiedyś z tego, że bohater powieści jest Niemcem, Anglikiem, Francuzem, Włochem, Austriakiem, Portugalczykiem, Szwajcarem?

się wygodnie umeścić między myślami autora. „Kto żywi się książkami, zjada siebie samego kawałek po kawałku”, powiada albańska poetka Luljeta Lleshanaku w wierszu zatytułowanym *Żółte książki*, w którym mowa o ważności niegdyś zakazanych książek. Książek, które ukrywano i czytano w tajemnicy lub tylko ukrywano, bo już samo ich posiadanie było czymś szczególnym, książek, z których poetce, jako czytelniczce, niewiele więcej zostało w pamięci niż sam proces ukrywania. A mimo to książka pozostaje – jak migawkowe zdjęcie – jedną z niepowtarzalnych prawd. Nawet nieczytana, była prawdziwa i ważna, była świadkiem innej rzeczywistości poza komunistycznym reżimem, rzeczywistości alternatywnej, dopuszczającej wszelkie książki. Nieprzeczytana książka to nosicielka nadziei, gnieździ się – przez sam fakt istnienia – w głowach potencjalnych czytelników.

### *Oprawione na wieczność*

Teraz Luljeta trzyma w dłoni moją książkę, chwali jej sposób wykonania. Papier. Oprawę. Moje książki są oprawiane jak na wieczność, a przynajmniej małeńką wieczność. Albańskie książki, które często zaczynają się rozpadać po dziesięciu przekartkowaniach, świadczą o przemijaniu, ucieleśniają je i być może dlatego są uczciwsze niż nasze książki w solidnej oprawie. „Myli się jak dziecko, mówi pięknie./ Oddycha lekko jak jaszczurka na wygrzanych słońcem cegłach,/ jak źdźbło trawy,/ jak rozpięty guzik koszuli”, pisze Lleshanaku w innym swoim wierszu. Chce mieć moją książkę, chwali ją. Choć nie potrafi jej przeczytać.



„Przede wszystkim sprawia, że czujemy się lepiej”. W powieści *Bóg wstecz i jego ukochana* albańskiego pisarza Visara Zhitiego przyjacielem głównego bohatera jest Austriak, ściślej mówiąc, wiedeńczyk, fotograf. Czy poczułam się z tego powodu lepiej? Czy zaskakuje mnie, że znajduję wiedeńczyka w książce autora, który jak dotąd był w Wiedniu tylko raz? W żadnym razie. Nie zaskakuje mnie. Uważam, że to normalne. Wiedeńczycy to w oczywisty sposób bohaterowie i główne postaci. Albańczycy – biorę ich za przykład, bo ich znam, choć oczywiście jest nieskończone mnóstwo głównych postaci, których nie znam – są nieobecni. Jak gdyby ich nie było. Literatura jest przecież często całkiem dobrym zwierciadłem realnych stosunków politycznych. Teraz Albanii niemal zewsząd otoczył Euroland. Nawet w sąsiedniej Czarnogórze z bankomatów wychodzą euro. Tylko w samej Tiranie nie. W Tiranie wychodzą... no tak, kto właściwie wie, jak nazywają się pieniądze wychodzące z bankomatów w Tiranie? Nazywają się leki. Albania ma własną walutę. I nikt nie wie, co za nią kupuje.

Oczywiście dużo łatwiej jest pisać o sobie niż o innych. Łatwiej wejrzeć w siebie samego (jeśli nie jest się już wewnątrz) niż w kogoś innego.

W 1988 roku Karl-Markus Gauß, pisarz austriacki – w jego wypadku to określenie dotyczy ściśle miejsca urodzin i ojczystego języka, bo pisał o tylu krainach, o tylu prawie nieznanach grupach ludnościowych w Europie – stwierdził w książce *Tinte ist bitter* [Atrament jest gorzki]: „Obok klasycznej zachodnioeuropejskiej, muzealnie-wspaniałej i historycznie-patetycznej Europy żyje jesz-

cze druga, skromna, zepchnięta w kąt, od stuleci raz po raz podbijana, peryferyjna Europa ludów wschodnich i południowo-wschodnich”.

Okazał się prorokiem. Dwadzieścia jeden lat później zdanie to brzmi jak nowe. Dalej powiada on: „...którym nie jest przeznaczone życie wewnątrz europejskich murów, ale pod murami, tworząc rodzaj przedmurza przeciwko osmańskiemu i mongolskiemu zagrożeniu i przeciwko wszelkim innym zagrożeniom natury militarnej i politycznej”. Nie jest im „przeznaczone”, nie przez jakiegoś rodzaju wyższą władzę ani nie przez boskie zrządzenie. Można by powiedzieć, że tak się porobiło. Można by także rzec: tak postanowiły bogatsze kraje Europy. Na koniec swej wędrówki po Europie, będącej czymś w rodzaju podróży w przeszłość, bohater Visara Zhitiego przybywa do Wiednia. W czasie przełomu tysiącleci. I co robi w Wiedniu na przełomie tysiącleci? Zabija się. Autor później objaśnił mi, że kazał swemu bohaterowi umrzeć w Wiedniu, by okazać szacunek miastu, które kocha.

Bohater mojej powieści nie zabija się. Całkiem żywy powraca do Albanii, spędziwszy czas pewien w Wiedniu, który na początku lat 90. jawi mu się złoty i promienny, na kształt krainy obfitości, ale który okazuje się potem ogromnym straganem z kiełbaskami. A on, uzyskawszy austriackie obywatelstwo, musi go jeszcze pilnować przed zagrożeniami, które zdają się nadchodzić z zewnątrz (patrz: prorocze słowa Gaußa powyżej), i to właśnie na granicy, przez którą niegdyś nielegalnie przedostał się do Austrii. Zamiast zabić się

Nawet w sąsiedniej  
Czarnogórze z bankomatów  
wychodzą euro.

w Wiedniu, wraca do Tirany. Zauważyłam to dopiero teraz. Tę zbieżność między dwiema powieściami, moją *Tränenlachen* [Śmiech do łez] i Zhitiego *Bóg wstecz...* W obu książkach chodzi właściwie o drogę do UE... Europy – i o miłość. W jednej droga ta wiedzie do Wiednia i nad Dunaj, do śmierci w wodzie, a w drugiej – z powrotem do Tirany.

Na drugie pytanie, na które powinien odpowiedzieć mój esej, mogę więc udzielić odpowiedzi z czystym sumieniem. Czy powinniśmy bardziej interesować się pisarzami naszych sąsiadów, aby więcej się o nich dowiadywać? Tak.

Co oznacza „kultura europejska”? Czy może ona coś wnieść do ciągle jeszcze nieobecnego poczucia europejskiej wspólnoty? Kolejne pytania.

### *Parująca skóra*

Pierwsze wydaje mi się poniekąd dziwne. Wcale bowiem nie mam poczucia braku wspólnoty. Przeciwnie, kto był w Kalifornii i pojechał samochodem do Doliny Śmierci, najgorętszego miejsca na Ziemi, i tam w ciągu pięciu minut postojów i fotografowania, w trakcie których czuje, że jego skóra paruje, prosi kogoś z równie parującą skórą o zrobienie zdjęcia, i gdy ten ktoś okazuje się Europejczykiem – ten wie, że istnieje poczucie wspólnoty. Wszelako czuć coś – to jedno, a zdefiniować, na czym ta wspólnota polega, to co innego.

Zacytuję raz jeszcze Karla-Markusa Gaußa, choć wolałabym z drobną zmianą, bo określenie „Europa Środkowa” chciałabym zastąpić słowem „Europa”:

„Środkowa to nie jest przecież, jak rozgłasza się tyleż często, co bezmyślnie, «zatopiony», lecz w znacznej mierze jeszcze nieodkryty kontynent; nie jest to żadna «utracona ojczyzna», jaką miało się niegdyś, lecz projekt tożsamości kulturowej, zróżnicowanej tożsamości...”

Chętnie definiujemy się poprzez narodowość, a dla Europejczyka, szczerze mówiąc, jest to jeszcze bardziej absurdalne niż dla Australijczyka czy Amerykanina. Nie ma przecież dziś europejskiego kraju, który miałby takie same granice jak sto lat temu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat rzesze ludzi zmieniły narodowość, nie ruszając się nawet z miejsca. Ludzie mieszkający w tym samym domu, przy tej samej ulicy, w pewnej chwili stali się kimś innym. Przydarzyło się to macedońskiemu pocię Salajdinowi Salihu. Urodził się i dorastał jako Jugosłowianin. Teraz żyje w Macedonii. Pisze po albańsku. Tak, albański to jeden z języków, którymi mówi się w Macedonii.

„Sprawa jest prosta, powiedział Abel. Państwo, w którym się urodził i które opuścił przed niemal dziesięciu laty, rozpadło się potem na trzy do pięciu nowych państw. I żadne z tych trzech czy pięciu państw nie poczuwa się do przyznania komuś takiemu jak on obywatelstwa”. Następny europejski bohater. Imieniem Abel. Stworzony przez węgierską autorkę Terézię Morę, która pisze po niemiecku. Jej pierwsza powieść nosi tytuł *Alle Tage* [Wszystkie dni]. Jest to także, na pewno nieprzypadkowo, tytuł wiersza Ingeborgi Bachmann. „Wojny już się nie wypowiada, / lecz ją kontynuuje”, brzmi pierwsza linijka tego wiersza. „Niesłychane! stało się codziennością”.



Zapowiedziała na początku, że będzie pisać tylko o własnej książce, tylko o tym, na czym się zna. A co robi? Bez przerwy cytuje. Jednego po drugim. Macie rację! Mnie też to uderza i podoba mi się. Gdy odzywają się, jeden po drugim, zupełnie różne głosy. „Iskra buntu – napisał Gauß – a nie świeca pokutna konserwatyizmu”. Dodałabym: nie świeca pokutna komunizmu.

Niedawno byłam w Berlinie. Jest tam Hamburger Bahnhof, siedziba muzeum współczesności. Muzeum współczesności, sprzeczność sama w sobie? Zorganizowano tam wystawę pod tytułem „The Murder of Crows”; ogromna hala z drewnianym parkietem, czerwone składane krzesła, na których siedzą czarne głósniki. W sklepiku muzealnym znalazłam pocztówkę, zdjęcie grupy mężczyzn zrobione przez artystę – nie kupiłam jej, więc teraz mi jej brak, by sprawdzić, czy dobrze zapamiętałam. Pozują przed gmachem muzeum, a na dole widnieje taki mniej więcej tekst: „Cieszę się, że dziś nic się nie zdarzy poza tym, że wstanę, zjem śniadanie, a później znowu pójdę do łóżka”. Muzeum znajduje się w pobliżu mostu, który w latach 1961–1989 stanowił przejście graniczne między Berlinem Wschodnim a Zachodnim. Najwidoczniej zdanie to wypowiedział ktoś, dla kogo „normalność”, to, że nic się nie dzieje, jest czymś niezwykłym. Postrzega on bowiem tę codzienność jako ustawicznie zagrożoną, ciągle liczy się z tym, że ją utraci; w jednej chwili, jak za obrotem klucza w zamku, wszystko, co wygodne, może się zmienić w skrajność.

Ponad połowa wydawanych obecnie przekładów na inne języki europejskie to przekłady z angielskiego lub amerykańskiego. Trudno na przykład o przekłady z albańskiego na litewski. To mogłoby się zmienić i to się zmieni. Do

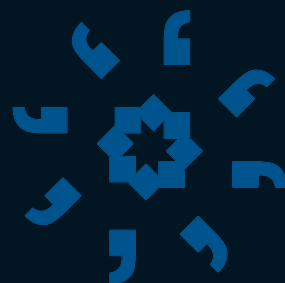
tego czasu poczucie europejskiej wspólnoty może stanowić nieprzeczytana książka. Książka, o której się wie, że istnieje, musi istnieć, jest całkiem blisko, ledwie kilkaset kilometrów stąd. Otwiera się ją, podziwia druk, znaki, które mogą się wydać egzotyczne, choć znamy przecież poszczególne litery – większość Europy (także Albania!) pisze alfabetem łacińskim. Europa to świadomość mnóstwa nieprzeczytanych książek. Wiedza, że nasz krajan stał się bohaterem jakiejś zagranicznej powieści, to nasza wspólnota. A pointy nie mogłabym sformułować lepiej niż Salajdin Salihu:

„Poeci przychodzą późno. Ich ojczyzną jest poranek... Zwykle spieszą się, wyniosłe czerwone ptaki kardynały, zachowują się jak dzieci i zadowolają zabawką, którą sami sobie obmyślili... Poeci przychodzą późno... I nigdy nie wiedzą, czy przybyli”.

*Wszystkie przekłady z albańskiego pochodzą od autorki.*

**Andrea Grill** studiowała biologię, włoski, hiszpański i lingwistykę w Salzburgu, Salonikach i Tiranie. Mieszkała wiele lat w Cagliari, na Sardynii. W 2003 roku obroniła doktorat z biologii na Uniwersytecie Amsterdamskim pracą o motylach Sardynii. Zajmuje się pracą naukową, pisze teksty literackie i przekłada z języka albańskiego. W 2007 roku uczestniczyła w konkursie Ingeborg-Bachmann-Wettbewerb w Klagenfurcie. Opublikowała: *Endemism in Sardinia*, (Amsterdam 2003), *Der gelbe Onkel* (Salzburg 2005), *Zweischritt* (Salzburg 2007) oraz *Tränenlachen* (Salzburg 2008).

Scala

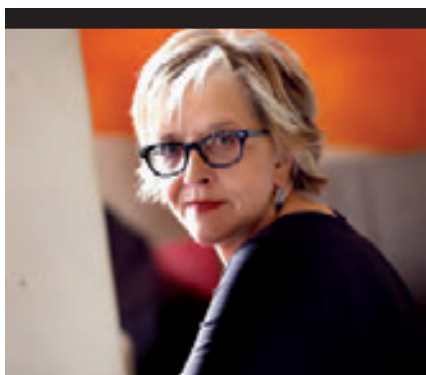


abcdefghijklmnopqrstuvxyz

ABCDEFGHIJKLMNPNPQRSTUVWXYZ

1234567890

Anty-Europa „O czym myślą Państwo, gdy słyszą słowo ‘Bałkany?’” - pyta chorwacka autorka Slavenka Drakulić. O idyllicznych plażach nad Adriatykiem i smacznym jedzeniu, czy o krwi, cierpieniu i terrorze? Bałkanami są zawsze ci inni – anty-Europa. Granica przebiega w głowach i oddziela południowy wschód kontynentu.  
*Slavenka Drakulić*



**M**uszę wyznać, że nie lubię nazwy „Bałkany”. Słusznie moglibyście spytać: jak to możliwe? Czyż nazwy nie są neutralne i w pewnym sensie także niewinne, wszystko bowiem zależy od tego, jak ich używamy i w jakim kontekście? A może nazwa „Bałkany” to rodzaj supermarketu, po którym wędrują różni ludzie z koszykiem i wypełniają go znaczeniami, które właśnie wyłożono na półki? I jakie właściwie mogłabym mieć powody, by tak emocjonalnie reagować akurat na tę nazwę? Przecież nazwa regionu geograficznego to nie człowiek, którego się lubi lub nie.

Mogłabym na to odpowiedzieć, że mam powód – uzasadniony powód – do tej niechęci: doświadczyłam, jak ta nazwa własna, „Bałkany”, zmieniała się w czasownik „bałkanizować” – i wraz z tysiącami innych ludzi cierpiałam wskutek następstw tej metamorfozy. W każdym razie nie chciałabym teraz dyskutować o tym, jak mogliśmy uniknąć tych wydarzeń – to znaczy głupio skarżyć się na coś, czego już się nie da zmienić – ale zastanowić się, jak ten czasownik znowu mógłby się stać rzeczownikiem.

Wszyscy słyszeliśmy lub czytaliśmy o bałkanizacji Związku Radzieckiego. Często w gazetach można spotkać nagłówki „Bałkanizacja Kenii” czy „Waszyngton dokonuje bałkanizacji Boliwii”. Ostatnio w książce Ryszarda Kapuścińskiego o Afryce przeczytałam następujące zdanie: „Afrykańczycy dobrze wyznają się w tej geografii przyjaznych i wrogich stosunków plemiennych, które są nie mniej niepokojące niż te, panujące dziś na Bałkanach”. Gdy wpisemy w Google hasło „bałkanizacja”, pojawi się 13 000 stron, a angielska Wikipedia wyjaśnia, że termin „bałkanizacja” to „pojęcie geopolityczne, które pierwotnie oznaczało rozdrobnienie lub podział

regionu albo państwa na mniejsze regiony albo państwa, często odnoszące się do siebie wrogo i nieżyczliwie. [...] Pierwotnie pojęcie to odnosiło się do konfliktów, które wybuchały w XX wieku na Bałkanach. Pierwsza bałkanizacja nastąpiła podczas wojen bałkańskich i znalazła później kontynuację podczas wojen w byłej Jugosławii. Słowo to oznacza też inne formy rozpadu, na przykład podział Internetu na osobne enklawy. Niekiedy bałkanizacją nazywa się dywersyfikację języków programowania i formatów danych. [...] W amerykańskiej urbanistyce rozumie się pod tym terminem rozwój zamkniętych osiedli. [...] W styczniu 2007 roku Gordon Brown mówił o «bałkanizacji Wielkiej Brytanii» w kontekście rosnących dążeń Szkocji do niepodległości».

Angielski słownik Merriam-Webster dodaje, że „bałkanizować” to czasownik przechodni, którego synonimy to „dzielić” i „rozczłonkować”. Zbędne byłoby więc dodawanie, że jest to słowo osławione i że rzeczownik (lub nazwa własna) przejął od czasownika to szczególnie znaczenie – nie jest już tylko nazwą i nie jest już nazwą niewinną.

### *Co nie jest Europą*

Wracając do metafory supermarketu: to, co mamy dziś w koszyku, zależy naturalnie od tego, gdzie robiliśmy zakupy. Jeśli w Wiedniu, „na Zachodzie” albo „w Europie” (to także są supermarkety, po suficie wypełnione znaczeniami!), zyskujemy

Granica przebiega  
gdzieś w głowach, a nie po  
powierzchni ziemi.

poczucie – aby wyrazić to całkiem prosto – że Bałkany są czymś, co nie jest Europą. Nie chodzi o geografie – granica przebiega gdzieś w głowach, a nie po powierzchni ziemi. Dla współczesnych najprawdopodobniej wyznaczyły ją telewizyjne relacje z ostatniej wojny.

Gdy na moment zamykacie oczy i mówicie „Bałkany”, prawdopodobnie widzicie przed sobą obrazy mas uchodźców, płaczące kobiety w chustkach, Vukovar w gruzach, zwłoki, jeszcze więcej zwłok, reportażystkę CNN Christiane Amanpour, która na takim tle relacjonuje tragedie i zniszczenia. Potem być może przypomną wam się liczby (ponad 7 000 muzułmanów, mężczyzn zamordowanych w Srebrenicy, 60 000 zgwałconych kobiet, 200 000 zabitych w Bośni, 10 000 okaleczonych dzieci...). Albo, jeśli nie macie pamięci do cyfr, przypomną wam się twarze, zwłaszcza chudego jak szkielet młodego mężczyzny za drutami kolczastymi obozu koncentracyjnego w bośniackiej Omarsce. Albo twarze przestępców wojennych, jak Ratko Mladić, długowłosa Radovan Karadžić czy Slobodan Milošević. Pamiętam pulwer, biały, robiony na drutach pulwer z czerwonymi plamami. Należał do ojca dziewczynki zabitej odłamkiem granatu. Gdy ojciec trzymał w ramionach małe ciało, krew jego córki wsiąkała w pulwer, który miał na sobie jeszcze po półgodzinie, gdy sfilmowała go kamera CNN.

Czy można mieć do kogoś pretensje, że przychodzą mu na myśl wszystkie te rzeczy, gdy słyszy słowo „Bałkany”? Niekörtzy z was pamiętają zapewne także nierzeczywisty błękit Adriatyku, smakowite jedzenie,

plaże z drobnymi białymi kamyczkami, gdzie spędzaliście urlop z rodzicami w owych latach sześćdziesiątych, gdy wszystko jeszcze wyglądało inaczej. Obawiam się jednak, że wyobrażenie Bałkanów jako nie-Europy mocno utkwiło wam w głowach, gdy ostatni raz widzieliście ten idylliczny pejzaż.

Książka historyczki Marii Todorovej *Bałkany wyobrażone* jasno dowodzi, że mamy tu do czynienia z „geografią imaginacyjną”, by sięgnąć po określenie Edwarda Saïda. Pamiętamy, napisała Todorova, że Bałkany to dawna nazwa (turecka nazwa gór Stara Płanina w Bułgarii), ale dość nowe wyrażenie, które pojawiło się pod koniec XIX wieku, gdy Bałkany powoli – w trakcie swego rodzaju „literackiej kolonizacji” – stawały się miejscem mrocznym i niebezpiecznym, ale także egzotycznym.

Miało w tym udział wielu zachodnich pisarzy – między innymi Rebecca West, Agatha Christie, Bram Stoker, Karol May, aż po powojenne wspomnienia takich polityków, jak David Owen i Richard Holbrooke, czy „dzienniki podróży” Roberta Kaplana i Petera Handkego. Bałkany stały się przestrzenią, w której mitologia jest potężniejsza od historii, której dzicy, egzotyczni mieszkańcy nie znają innych wartości niż „krew i ziemia” i która, na wieczność pogrążona w cieniu konfliktów i wojen religijnych, jest siedliskiem niepewności.

Oczywiście sprawiło to, że ludzie zamieszkujący tę przestrzeń-nazwę-czasownik-obraz-symbol stali się więźniami negatywnych konotacji. Nie podobało się im (nam) takie przyporządkowanie, więc

usiłowali się od niego zdystansować. Nikt nie chce należeć do Bałkanów. Dotyczy to także spojrzenia z miejsc, które *de facto* trzeba by zaliczyć do wnętrza Bałkanów: „Bałkany to inni!”, jak trafnie powiedział słoweński socjolog Rastko Močnik. Każdy z nas (Słoweńiec, Chorwat, Serb i tak dalej) spogląda dalej na wschód, i tym samym przesuwa symboliczną, wyobrażoną granicę wiedeńskiego Südbahnhof do Triestu i Lubljany, potem do Zagrzebia i Sarajewa, wreszcie do Belgradu, a nawet jeszcze dalej na południowy wschód, do Prisztiny. Żadna granica na tej ziemi nie jest tak elastyczna, a to dlatego, że nie jest to wcale granica, lecz percepcja.

Bardzo interesująca jest przeprowadzona przez Marię Todorovą historyczna analiza negatywnego obrazu Bałkanów (zresztą zalicza mnie ona do autorek posługujących się tym negatywnym *image*, bo stosują go jako czasownik przechodni, a nie jako rzeczownik – przyznaję, że tak robiłam). Jednak osobiście pamiętam tę przemianę w ostatnich dziesięcioleciach – choć zmiana, jak wspomniano, nie zaczęła się w 1991 roku, ale wraz z wojnami bałkańskimi, potem postępowała poprzez zamach Gawryła Principa na Franciszka Ferdynanda, następnie mniej więcej pokolenie później, podczas II wojny światowej, wreszcie w czasie upadku Jugosławii. Wyrażenie „Bałkany” rzadko stosowano w byłej Jugosławii – ale też nie zawsze w sensie negatywnym. Owszem, określano tak prymitywne zachowania ludzi, na przykład męża, który bije żonę. Lub posługiwano się słynną parafrazą polityki sformułowaną przez Mirosława Krležę: *balkanska krčma*,

bałkańska karczma, w której zaczyna się bójka, gdy gaśnie światło. Wszelako wśród młodych ludzi w połowie lat 80. XX wieku popularna była piosenka *Balkane moj Johnny*'ego Štulića, wolna od tych „starych” znaczeń.

### *Bójka w bałkańskiej karczmie*

Nie możemy jednak po prostu zignorować tych negatywnych wyobrażeń, albowiem nie są tylko fantazją; najnowsza wojna ustanowiła ten mentalny krajobraz jako realne miejsce grozy i podziału. Poza tym istnieją dziś nowe granice i nie są one symboliczne, lecz realne, wytyczone jasnoczerwonym kolorem krwi.

Dla mnie osobiście, jako pisarki, historia Bałkanów jako „nazwy, która stała się czasownikiem”, jest szczególnie bolesna, bo realną wojnę poprzedziła „wojna na słowa”, i musiałam doświadczyć, ile nieszczęść mogą wyrządzić słowa. Żadna wojna nie zaczyna się ot tak; musi ją poprzedzić faza propagandy, aby psychologicznie przygotować na zabijanie. Zwykle zadanie to otrzymują od rządu przedstawiciele świata kultury, oświaty i mediów – intelektualści, pisarze, profesorowie, artyści i naturalnie dziennikarze – co, nawiasem mówiąc, powinno przypominać, że kultura i jej reprezentanci niekoniecznie (lub z definicji) są pozytywną siłą społeczną; nie zapominajmy, że Radovan Karadžić był poetą, a Dobrica Ćosić pisarzem.

Szczerze mówiąc, ciągle się dziwię, że publiczność na Zachodzie zadaje stale

to samo pytanie na każdym publicznym odczycie czy spotkaniu. Dzieje się tak niezależnie od poruszanego tematu, nawet gdy chodzi o dyskusję czysto literacką. To bez znaczenia: skoro pochodzę *stamtąd*, należę do *tamtých*. Choć minęło tyle lat, w gazetach wydrukowano tyle artykułów, wyemitowano tyle programów telewizyjnych i wydano tyle książek – pytanie pozostaje to samo: jak i dlaczego zaczęła się wojna w Jugosławii? Dlaczego kwitnący kraj, wolny od komunizmu typu radzieckiego i niezależny od żadnego bloku, zatonął w tak krwawej i brutalnej wojnie?

Moja ulubiona, lakoniczna odpowiedź brzmi: nasz kraj rozpadł się z powodu włoskich butów! Ponieważ sądziliśmy, że jesteśmy wolni, nie stworzyliśmy żadnej demokratycznej alternatywy politycznej, a próżnię wypełnili nacjonałiści.

Zastanówmy się nad następującą kwestią: po tych wszystkich latach, już osiemnastu od początku wojny, czternastu od jej zakończenia, miało czas dorosnąć całe pokolenie, nie tylko na Bałkanach, ale także na Zachodzie – i co ci młodzi ludzie wiedzą? Co wiedzą tutaj o Bałkanach, poza banałami? Prawdę mówiąc, mam kłopot z Europejczykami z Zachodu; po tylu latach podejrzewam, że ludzie tutaj w ogóle nie chcą *zrozumieć*, jak do tego doszło. Zwykle mówią, że to zbyt skomplikowane. Najpierw przypuszczałam, że są po prostu zbyt leniwi, by zestawić tych kilka historycznych faktów. Potem jednak, gdy ciągle zadawano mi to samo pytanie, zmieniłam pogląd: dziś myślę, że te straszliwe telewizyjne obrazy z wojny na Bałkanach są bardzo wygodnym alibi pozwalającym nas „nie rozumieć”:

Nie zapominajmy, że Radovan Karadžić był poetą, a Dobrica Ćosić pisarzem.



tamtejsi ludzie i nasze wojny są po prostu nie do zrozumienia, bo są tak absolutnie odmienne. Faktycznie te obrazy i wspomnienia służą jako rodzaj tarczy ochronnej. Gdyby Europejczycy powiedzieli, że rozumieją te zatrważające wydarzenia, znaczyłoby to, że wszyscy jesteśmy tacy sami lub co najmniej podobni. Bezpieczniej wykluczyć tę możliwość i wobec takich sąsiadów zachowywać niezbędny zdrowy dystans. Pamiętamy przecież: Bałkany są tym, czym Europa nie jest.

Jak gdyby Zachód był obszarem nieskazitelnym, którego nigdy nie owiało zadżumione tchnienie zła – jak gdyby europejskie państwa narodowe czy rewolucje nie miały krwawych początków, jakby nie było Auschwitz... Tak, można by co nieco zarzucić, ale przynajmniej robiono to bardziej elegancko! Żadnej krwi, żadnych noży, żadnej rzezi, widocznej brutalności. Obrazy zmaltretowanych zwłok? Nie zostały zapomniane, lecz po prostu głębiej schowane w pamięci – w końcu musi zostać trochę miejsca na nowe okropności, na Bagdad czy Abu Ghraib.

Nasza zdolność pojmowania jest ograniczona; musi istnieć liczba krytyczna, punkt, poza którym przemoc już nic nam nie mówi. To prowadzi mnie do pytania, ile czasu potrzebowali Niemcy, by uwolnić się od uprzedzeń, które służyły ich ludobójczej machinie i wyobrażeniu o Niemcu „posłusznym jak trup”. Ta perspektywa historyczna daje mi nadzieję: przecież czternaście lat od końca wojny na Bałkanach to nie tak wiele, czyż nie?

Gdy jednak z drugiej strony po prawie dziesięciu dekadach nazwa „Bałkany”

sprowadziła się do czasownika przechodniego, pojawia się pytanie, jak długo musiałby trwać proces odwrotny. Czy tę nazwę można wyprać do czysta, czy znowu mogłaby przybrać blask rzeczownika? Pytanie brzmi więc: jak możemy tego dokonać? Sądzę, że najpierw musielibyśmy – myślę teraz o nas, byłych Jugosłowianach – przyznać, że sami przyczyniliśmy się do ożywienia bałkanizacji, bo przecież czasownik „bałkanizować” zyskał nowe znaczenie z naszą pomocą: ostatecznie to my (a nie ktoś inny, obcy) prowadziliśmy wojnę sami ze sobą. Byłby to początek przemiany, początek prania i polerowania.

### *Poza liczbą krytyczną*

Jakie jednak są dziś możliwości (materialne) kultury w byłej Jugosławii? Zadaję to pytanie, bo jednoznaczny przebieg przejętym są kultura i sztuka: podczas gdy dotacje państwowe stale maleją, nie ma żadnego uregulowanego prywatnego systemu finansowania. Miejscowe prywatne firmy wolą inwestować... w sport! Co gorsza, także zainteresowanie publiczności kulturą i sztuką bardzo osłabło. Walka o przeżycie w kapitalizmie w stylu Dzikiego Zachodu nie pozostawia na kulturę ani wolnych pieniędzy, ani energii: jeśli bowiem przeciętne zarobki wynoszą kilkaset (od 200 do 700) euro, to książka kosztuje tyle, ile na Zachodzie, jeśli nie więcej.

W mass mediach toczy się konkurencyjna walka między nadawcami publicznymi a prywatnymi. Gazety stają się maszynkami do robienia pieniędzy, co

sprawia, że przestrzeń publiczna się kurczy, a przestrzeń dla kultury znika; nie ma już pieniędzy na kulturę, chyba że zgłasza ona gotowość do propagandy – już nie typu politycznego; dziś nosi to miano reklamy. Dotąd wydawało się, że nowy system polityczny i gospodarczy zapewnił nam wolność w obszarze kultury. Co jednak możemy począć z tą wolnością bez pieniędzy? Możemy robić sobie nadzieje na pomoc. Tak, potrzebujemy zagranicznej pomocy. Pociuszające, że kultura jest tania! W każdym razie względnie.

Zapewne, gdy dostarcza się kulturę na rynek, jej losem jest marginalizacja – ale kultura jest zbyt ważna, by pozostawić ją zdaną tylko na rynek. Znaczenie sztuki i kultury polega na tym, że wytwarzają one pewien kapitał: „kapitał symboliczny”, w którego mocy leży tworzenie integracji społecznej i szerzenie wartości. Przez „kulturę” rozumiem autorów wytworów kulturalnych: widowisk, wideo, książek, wystaw, filmów, muzyki, teatru. Paradoks sztuki i kultury polega na tym, że (mierzone w zainwestowanych pieniądzach) stanowią znakomity towar eksportowy i dbają o zauważalną obecność kraju czy regionu w większej wspólnocie. Gwarantują także niejaką równość, bo nawet mały kraj może wnieść wielki wkład: gdy Filharmonia Zagrzebska dała po długiej przerwie koncert w Wiedniu, ówczesny austriacki minister kultury Franz Morak rzekł: „Był to największy sukces chorwackiej polityki zagranicznej w ciągu ostatnich dziesięciu lat”.

Gdy ukazujemy i postrzegamy kraj poprzez jego kulturę i sztukę, zyskujemy inny,

bardziej zróżnicowany jego obraz i stawiamy pod znakiem zapytania ów *image*, który kraje danego regionu zwykle sprowadza do jednego wspólnego mianownika. Kultura potrafi umieścić dany kraj w centrum uwagi, przysporzyć mu uznania i ukazać go jako miejsce atrakcyjne, otwarte, interesujące i o różnorodnej kulturze.

Największą jednak zaletą jest to, że każdy kraj zyska na takim przedstawieniu kultury i sztuki. Może zyskać, bo małe kraje obawiają się o swoją tożsamość narodową. Gdy sztuka i kultura ukazują tę tożsamość na szerszej scenie, mija obawa, że zagubią się w UE, i lęk przed globalizacją. Sztuka i kultura to, jeśli kto woli, praktyczne narzędzia polityczne do uzyskiwania pozytywnych skutków na scenie polityki wewnętrznej i zagranicznej. Jest to najtańsza i najszybsza droga do Europy. Ich działanie jest bezpośrednie, bo ludzie przedstawiają tu indywidualnie siebie i swoje dzieła. Ponieważ biorą udział w europejskiej kulturze swymi projektami, a nie mówieniem, to ich oddziaływanie jest realne.

Jako pisarce nie pozostaje mi nic innego, niż trwać w przekonaniu, że projekty kulturalne, takie jak ten, to może jedyne instrumenty przemiany i dlatego także jedyne środki godne wsparcia. Kwestia, jakie znaczenie ma taka prezentacja kultury, wiąże się także z przyszłością. Sądzę, że my, na Bałkanach, musimy zadać sobie jeszcze inne ważne pytanie: co moglibyśmy wnieść do UE, naszej przyszłej wspólnej ojczyzny? Gdy ktoś nas o to pyta, zwykle na chwilę milkniemy, nieco zakłopotani, bo sami nigdy nie postawiliśmy sobie tego

Kultura i sztuka to najtańsza  
i najszybsza droga do Europy.

pytania! Jednak szybko (improwizacja to nasza największa siła!) mamy na ustach „błyskotliwą” odpowiedź: przetrwanie! Nauczmy was, jak przetrwać mimo najtrudniejszych warunków! Nie przychodzi nam do głowy, że taka umiejętność mogłaby wam się wydać cokolwiek nieważna. W tym jesteśmy niezastąpieni. Nasze życie w epoce komunizmu składało się tylko z walki o przetrwanie, dlatego rozpoznanie, że tej wiedzy nikt już dziś nie potrzebuje, wzbudziłoby w nas poczucie, że jesteśmy zbędni. Nasze życie wydałoby się nam jakoś zmarnowane.

Mimo to jest dla mnie jasne, że nasz wkład powinien obejmować dwie rzeczy: po pierwsze, wytwory artystyczne i kulturalne, a po drugie, młodych, wykształconych ludzi pełnych ducha, inteligencji i ciekawości.

Bez gospodarczej i politycznej UE nie może prawdopodobnie być też UE kulturalnej. Jednak tak samo prawdziwe jest to w drugą stronę: bez kultury nie uda się z gospodarką i polityką, a jeśli, to nie na długo. UE potrzebuje spoiwa, a ono może przyjść tylko z innej sfery, ze sfery, do której wkład może wnieść każdy kraj, obojętne jak mały i politycznie kontrowersyjny. Nawet jeśli nie jest to całkiem oczywiste – choć

potwierdza się w niejednym kontekście – ludzie dążą do czegoś więcej niż pieniądze. Przynajmniej w Europie. Dojdźmy więc do końca: jeśli Bałkany rzeczywiście wracają do Europy, muszą wracać jako nazwa, jako rzeczownik, a nie jako czasownik.

**Slavenka Drakulić** należy do najbardziej znanych pisarek chorwackich. Jej powieści i inne książki przełożono na wiele języków, osiem na język niemiecki. Ostatnio ukazała się jej monografia *Leben spenden: Was Menschen dazu bewegt, Gutes zu tun* [Co inspiruje ludzi, aby czynili dobro] (Wieder, 2008). Mieszka w Wiedniu i na Istrii.

**Kultura lęku** To pisarze i dziennikarze, reżyserzy i filozofowie odegrali niechlubną rolę, gdy w byłej Jugosławii cofnęło się koło historii. Dziś w tej części Europy nadal jeszcze żywe są strachy przeszłości. Ludzie niepokoją się o przyszłość. Literatura, film i wymiana intelektualna mogą ten stan tylko opisywać. Oto relacja z podróży do Kosowa. *Beqë Cufaj*



Nie chodzi o nadmiar hojności, ale o względy praktyczne. Wciąż mam niebieski paszport wystawiony w byłej Jugosławii, pełen wiz i pieczęci wszystkich możliwych, należących i nienależących do strefy Schengen, państw. Taki paszport właściwie jest już bezużyteczny, bo te wszystkie wpisy i dane skłaniają straż graniczną, zwłaszcza węgierską, do długich dopytywań, co niekiedy sprawia, że człowiek czuje się jak zwykły przestępca. Konduktor rozumie moje napiwkowe przesłanie, co mnie niezwykle uspokaja.

**W**yruszam w połowie czerwca. Gdybym wybrał samolot, byłbym na miejscu po dwóch i pół godzinie. Tym razem jednak postanowiłem nie lecieć. I tak podejmuję długą podróż lądem z Niemiec przez Austrię, Węgry i Serbię do Kosowa.

Pociąg do Budapesztu różni się od innych pociągów na monachijskim dworcu. Ma tylko dwa wagony ciemnego koloru. Przed wagonami czeka konduktor żądający od podróżnych okazania nie tylko biletów, ale także paszportów, zanim wskaże każdemu przedział, w którym należy przebywać podczas jazdy. Konduktor jest Węgrem. Ma wąsy, a jego niemiecki jest równie niespieszny jak jego ojczysta mowa. Oddaję mu bilet i paszport oraz zamawiam dwa piwa, za które płacę mu dwa razy więcej.

### *Księga o siedmiu pieczęciach*

Dzielię przedział z koreańskim turystą. Porozumiewamy się po angielsku. Jest w moim wieku, pochodzi z Seulu i podróżuje po Europie. Rozmawiamy o naszym kontynencie i stwierdzam, że Koreańczyk mówi o Europie tak, jak my zwykle mówimy o Azji. Czyli jest to dla niego księga o siedmiu pieczęciach. W Budapeszcie, powiadamia mnie, chce koniecznie zjeść paprykowy gulasz. Interesuje go, co ja, jako Niemiec i Europejczyk, zamierzam zamówić w Budapeszcie. Usiłuję mu wytłumaczyć, że wcale nie jestem Niemcem, choć mieszkam w

Niemczech, i że dotyczy mnie druga część pytania, bo jestem Europejczykiem. „Ale jesteś Europejczykiem?”, pyta Koreańczyk, przestaje jednak dopytywać o moje ulubione jedzenie i powód mej podróży. Z piwem i książką Milana Kundery, którą od dawna chciałem przeczytać na nowo (*Niežnośna lekkość bytu*), kontynuuję tę nie tak znowu zwykłą podróż. Gdy wyruszywszy z Monachium, po nocnej jeździe podróźny obudzi się przed Budapesztem, znajdzie się w innym świecie. Tam, skąd przybył, wszystko było uporządkowane i dokładnie uregulowane, tutaj wszystko przyprawia o depresję, zmęczenie i niepewność. Nawet mina węgierskiego konduktora zmieniła się od Monachium. Nie zapytawszy nawet, czy dobrze spaliśmy, oddaje nam paszporty i podaje kawę. Po jej wypiciu jestem znowu w stanie prowadzić rozmowę. Usiłuję więc wytłumaczyć koreańskiemu towarzyszowi podróży, że powinien strzec się złodziei w Budapeszcie. Myślę tutaj nie tyle o szybkich złodziejach kieszonkowych ile otaksówkarzach, a także o recepcjonistach w hotelu. Stale dbają o to, by klient znalazł się w miejscu, z którym mają układ. Taksówkarz wiezie cię do hotelu, w którego recepcji pracuje jego bratanek, bratanek poleca ci (najprawdopodobniej chińską) restaurację swego kuzyna, który poleca ci kawiarnię swego najlepszego przyjaciela. Turysta na Węgrzech wprost nie może wyzwolić się z tej sieci zależności. Koreańczyk upewnia mnie zdecydowanym spojrzeniem, że zrozumiał. Mam nadzieję, że rzeczywiście. Potem pociąg zatrzymuje się na dworcu Keleti. Ledwie wysiedliśmy, oblega nas kilka tuzinów taksówkarzy

i starych kobiet z tablicami, na których cudaczną angielszczyzną wypisano informacje w rodzaju „Hotel for fast free”. Nasz pociąg, inaczej niż poprzedniego wieczoru, wygląda tak samo jak inne pociągi na dworcu. W tłumie reklamujących swą ofertę turystyczną Węgrów gubię Koreańczyka, nie pożegnawszy się z nim nawet.

Węgry jednak bardzo się zmieniły. Są mieszanką tego, co typowe dla tak zwanej Europy Środkowej, współczesnej globalizacji i śladów przeszłości. Jako obywatel pewnego państwa (byłej Jugosławii Tity), nie mogę opanować zazdrości; gdy Węgrom i innym podobnym państwom udało się wyzwolić spod komunizmu, państwo Tity pod koniec lat 80. XX wieku było nie tylko najbogatsze i najbardziej w dawnym bloku komunistycznym liberalne, ale też w tym czasie takie miasta jak Budapeszt nie dorównywały naszym głównym miastom, poczynając od Skopje, przez Prisztinę i Belgrad po Zagrzeb, Sarajewo i Lubljanę.

Jednak nasze narody wskutek polityki nacjonalistycznej cofnęły koło historii. Zażądała tego właśnie ówczesna serbska nacjonalistyczna elita, zażądali pisarze i dziennikarze, reżyserzy i filozofowie. Pozwolili oni, by na czele państwa stanął nacjonalistyczny aparatczyk Slobodan Milošević. W ciągu dziesięciolecia, od 1989 roku, gdy ogłoszono autonomię Kosowa, aż do 1999 roku, do końca wojny o Kosowo, powstało siedem nowych państw i wiele nowych granic. Zarazem upadek ówczesnej Jugosławii zapisał najkrwawszy rozdział

Państwo Tity pod koniec lat 80. XX wieku było najbogatsze i najbardziej liberalne w dawnym bloku komunistycznym.

najnowszej historii. Po tym wszystkim, myślę sobie, pozostały ślady w moich wspomnieniach i odczuciach. Ostatni kontakt z serbską policją miałem gdzieś w połowie lat 90. Byłem wtedy studentem i policja pobiła mnie i trzech moich kolegów na ulicy do krwi. Jedyne powód tej przemocy: po wyrzuceniu nas z państwowych sal wykładowych studiowaliśmy dalej... nielegalnie. Potem opuściłem kraj i oglądałem serbskich policjantów tylko w telewizji i na zdjęciach. Teraz z pewnym dyskomfortem oczekuję kolejnego spotkania z niebieskimi mundurami. Wczesnym rankiem przy wyjeździe mój niemiecki przyjaciel, z którym wspólnie wyruszamy samochodem z Budapesztu przez Serbię do Kosowa, usiłuje raz jeszcze wyperswadować mi obawy. Wszystko jest w porządku, mówi, w Serbii zaszło mnóstwo zmian. Także w policji.

### *Albańczycy w natarciu*

Lęk jest przecież czymś zupełnie normalnym, próbuję uspokajać samego siebie, gdy zbliżamy się do serbskiego przejścia granicznego. Zwłaszcza dla Albańczyka z Kosowa, tutaj, w tym miejscu, po wszystkim, co zaszło.

O tak wczesnej godzinie na granicy między Węgrami a Wojwodiną jest jeszcze mały ruch, dlatego wkrótce dojeżdżamy do biało-czerwonego szlabanu. W domu o brudnych szybach siedzi policjant. Bierze paszporty, które podaje mu mój niemiecki przyjaciel. Z siedzenia pasażera obserwuję, jak zapisuje coś i przede wszystkim przygląda się dokładnie niemieckiemu paszportowi z albańsko brzmiącym nazwis-

kiem właściciela. Jednakże pogranicznik o nic nie pyta. Mojego współtowarzysza informuje, że aby mógł wjechać, musi uiścić opłatę za auto, i po kilku minutach znajdujemy się już w najbogatszej prowincji Serbii – Wojwodinie. Mglisty poranek odzwierciedla moje odczucia, gdy jedziemy przez płaską zieloną krainę, nad którą wiszą cienkie festony mgły. Co nas jeszcze czeka?

Jedziemy szybko i dlatego zakładamy optymistycznie, że wkrótce przybędziemy do Belgradu. Na przedmiejskich ulicach mijamy tylko nieliczne ciężarówki i samochody. Jednak im bliżej centrum miasta, tym wolniejsza staje się nasza jazda. Na koniec ruch się blokuje i tworzy się coraz dłuższy korek, większy niż w godzinach szczytu w jakimś wielkim niemieckim mieście. Mój niemiecki przyjaciel zaczyna się niepokoić. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżył, choć często jeździł tą trasą do Kosowa czy Macedonii. Tkwimy więc w Belgradzie, który zgodnie z nazwą powinien być biały, ale w rzeczywistości jest szary, nieznośnie szary. Dowcipkuję: prawdopodobnie belgradzcy dowiedzieli się, że nadciąga kosowski Albańczyk i zamknęli ulice. Stoimy nadal. To już robi się zabawne. Mam tutaj wielu przyjaciół i znajomych, ale nie mam ochoty do nikogo dzwonić. Tak jakbym chciał się w tym mieście poczuć naprawdę obco.

Jest tak obco, że gdy mój przyjaciel załatwia swoje prywatne sprawy w serbskiej stolicy, przesiaduję w kawiarniach, czytam serbskie gazety i nadal kartkuję Kunderę. To miasto pozostaje splamione krwawą przeszłością. Celowo pozostawiono ruiny wieżowca, który został zburzony przez



bomby NATO. Jako przestrozę i relikwiarz wrogości. Tutaj przestrzegają, a zarazem nie potrafią zmierzyć się z przeszłością. Odpowiedzi nadal brakuje.

Później zostajemy zaproszeni do chińskiej restauracji. Sam lokal właściwie nie jest bardzo chiński, ale kucharz tak; widać go w kuchni, jak przygotowuje potrawy dla licznych gości. Jak na belgradzkie warunki bogate „chińskie” menu jest niesłychanie drogie, kosztuje osiem euro. Zaraz po obiedzie znowu ruszamy w drogę do Kosowa. Na autostradzie za Belgradem jest niewiele pojazdów; nic dziwnego wobec wysokich opłat za przejazd. Przejedźmy przez środek Serbii, ale nie zwykłą trasą przez Nisz i Prokuplje, lecz – nawet dobrze się nie zastanowiwszy – z Niszu dalej na Leskovac, aby stamtąd skręcić przez Medvedę do Kosowa.

Nad serbską prowincją powoli zapada noc. Jedziemy przez miasteczka i wsie, które w mroku wyglądają na jeszcze bardziej opuszczone przez Boga niż, przypuszczalnie, za dnia. Cała Serbia wygląda jak mroczna jaskinia ze złamanymi, wyczerpanymi i zdeprymowanymi ludźmi. „Nic nie jest gorsze dla narodu niż taka depresja”, mówię. Mój niemiecki przyjaciel zgadza się ze mną. Jedziemy brudnymi, skąpo oświetlonymi ulicami Leskovacu. Potem jest jeszcze bardziej odludnie. Pokonujemy długie wzniesienie i po półgodzinie docieramy do przejścia granicznego w Medvedzie. Zatrzymuje nas czterech uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy. Są to serbscy policjanci o ciężkiej ręce, jacy przez lata wykonywali swoją robotę w Kosowie. Bez końca przeglądają nasze paszporty i mój niemie-

Belgrad zgodnie z nazwą powinien być biały, ale w rzeczywistości jest szary, nieznacznie szary.

cki przyjaciel zaczyna się już dziwić, jak to możliwe, że tak pilnie nas kontrolują na granicy, która według oficjalnej serbskiej wersji nie istnieje. Jeden z policjantów mówi nam, że musimy się pospieszyć, jeśli jeszcze dziś chcemy przejść na drugą stronę, bo punkt kontrolny wojsk KFOR po drugiej stronie zamykają za pół godziny, a więc o 20.00. Nie zważając na to, jego koledzy demonstracyjnie poświęcają wiele czasu naszym paszportom. Chcą sprawdzić ich ważność, mówi jeden z nich. „Przecież to niemożliwe – mówi mój przyjaciel – w tej szopie nie ma na pewno ani komputera, ani telefonu. Oni chcą nas tylko zatrzymać”. Wszystko to trwa pięćdziesiąt minut i w konsekwencji dwaj żołnierze KFOR po drugiej stronie powiadamiają nas uprzejmie, że niestety musimy zawrócić do Serbii, bo właśnie minęła 20.00. Straszne! Z powrotem do tego wielkiego, czarnego lochu! Mój niemiecki przyjaciel pociesza mnie: „Pozwólmy im na ten mały triumf. Dziś kradną ci tylko kilka godzin, przed dziesięć laty mogli ci zabrać jeszcze życie”.

Jedziemy z powrotem do Niszu i stamtąd przez Kuršumliję do Merdare. Trzy zmarnowane godziny. Jednak szybko załatwiamy formalności na granicy. Po tamtej stronie, w ojczyźnie, czeka wiele świateł. Ulice są wyasfaltowane, a reklamy świetlne stacji benzynowych i sklepów dają poczu-

cie, że wylądowaliśmy w innym świecie. Zostawiliśmy za sobą serbską ciemność, na dziś, na zawsze.

Kraj, do którego wjeżdżamy, nie jest już taki, jaki był, zanim przed dziesięciu laty wkroczyło NATO, i nie jest to już kraj, jaki istniał przed odzyskaniem niepodległości ogłoszonej półtora roku temu. Wtedy, krótko po wojnie, dwie trzecie wsi w Kosowie było zniszczone, miasta na poły rozgrabione, tonące w popiołach i zgliszczach, cała gospodarcza, polityczna i kulturalna infrastruktura dwumilionowego kraju leżała w ruinie. Wprawdzie jest tu nadal błoto charakterystyczne dla całych Bałkanów, ale pomijając to, w latach pokojowej misji KFOR prawie wszystko bardzo się zmieniło: ludzie, ulice, domy, sklepy... znikły pośpiech i nerwowość sprzed dwóch lat.

Dwu-, a niekiedy także trójjęzyczne (albański, serbski, angielski) szyldy na świeżo wyasfaltowanych ulicach, lampy, a przede wszystkim gorliwa miejscowa policja tworzą całkiem niezwykły obraz. Odkąd pojawiły się nowe oddziały kosowskiej policji w jasnoniebieskich uniformach, do której należą Albańczycy, Serbowie i członkowie innych mniejszości, mężczyźni i kobiety (jakaż to sensacja na południu Bałkanów!), nie oczekuje się już od międzynarodowej „policji coca-coli”, by kierowała ruchem ulicznym czy zwalczała drobną przestępczość. Aby zapobiec korupcji, kary pieniężnej nie pobiera się już na miejscu (to także nowość na Bałkanach), ale policja zabiera prawo jazdy, które zwraca

dopiero po jej opłaceniu. Ostatnio wydane, prowizoryczne kosowskie dowody osobiste zostały uznane jak dotąd przez dwadzieścia trzy państwa. Żołnierze KFOR naturalnie stacjonują tu jeszcze, ale robią to dyskretnie.

Dziś nie ma już śladu po przytłaczającym, odstręczającym ciężarze życia publicznego w Prisztinie. Dziś już nie przesiaduje się całego dnia w kawiarni, ale wypija się kawę, zamienia kilka słów z przyjaciółmi i wraca do swoich zajęć. Pewien mój przyjaciel jest absolutnie przekonany, że pod względem pracowitości i troski o świeżo zdobytą własność mieszkańcy Kosowa stali się już jak Niemcy. Wprawdzie nigdy jeszcze nie był w Niemczech i zupełnie nie zna Niemców, ale ma rację, bo coś gruntownie się zmieniło. Wcześniej użalano się na przeżyte cierpienia i ubolewano nad brakiem niepodległości, dziś ludzie zajmują się swoją pracą i nie martwią się już, że będą musieli opuścić Kosowo jako cudzoziemcy. Przyjmuje się, że w Kosowie spośród 40% obywateli zdolnych do pracy około 25% pracuje w instytucjach międzynarodowych, jak KFOR, EULEX i OSZE czy różne organizacje pozarządowe.

Stopniowo się przyzwyczajam. Nie mogę jednak wyzbyć się myśli, że *de facto* już tu nie należę, że nie jestem częścią tej nowej rzeczywistości, którą można by określić jako początek początku normalizacji. I jakże mógłbym nie czuć się trochę rozczarowany wobec kiepskich wyników podejmowanych prób pojednania i odnowy stosunków międzyludzkich. Dyskutowałem o tym w ostatnich latach z kolegami, a byli wśród nich Serbowie, Chorwaci, Bośniacy,

Dziś kradną ci tylko kilka godzin, przed dziesięciu laty mogli ci zabrać jeszcze życie.

Macedończycy, Czarnogórcy, Słoweńcy, a także Albańczycy. Na konferencjach, seminariach, przy okazji wykładów, w listownych polemikach. Wszystko to działo się w większości gdzie indziej w Europie. A teraz wydaje mi się po trosze daremne.

Te nadal nieszczęśliwe, ciągle jeszcze poznaczone bliznami przeszłości ludzkie oblicza w Serbii czy w Kosowie nie rokują szybkiego ozdrowienia. Nie dlatego, że istnieje zagrożenie wojną, ale dlatego, że ekonomiczne troski i lęk o przyszłość czynią tę koegzystencję tak kruchą. A w takich wypadkach kultura, literatura, film i wymiana intelektualna mogą tylko opisywać ten stan. Ten lęk jest niemal namacalny tam, gdzie dominuje szarość popiołu, od granic po przypadkowych przechodniów na ulicy. Tak to jest. Nie mniej, nie więcej.

Postanawiam wrócić do swojej drugiej ojczyzny, Niemiec, samolotem.

**Beqë Cufaj** (ur. 1970) jest pisarzem. Mieszka w Niemczech i Kosowie. Ostatnio ukazała się po niemiecku jego książka *Der Glanz der Fremde* [Blask obczyzny] (Zsolnay).

Offline

abcdefghijklmnopqrstuvwxyz

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

1234567890









Między biegunami Przez całe dziesięciolecia konflikt w Irlandii Północnej rządził życiem tamtejszych mieszkańców. Europa, jeśli w ogóle o niej myślano, była tylko odległym marzeniem. Wraz z traktatem pokojowym sprzed kilku lat powróciła normalność, nastał niejaki dobrobyt. A wraz z nim przybyli emigranci zarobkowi z innych części Europy. To im należy zawdzięczać, że Irlandia Północna przybliżyła się trochę do kontynentu. *Glenn Patterson*



Irlandzki powieściopisarz Colm Tóibín opowiada ciekawą historię. Jak mi się wydaje, nie przytoczył jej w żadnej ze swoich niezwykle interesujących książek. W niedzielę, 30 stycznia 1972 roku, która weszła do historii jako Krwawa Niedziela (Bloody Sunday), brytyjscy żołnierze zastrzelili 14 nieuzbrojonych cywili podczas marszu w obronie ruchu praw człowieka w Derry, drugim co do wielkości mieście Irlandii Północnej. Po trzech dniach pod angielską ambasadą przy Merrion Square w Dublinie przybyło ponad 20 tysięcy ludzi. Doszło do aktów przemocy, rzucono bomby zapalające. Usiłowano wysadzić

bramę ambasady. W szczytowym momencie protestów z frontonu budynku zerwano i podpalono brytyjskie flagi. Ambasada spłonęła aż do fundamentów. Ta noc – ta historyczna chwila – była według świadka wydarzeń, Colma Tóibína, punktem zwrotnym nie tylko dla niego jako jednostki, lecz także dla całej społeczności południa Irlandii. Istniały tylko dwie możliwości – albo poddać się logice płomieni, wraz z duszą i ciałem rzucić się w pochłaniającą wszystko pożogę, albo uznać pożar ambasady za pewien punkt końcowy. Tóibín, jak ogromna większość, opowiedział się za drugą opcją. W następstwie wydarzeń 2 lutego 1972 roku Republika Irlandii, zwana potocznie „Południem” – taki też jest tytuł pierwszej powieści Colma Tóibína (choć dzieje się ona częściowo w Hiszpanii) – odwróciła się plecami do Północy i tym samym metaforycznym ruchem zwróciła spojrzenie ku Europie.

#### *Prowincjonalna ciasnota umysłowa*

W styczniu 1973 roku Republika Irlandii dołączyła do ówczesnego Wspólnego Rynku. W tym samym czasie przystąpiła do niego Irlandia Północna jako „obszar

administracyjny Wielkiej Brytanii” – taka jest oficjalna prawidłowa nazwa. Ale podczas gdy Południe przyjęło ideę europejską z wielkim entuzjazmem, Północ – jak uprzednio – zdecydowała się na mniej produktywnie oddanie głosu bojówkarzom.

I rzeczywiście, w Irlandii Północnej zaczął się etap intensywnego prowincjonalnego zacieśniania horyzontów, a poczucie przynależności często łączono z obszarem obejmującym niewiele mil kwadratowych. Belfast był tak dokładnie podzielony, że wiele osób opuszczało „swoją teren” tylko po to, aby iść do pracy – założywszy, że mieli pracę wymagającą wyjścia z domu

Granice między tymi podzielonymi według wyznania terenami zaznaczano flagami, muralami i naturalnie graffiti. Najczęściej występujący slogan w częściach miasta należących do lojalistów – protestantów z klasy robotniczej – głosił „No Pope Here” (Papieżowi wstęp wzbroniony). Hasło przypominało, że od bardzo dawna konflikt ów, kosztujący nas tak wiele energii, potencjału ekonomicznego i żywotów naszych współobywateli, był częścią składową większej europejskiej wojny religijnej.

Gdy kardynał Karol Wojtyła został w październiku 1978 roku wybrany papieżem Janem Pawłem II, graffiti zmieniły się na „No Pole Here” (Polakowi wstęp wzbroniony) – oto nasze specyficzne poczucie humoru. Była to nie tyle groźba, ile nazwanie pewnego faktu. Nawet w sytuacji panującej

Irlandia Północna słynie z tego, że nie sposób przejść ulicą, by nie napotkać pisarza – a przynajmniej nie można wejść do baru, by nań nie natrafić.

w 1978 roku w ich własnym kraju jedynie bardzo nieliczni Polacy w pełni władz umysłowych mogliby wpaść na pomysł przesiedlenia się do Irlandii. Gdy ogląda się filmy z tego okresu, sprzed prawie trzydziestu lat, widać, że w mieście panuje atmosfera państwa policyjnego. Pojęcie „policji” należałoby rozciągnąć na organizacje paramilitarne, które rządziły w dzielnicach lojalistów i republikanów, stosując bardzo swoiste, surowe metody nakłaniania opozycji do milczenia: przyklepic na usta, kaptur na głowę i kula w potylicę.

Irlandia Północna słynie z tego, że nie sposób przejść ulicą, by nie napotkać pisarza – a przynajmniej nie można wejść do baru, by nań nie natrafić. Jednak to nie słowa poety najlepiej według mnie opisały nastrój tamtych lat, ale grupa młodych ludzi, którzy byli jeszcze nastolatkami; w debiutanckim albumie grupy punkowej Stiff Little Fingers z Belfastu, który ukazał się cztery miesiące po pierwszym graffiti „No Pole Here”, znajduje się piosenka o prostym tytule *Here We Are Nowhere*: „Here we are nowhere, nowhere left to go” (Tutaj jesteśmy nigdzie. Tutaj jesteśmy nigdzie i nie mamy dokąd pójść). Lub, jak powiadał zwykle mój przyjaciel: „Siedzimy tutaj, na Atlantyku, niezbyt daleko od bieguny północnego i mamy czelność skarżyć się na pogodę”.

Nigdzie lub w pobliżu bieguny północnego – trudno byłoby w każdym razie czuć się dalej od Europy: wydawaliśmy się wyciosani z innego pnia. Z moich nastoletnich lat pozostały mi w pamięci bardzo przeszklone budynki w Strasburgu i Brukseli, podziwiane w dzienniku telewizyj-

nym. W Belfaście okna były zakratowane, a wizjery przerobione. Brakowało nam poczucia, że jesteśmy częścią Europy, i istniało niebezpieczeństwo, iż zupełnie utracimy ją z oczu.

Na pierwszych stronach swej świetnej historii Europy brytyjski historyk Norman Davies przedstawia trafną interpretację mitu o Europie. U Owidiusza, Europa była matką Minosa, która, pluskając się w falach u brzegów swej ojczystej Fenicji – dzisiejszy południowy Liban – spotkała boga Zeusa pod postacią śnieżnobiałego byka. Dała się namówić i wspięła się na grzbiet byka, a bóg pośpieszył z nią na Kretę. „Zeus – mówi Davies – z pewnością zabrał owoce starszych azjatyckich cywilizacji Wschodu na nowe skolonizowane wyspy Egei. (...) Na początku europejskiej historii znany świat leżał na Wschodzie, a na Zachodzie oczekiwało nieznanie”.

Jest to odwrotność niemal całej następującej potem europejskiej historii, w trakcie której „centrum” przemieszczało się stale na Zachód (niestety zatrzymało się daleko od naszego Belfastu), a Wschód coraz częściej przedstawiano jako zagrożenie – niezależnie od tego, gdzie w danym okresie upatrywano jego początku: w cieśninie Bosfor czy w Bramie Brandenburskiej. Według mnie najlepszy przykład tego parcia na Zachód to Disneyland pod Paryżem. Korporacja Disneya poświęciła bardzo dużo czasu i pieniędzy, by dokładnie zlokalizować środek Europy – i na koniec uznała, że leży on 21 kilometrów na południowy wschód od Paryża. Jednak podczas prac budowlanych nad parkiem upadek muru berlińskiego i rozpad Jugosławii

sprawiły, że historia sama zmieniała te współrzędne. Oczywiście wszystkie lęki i cała niepewność w kwestii granic na Wschodzie powstają właśnie dlatego, że – jak znowu trafnie spostrzega Norman Davies – ściśle biorąc, Europa nie jest w ogóle kontynentem, czymś „zamkniętym w sobie”, ale jedynie półwyspem, małym wybrzuszeniem największej masy lądowej świata.

Tutaj przypomina mi się inna wielka postać literatury, Albert Camus, którego dzieła dla wielu z nas w Irlandii Północnej, w naszym północnoirlandzkim Nigdzie, były darem niebios. W ostatnich miesiącach II wojny światowej, która jak większość największych zagrożeń, jakich doświadczyła Europa w XX wieku, w żadnej mierze nie przysłała ze Wschodu, Camus zajmował się tą samą kwestią definicji. W drugim ze swoich *Listów do przyjaciela Niemca* mówił o „idei Europy” jako przeciwieństwie „barwnej plamy, [którą naziści] zaanektowali na prowizorycznych mapach”. Prawdziwe granice Europy, pisze dalej z godną podziwu niedokładnością, to „geniusz niewielu i serce wszystkich jej mieszkańców”.

Alberta Camusa przeczytałem po raz pierwszy w szkole. Normana Daviesa czytałem pierwszy raz późnym latem 2000 roku po powrocie do Belfastu z *Literatur Express*, zainicjowanego w Berlinie projektu, w ramach którego wysłano 106 pisarzy na siedmioletnią odyseję od Lizbony do Berlina – przez Hiszpanię, Francję, Belgię, północne Niemcy, kraje bałtyckie, Rosję, Białoruś i Polskę. Spośród setek książek na ten temat wybrałem *Euro-*

pe: *A History* Normana Daviesa – trochę dlatego, że wiedziałem, iż jest ekspertem od Polski, kraju, który najbardziej mnie ciekawił podczas półtoramiesięcznego *Literatur Express*.

Polska była jeszcze wówczas w trakcie żmudnych rokowań akcesyjnych z UE i w owym czasie należała jeszcze do Wschodu. Podczas wyjazdu do Malborka, po drodze z Hanoweru do Kaliningradu, *Literatur Express* musiał odczekać godzinę na moście przez Odrę, gdy sprawdzano nasze dokumenty podrózne. Wskutek niezwyklego przypadku niemal w momencie, gdy straż graniczna dała nam sygnał do dalszej jazdy, rozpięta się burza: deszcz był bardziej rozmyty niż żelazna kurtyna, ale jako zjawisko atmosferyczne równie skuteczny. Gdy dwa dni później przekraczaliśmy kolejny punkt kontroli granicznej przed Kaliningradem, pewien chorwacki pisarz zauważył: „Machina czasu działa – cofnęliśmy się z lat siedemdziesiątych w pięćdziesiąte”.

### *Działająca machina czasu*

Śmiałem się razem z nim, choć w istocie właśnie zakochałem się w kraju, który zostawialiśmy za sobą. I więcej niż zakochałem: podczas następnego miesiąca zacząłem swoją krucjatę na rzecz Polski i z każdym, kto był gotów mnie słuchać, rozprawiałem o tym kraju z zapalem kon-

W Belfaście okna były zakratowane, a wizjery przerobione. Brakowało nam poczucia, że jesteśmy częścią Europy, i istniało niebezpieczeństwo, iż zupełnie utracimy ją z oczu.

wertyty. Bez zrozumienia polskiej historii nie można zrozumieć historii europejskiej, a bez zrozumienia historii europejskiej nie sposób nareszcie uwolnić się od polityki przeszłości i, by tak rzec, od folkloru. Tak bardzo polubiłem Polskę, że przypiąłem sobie nad biurkiem mandat otrzymany w Warszawie, gdy w roztargnieniu przeszedłem przez jezdnię na czerwonym świetle (opuściłem kraj, nie zapłaciwszy mandatu: aż tak roztargniony nawet ja nie mogę być).

Blisko cztery lata później, 1 maja 2004 roku, Polska wstąpiła w końcu do Unii Europejskiej, a rok później zaczęły funkcjonować pierwsze bezpośrednie połączenia lotnicze między Belfastem a Warszawą, które na dodatek były tanie.

I to jest fakt niewątpliwy: jednym z najważniejszych i najbardziej populistycznych przedsięwzięć ostatniego dziesięciolecia z pewnością była deregulacja ruchu lotniczego. Jeśli pominąć potencjalnie katastrofalny wpływ na środowisko wszystkich tych krótkodystansowych przelotów, a także obsługę pasażerów, której zależało tylko na wypełnieniu samolotu, to nic silniej nie wsparło europejskiej integracji niż tanie linie lotnicze. Gdyby Unię Europejską przemianować na Unię Easyjet i zaoferować członkostwo za loty weekendowe, jestem przekonany, że z dnia na dzień Wielka Brytania stałaby się narodem entuzjastycznych zwolenników UE. Oczywiście żartuję, ale u podłoża tej sprawy leży poważniejszy aspekt.

Europa zawsze uchodziła za coś, na co my w Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej mogliśmy się decydować. Dochodzi tutaj

fakt, że Irlandia Północna, tak jak reszta wyspy, zawsze była krajem emigrantów, i można sobie wyobrazić powszechny wstrząs, gdy stwierdzono, że wymiana z Europą przebiega w obie strony i że są ludzie – i to nawet dość liczni – którzy decydują się podjąć życie na naszej osobliwej, wysuniętej europejskiej placówce: Portugalczycy, Litwini, Estończycy, a przede wszystkim Polacy. W niecałe dwa lata liczba Polaków mieszkających w Irlandii Północnej wzrosła z okolic zera do ponad 30 tysięcy, czyli blisko 2% całej populacji. Polski jako pierwszy język prześcignął już mowę irlandzką, a dotyczy to także języka kantońskiego.

Jeszcze przed najnowszym boorem imigracyjnym Belfast zdobył sobie wątpliwą sławę rasistowskiej stolicy Europy. Północnoirlandzki proces pojednania doprowadził do szybkiego wzrostu cen nieruchomości – o wiele szybszego niż sam ów proces. Wzrosła również wysokość czynszów, więc wielu nowych przybyszów musiało szukać mieszkania w niezbyt lubianych (i dlatego tańszych) częściach miasta. Zwłaszcza Polacy często naruszali religijną czy sekciarską równowagę: Polska to kraj w przeważającej mierze katolicki, a okręgi najtrudniej znajdujące lokatorów to w Belfaście z reguły protestanckie dzielnice robotnicze. Było mnóstwo incydentów: wybite szyby, pogroźki, a nawet podpalenia domów. Ofiarom takich ataków przyczyna jest właściwie obojętna, w każdym razie nie zawsze od razu było jasne, czy stanowiła ją jakaś nowa forma wrogości wobec obcych, czy stara religijna bigoteria.

Nie tak dawno sam byłem świadkiem takiego zamieszania. Moja żona pochodzi z Corku w Republice Irlandii: niektórzy tamtejsi mieszkańcy nazywają go Ludową Republiką Cork. Na początku tego roku odwiedziła nas w Belfaście rodzina żony: jej rodzice, brat i siostra, ich małżonkowie i dzieci, wszyscy z tamtych stron. Jeszcze przed niewiele laty mogło to stanowić powód do zmartwienia: tablice rejestracyjne z południa Irlandii od razu się rozpoznaje. Mieszkamy w części Belfastu, która jednoznacznie każe myśleć o Ulsterze i wpływach brytyjskich z racji czerwono-biało-niebieskich chorągiewek na latarniach i czerwonych, białych i niebieskich murów. Ponieważ jednak mamy rok 2007, odwiedziliśmy wszyscy razem w sobotni wieczór restaurację w naszej dzielnicy i po kilku godzinach – na trochę chwiejnych nogach – wracaliśmy do domu. Brat mojej żony i mąż jej siostry byli wśród nas najmniej chwiejni, odeszli już dość daleko i nagle znaleźli się koło grupy młodzieńców, którzy posłyszeli ich rozmowę.

„Spieprzajcie, skądście przyszli, polskie gnoje”, zaatakowali chłopcy. Moi dwaj szwagrowie byli zbyt zaskoczeni, by się przestraszyć (strach jak zwykle pojawił się dużo później). „Polskie?”, zapytali, gdy dołączyliśmy do nich, a młodzieńcy się zmyli. „Oni sądzili, że my mówimy z polskim akcentem?”. Cóż, „sądzili” to może termin zbyt przynależny do logiki, ale wydaje się, że chłopcy automatycznie zidentyfikowali coś, co wyraźnie brzmiało „inaczej”, z nowym przedmiotem ich gniewu – a mianowicie z nowo przybyłymi imigrantami z państwa członkowskiego UE

– a nie ze starym „ludowym” wrogiem zza południowej granicy.

Ten incydent rozgrywał się niespełna 50 metrów od głównej siedziby osławionej populistycznej Democratic Unionist Party, której założyciel, wielbny Ian Paisley, był także jej przewodniczącym i którego kiedyś wyprowadzono z Parlamentu Europejskiego, bo przerywał mowę papieża Jana Pawła II okrzykami „Antychryst!”. Ian Paisley był ponadto założycielem i długoletnim przewodniczącym Free Presbyterian Church, na którego stronie internetowej ukazał się tekst „Zagrożenie dla protestanckiego Ulsteru”. Chodziło tam o podejrzenia, że księża wspierają imigrantów przy rejestracji na listach wyborczych. Naturalnie imigrant jako obywatel Unii Europejskiej ma pełne prawo znaleźć się na takiej liście. Jednak strona internetowa przede wszystkim niepokoiła się katolicką wiarą tych imigrantów, a nie ich przynależnością państwową. Nieważne, czy *explicite*, czy *implicite*, insynuowała w każdym razie, że imigracja może zaburzyć równowagę w rodzimej polityce. Należy tu wszakże dodać, że członkowie gmin protestanckich (często to eufemizm dla niegdysiejszych bojówkarzy paramilitarnych) podejmowali niekiedy próby stłumienia rasistowskich ataków. Kiedyś przypomniano mieszkańcom miasta Lisburn, że polscy pi-

Gdyby Unię Europejską przemianować na Unię Easyjet i zaoferować członkostwo za loty weekendowe, jestem przekonany, że z dnia na dzień Wielka Brytania stałaby się narodem entuzjastycznych zwolenników UE.

loci odegrali decydującą rolę podczas bitwy o Anglię. Można się tylko domyślać, co to oznacza dla Niemców mających nadzieję wyemigrować do północnej Irlandii.

W ostatnim czasie pojawiają się optymistyczne oznaki. Podczas ostatniego dziesięciolecia policja się całkowicie zmieniła. Z Royal Ulster Constabulary – „The RUC dog of repression”, jak mówi się w innej słynnej pieśni pierwszego albumu grupy Stiff Little Fingers – w Police Service of Northern Ireland. PSNI praktykuje tzw. strategię zatrudnienia 50-50, co oznacza, że zatrudnia tyle samo katolików, co protestantów, by zwiększyć tradycyjnie niższą liczbę policjantów katolickich. Według danych opublikowanych na początku 2007 roku o pracę w policji ubiegało się dotąd niemal tysiąc Polaków mieszkających w Irlandii Północnej. W Polsce powstała nawet specjalna procedura werbunkowa, i żartowano, że z biegiem czasu nazwa policji powinna się oficjalnie zmienić na Polish Service of Northern Ireland. Zdarzały się już rzeczy bardziej niezwykłe: zauważmy choćby silną obecność Irlandczyków w policji Nowego Jorku w ubiegłym stuleciu.

Albert Camus napisał podczas wojny w drugim z *Listów do przyjaciela Niemca*: „Europę należy stworzyć na nowo. Należy ją stale na nowo tworzyć”. Niewątpliwie dla Camusa nie powstaje kwestia, gdzie należy przeprowadzić granice, co jest Wschodem, a co Zachodem: kim są „my”, a kim „inni”. Ma na myśli raczej wewnętrzną odnowę, stale dokonujące się przepracowywanie i przemyśliwanie od nowa. W ostatnich latach Europa przeżywała okresy szybkich przemian i stagnacji. A przecież



będzie się działo jeszcze więcej – wraz ze wszystkimi związanymi z tym szansami i zagrożeniami.

Na ostatniej stronie *Europe: A History* z 1992 roku, w wypowiedzi Normana Daviesa pobrzmiewa myślenie Camusa: „Na Zachodzie Unia Europejska, a na Wschodzie nowo dołączające państwa muszą na nowo zdefiniować swoją tożsamość, swoje granice i swoją przynależność. Przynajmniej na pewien czas powinna powstać nowa równowaga. (...) W najbliższej przyszłości Europa nie będzie doskonale zjednoczona, ale ma szansę być mniej podzielona niż dawniej. Jeśli los uśmiechnie się do niej, bariery fizyczne i psychologiczne będą mniej okrutne niż kiedykolwiek w przeszłości, do której sięga ludzka pamięć”.

Gdyby dziś w centrum Belfastu w Ulster Hall wystąpił zespół Stiff Little Fingers, ucieszyłbym się, widząc wśród alternatywnych punków naszych polskich sąsiadów śpiewających razem ze wszystkimi „Here We Are Nowhere”. Nadal, tak jak przedtem, mamy dość niedaleko do bieguna północnego, ale znacznej grupie ludzi z innych stron Europy, którzy wybrali życie w tym kraju, zawdzięczamy, że tutaj, gdzie jesteśmy, jest teraz trochę inaczej niż przedtem.

**Glenn Patterson** (ur. 1961 w Belfaście) jest autorem wielu powieści. Jego pierwsza powieść *Burning our own* (1988), której akcja dzieje się w Irlandii Północnej pod koniec lat 60. XX wieku, otrzymała nagrodę Rooney Prize dla literatury irlandzkiej. Jego najnowsze książki to *The Third Party* i *Once Upon a Hill: Love In Troubled Times* (2008).

Marten



abcdefghijklmnopqrstuvwxyz  
ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ  
1234567890

Duchowe osły obciążonych Europa pozostawała duchową ojczyzną dla wielu Estończyków także w epoce żelaznej kurtyny. W Estonii, należącej od pięciu lat do UE, nadal żyją ludzie należący do minionych czasów, którzy z wychowania i mentalności są obywatelami stalinowskiego Związku Radzieckiego. A gdzie leży duchowa ojczyzna młodego pokolenia? *Eeva Park*



„Jak gdybym nigdy tam nie był...” – tymi słowami wspominał podróże do Włoch odbywane podczas studiów w Heidelbergu i na Sorbonie Osip Mandelsztam, skazany podczas lat terroru na milczenie i zmarły później w łagrze koło Władywostoku. Mandelsztam był rosyjskim poetą, który wraz z Anną Achmatową należał do kręgu słynnych na początku XX wieku akmeistów. Na pytanie, czym jest akmeizm, odpowiadał: „tęsknotą do kultury światowej”, i ogłaszał, że nie chce się wyrzec ani żywych, ani zmarłych – choć właśnie tego domagała się sowiecka dyktatura od intelektualistów i zwykłych obywateli.

Granice państw zostały zamknięte, ale tygodnie spędzone we Włoszech, w „wytęsknionej krainie” (dziś można by je nazwać podróżą turystyczną) wywarły na

poezie raczej niezadowolające wrażenie, co widać także w jego późniejszych wspomnieniach. Nie liczyło się dlań, jako poety, doświadczenie fizyczne, piękno gór Toskanii. W jego życiu ważna była tylko europejska kultura, którą do głębi odczuwał jako swoją, zarówno w aspekcie historycznym, jak i literackim.

W centrum Europy, w krajach o starej kulturze, jak Niemcy, gdzie natrafia się na resztki murów rzymskich kolonii na pierwotnie germańskich ziemiach, gdzie nikt sobie nie łamie głowy nad „początkiem” historii, zapewne trudno pojąć, jak bardzo narody, które żyły i rozwijały się poza tym zagęszczonym pejzażem kulturowym, ale jednak w obszarze jego wpływów, potrzebują tej ogólnołudzkiej, wspólnej duchowej ojczyzny.

Wspomniałam o wielkim rosyjskim poecie, ponieważ u niego szczególnie wyraźnie i w sposób tragiczny dochodzi do głosu, co to znaczy być Europejczykiem:

Dante, Ariosto, Petrarca, Katullus, Owidiusz, Goethe, Bürger, Kleist, Hölderlin, Baudelaire, Rimbaud, Villon i inni ratowali Mandelsztama wraz z Puszkinem, Briusowem, Dzierżawinem i tyloma innymi gwiazdami rosyjskiej li-

teratury z duchowej izolacji lat terroru – określili także dalszy los poety. Innymi słowy – człowiek myślący po europejsku nie może się dopasować do żadnej dyktatury. Mimo zagrożenia najsroźszymi karami nie da się z niego uczynić Orwellovskiego zarządcy folwarku, a przynajmniej nie tak łatwo jak z tych, którzy ową kulturą nie są przesiąknięci. Albowiem to, co Europejczyk Mandelstam wyrażał w swoich wierszach, w danej sytuacji oznaczało tyle, co absolutny sprzeciw, wypowiedzenie przez człowieka wojny władzy absolutnej, wobec której nie miał najmniejszych szans.

Był czas, gdy noszenie europejskiego kapelusza zamiast leninowskiej czapki z daszkiem mogło kończyć się tragicznie dla eleganta i jego rodziny. W pierwszych latach Republiki Estonii, gdy ościenna Rosja Radziecka podczas pierwszych wielkich czystek dodała do iks milionów ofiar także swoich największych pisarzy, naszych autorów ożywiało narodowe uniesienie. Powszechnie znane jest powiedzenie: „Bądźmy Estończykami, ale stawajmy się również Europejczykami”. Te słowa rozbrzmiewały tylko przez dwa dziesięciolecia i zostały uciszone znową dwójką dyktatur, paktem Ribbentrop – Mołotow.

Urodziłam się już w Estońskiej Republice Radzieckiej i wyrosłam w kraju, który musiał poświęcić wolność wobec najazdu pancernych kolumn, który, oddzielony od zagranicy, przede wszystkim zaś od Europy, został wcielony do Rosji Radzieckiej. Choć owa Europa po drugiej stronie żelaznej kurtyny, w nieosiągalnej dali, wydawała się

nam na zawsze utracona, duchowe echo powtarzało tamte słowa. Przynajmniej u mnie w domu.

Niezwykle potężne, negujące urzędową ideologię znaczenie literatury światowej polegało na tym, że dzięki posiadanym książkom i pracy estońskich tłumaczy była nam bliska w znacznej mierze europejska mentalność. Nader ważny dla nas jest tu fakt, że epoka Stalina (oznaczająca groźbę nie tylko fizycznej, ale i duchowej śmierci) w Estonii trwała relatywnie krótko, ale w Rosji, której cierpienie i szkody duchowe były o wiele większe, powszechnie znane fakty historyczne zostały na szczeblu państwowym napisane na nowo lub przemilczane. W pewnym sensie w radzieckiej Estonii doszło do swoistego, ale wyraźnie wyczuwalnego zatrzymania czasu.

Dokładniej mówiąc, w tej totalitarnej epoce opartej na gospodarce planowej i wprowadzającej komunizm łągrowskiego żyło jednak wielu ludzi, którzy z racji swoich zasad moralnych, obyczajów, a przede wszystkim postawy duchowej należeli do Republiki Estonii, innymi słowy, do Europy.

Teraz, po odzyskaniu niepodległości, to zatrzymanie czasu działa w przeciwną stronę. W Estonii, należącej od pięciu lat do UE, nadal żyją ludzie należący do minionych czasów, którzy z wychowania i mentalności są obywatelami stalinowskiego Związku Radzieckiego. Nie jest ich wielu, ale ich agresywność nie pozwala ucichnąć przeszłości. Zbyt łatwo byłoby uznać to wyłącznie za problem narodowy. Ostatecznie wszyscy przecież przeszliśmy ten sam czyściec, w którym miano z nas wytrzebić europejskie podstawy, a półwieczna epo-

Człowiek myślący po europejsku nie może się dopasować do żadnej dyktatury.

ka radziecka mniej czy bardziej wyraźnie odcisnęła na każdym z nas swoje piętno. Kult wodza i porzucenie zachodniej demokracji doprowadziły do tego, że obok Wielkiego Wodza do władzy doszli także ci wszyscy, którzy w systemie mieli jakąś pozycję.

Każdy trzymał się zajmowanego stanowiska; ze swej władzy cieszyli się na równi badacz, dozorca i dyrektor instytutu. Kto nie żył w tym systemie, nie wie, czym jest żądza władzy. Nostalgia, jaką ujawniają niektórzy starsi ludzie, gdy mowa o tej minionej epoce, po prostu ujawnia nader ludzki fakt – młodość wydaje się najlepszym okresem w życiu, przynajmniej niektórym osobom, a wobec globalnego kryzysu gospodarczego dają się słyszeć głosy uznające rozpad Związku Radzieckiego nawet za wydarzenie tragiczne.

### *Radzieckie nostalgje*

Dlatego przytoczone wcześniej słowa „Bądźmy Estończykami, ale stawajmy się również Europejczykami” mają właśnie dziś większe znaczenie niż wcześniej. Wobec pamięci o „brązowej nocy” sprzed dwóch lat (gdy protesty przeciwko przeniesieniu pomników pamięci o II wojnie i przeciwko przeniesieniu szczątków poległych żołnierzy na cmentarz wojskowy doprowadziły do zamieszek w centrum Tallina) sformułowałabym je inaczej: „Bądźmy Estami, stawajmy się Estończykami, ale bądźmy też wszyscy Europejczykami!”.

Dla mnie, późniejszej pisarki, młodość i lata nauki na tym małym skrawku ziemi nad brzegiem Zatoki Fińskiej przeniknięte były egzystencjalnym napięciem i złożonością, gdyż zawsze miało się przed oczami niewidzialne i widoczne, strzeżone przez żołnierzy zasieki z drutu kolczastego.

Pisarze poddani cenzurze nauczyli się pisać między wierszami, a czytelnicy kupowali książki z nieznaną wcześniej namiętnością (pierwsze wydanie tomiku poezji mogło mieć cztery tysiące egzemplarzy nakładu, a powieści – dwadzieścia tysięcy), aby rozgryźć ten powszechnie zrozumiały, ukryty między wierszami kod, który cenzorzy przeoczyli. Estońska świadomość zbiorowa odkrywała zakazane treści nawet w wierszach dla dzieci, jak się potem okazało, przez autorów wcale niezamierzone.

I wśród tych państwowych zakazów i nacisków nadszedł czas, gdy obraz, który powstał we mnie, kiedy z udręką więźnia patrzyłam na Europę, zamazał się. Przyszłam, że życzyłabym sobie, żeby europejscy intelektualiści nie dali się otumanić przy wyborze swego światopoglądu werbalnym oszustwom tego miotającego gromy kolosa. W pełni rozumiałam walkę uzdolnionych ludzi o lepszy porządek świata, rozumiałam, że protesty były i będą konieczne, że ludzka wolność i odpowiedzialność społeczna zawsze są ułomne. Jednak artyści i pisarze, którzy otwarcie wystąpili jako komuniści, w moich oczach pokazali przede wszystkim, że nie tylko pochwalają holokaust nosiciele wartości europejskich oraz los Mandelsztama, Achmatowej i wielu innych nieznanych pisarzy, ale że duchowo wspierają to wszystko posiadaniem czerwononych książeczek partyjnych.

Właściwie to, co przeżyliśmy, było pod koniec nie tyle okrutne, ile niebotycznie głupie. Już od dawna nikt nie wierzył w ideologię lat terroru ani w całą tę dialektykę komunizmu, było więc

dla nas zagadką, jakim sposobem grupa rządzących, która wobec ostrych i chronicznych braków podstawowych produktów zabarykadowała się bezwstydnie w specjalnych sklepach, szpitalach, willach itd., od czasu do czasu urzędowała farsę wyborów i podporządkowała sobie prawie pół Europy – także na wolną część Europy mogła wywierać tak długotrwały duchowy wpływ.

Nie chcę twierdzić, że trzeba ani że w ogóle można przed sąd zaciągnąć komunizm jako teoretyczną i społeczną doktrynę o budowie życia publicznego, ale w mojej opinii reżimu, który dopuścił się takich aktów przemocy w imieniu partii komunistycznej, nie można, mierząc miarą europejską, nazwać inaczej niż zbrodniczym.

### *Smutek nowych przybyszów*

Wróćmy jednak do pytania o dzisiejsze problemy europejskich kultur duchowych. Wydaje mi się, że trudno będzie ich uniknąć, bo stare, bogate duchowo i wielkodudzne centrum Europy jest zmęczone smutkiem nowych przybyszów.

Sądzę, że Europa po części lęka się po prostu ogromu okrutnych ciosów losu, które tak nagle stały się jej znane dzięki przekładom z małych języków Europy, częściowo nie potrafi ich znieść, częściowo nie chce o nich słyszeć. Może jednak

Życzyłabym sobie, żeby europejscy intelektualisci nie dali się otumanić przy wyborze swego światopoglądu werbalnym oszustwom tego miotającego gromy kolosa.

właśnie takie jest pytanie: co moglibyśmy – my, „duchowe osły obciążonych”, my, pisarze małych wspólnot językowych – zaoferować europejskiemu rynkowi literackiemu zamiast odstraszących lamentacji? Pytanie tym ważniejsze, że wydawcy doskonale wiedzą, co się sprzedaje, a bez perspektywy zysku nie podejmą ekonomicznego ryzyka.

II wojna światowa i jej skutki to już nie jest temat dla Europy. Dla Wschodnioeuropejczyków wszakże, dla Bałtów wojna skończyła się dopiero wraz z upadkiem muru berlińskiego, i wydaje mi się, że miało to związek z zatrzymaniem czasu, z rzeczywistością, która nie dba o rachubę lat. Z powodów, na które wpływu mieć nie mogliśmy, totalitaryzm epoki przedwojennej ciągle jest boleśnie blisko nas. Pojawił się wraz z „brunatną nocą”, ujawniając nowe przerażające wizje, i wydaje się nam, że jeśli nie będziemy go interpretować na poziomie europejskim, to trudno nam będzie znaleźć wspólny ogólnoludzki język.

Jaan Kross, najbardziej znany za granicą estoński pisarz, powiedział: „Osobiście byłbym jak najdalej od cementowania historycznych miejsc pamięci. Chciałbym jednak podkreślić zasadniczą różnicę między D-Day we Francji a naszymi deportacjami: Francuzi (a z nimi znaczna część Europejczyków) mogli obchodzić ten dzień przez sześćdziesiąt lat. I być może dziś mają już dość. Muszą o tym sami zdecydować. Ale my rocznicy deportacji długo nie mogliśmy wspominać publicznie. Po wielkich deportacjach z lat 1941 i 1949 nastąpiło pół stulecia pod władzą radziecką, która zabroniła nam wspo-



minania tych dni i egzekwowała to za pomocą wszystkich możliwych organów ścigania. Dziś, gdy nie jest już zbrodnią przeciwko państwu złożenie w myślach i w rzeczywistości kwiatów na czyimś bezimiennym grobie, teraz, gdy wreszcie stało się to możliwe, sam chciałbym zdecydować, jak długo będę pamiętał swoich zmarłych czy zmarłych mego narodu. Czy wystarczy pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy sto lat. Czy też może i tysiąc lat byłoby za mało”.

Jak Kross, tak i ja próbuję „nie cementować historycznych miejsc pamięci”, choć oczywiście wszystkie je pamiętam. Moja powieść *Falle, unendlich* [Pułapka, bez końca], która ukazała się w języku niemieckim w 2008 roku, opowiada na przykład o rzeczach dziejących się współcześnie, ale to, co chciałam tam wyrazić, wiąże się z Krossem, który spędził osiem lat w obozie jenieckim, i z Mandelsztamem – dla obu wolność nie daje się oddzielić od człowieka.

Gdy napisałam ten artykuł, zapytałam córkę, która studiuje w Singapurze genetykę i mieszka w międzynarodowym miasteczku studenckim, czy czuje się w szerokim świecie Europejką. Natychmiast otrzymałam odpowiedź twierdzącą. Europa to ojczyzna młodych wykształconych Estończyków. Jednak córka dodała później, że – jako Estonka – w rozmowach z rówieśnikami o historii i polityce stale zauważa, jak niewiele się o nas wie i chce wiedzieć, i jak

wskutek tego ciągle jesteśmy jeszcze z dala od europejskiej tożsamości.

Pojmowanie świata przez artystę to instrument i narzędzie – jak młot w dłoni kamieniarza. I dlatego nie ma innej i lepszej drogi do stworzenia tożsamości ogólnoeuropejskiej niż dialog inspirowany literaturą. Mówiąc słowami Milana Kundery: „Dzieło literackie ma sens tylko o tyle, o ile odsłania nieznanne wcześniej aspekty ludzkiej egzystencji”. Intensywność tego dialogu zależy przede wszystkim od poznawczego i emocjonalnego zainteresowania ludami i krajami wymazanymi niegdyś z mapy Europy.

**Eeva Park** zaczęła literacką karierę w 1983 roku jako poetka, jednak wkrótce zajęła się też prozą. Uznanie zyskała zwłaszcza jej powieść *Loks loppmatus* (2003, wyd. niemieckie *Falle, unendlich* 2008). W tym thrillerze opisuje mroczną stronę estońskiego cudu gospodarczego: bezdomne dzieci, kryzys wartości moralnych i powszednią brutalność.

Gdzie morze się kończy a ląd zaczyna Pozabawiony dawnych imperialnych ambicji, to rozległy pas morza Portugalii uczynił kosmopolityczny dialog praktyką dnia codziennego. Naukowe spostrzeżenia z zachodniego brzegu Europy dotyczące kultury.

*Isabel Capelo Gil*



Wypowiadanie się o kulturze europejskiej z miejsca, gdzie „morze się kończy, a ląd zaczyna”, może być tylko przedsięwzięciem kosmopolitycznym. Cytowana fraza otwiera powieść José Saramaga *Rok śmierci Ricarda Reisa* (1984) i odnosi się krytycznie do historii portugalskiej bytności na morzu. Jednak czy to z powodu peryferyjnego położenia Portugalii, czy dlatego, że naszym horyzontem rzeczywiście jest morze, a nie ląd, poczucie globalnej przynależności uzyskało nowe znaczenie. Pozbawiony dawnych ambicji imperialnych, rozległy pas morza uczynił kosmopolityczny dialog praktyką dnia codziennego.

Najlepszym miejscem obserwacji napięć między związanymi z ziemią narracjami lokalnymi a płynną logiką globalności jest szkoła wyższa.

Moje spostrzeżenia są ewidentnie prowincjonalne, podjęte z punktu widzenia portugalskiej na wpół peryferyjnej tożsamości europejskiej. Wypowiadam się jako pracownik akademicki, zaznajomiony z literaturą niemiecką, pracujący w cieniu ostatniego na kontynencie narodu imperialnego i kolonialnego, z punktu widzenia państwa diasporowego, odrodzonego w ostatnich dekadach jako miejsce schronienia dla imigrantów. Dla takich jak ja, którzy podzielają tożsamość w drodze, internacjonalizacja nie jest trendem, lecz istotnym uwarunkowaniem, a kosmopolityzm to nieustające negocjacje. Dziś, choć bez przywoływania abstrakcyjnego, imperialnego kosmopolityzmu oświeceniowej Europy, proponuję prowincjonalizację kosmopolitycznych ram myślowych, ich historyczyczą i usytuowane podejście do nich, gdyż, jak to słusznie ujął socjolog Ulrich Beck, „kosmopolityzm bez prowincjonalizmu jest pusty, prowincjonalizm bez kosmopolityzmu jest ślepy”.

W ten sposób prowincjonalny kosmopolityzm został ustawiony naprzeciw dwóch głównych narracji badań nad kulturą: pierwsza rozumie kulturę jako narodowy wyraz tożsamości w znaczeniu nadanym jej przez Norberta Eliasa; druga to badanie kultury jako europejskiego abstrakcyjnego przywileju, hegemonicznie rozsiewanego z Północy na Południe wśród narodów mniej kulturalnych. Istotnie, żyjemy w epoce, w której sama rzeczywistość stała się kosmopolityczna. Z jednej stro-

ny *vita cosmopolita* przenika współczesność zamieszkaną przez płynną masę ludzką i pełną ważnych wydarzeń, tzw. diasporę nadziei, a z drugiej ma też ciemną stronę, którą Arjun Appadurai nazwał diasporą terroru tych, którzy nie biorą udziału w płynnej *cosmopolis*, ale których życie pozostaje pod głębokim wpływem owego ruchu. Te diaspory zbiegają się w sali seminaryjnej, przynosząc ze sobą odmienne narracje i wartości.

Konflikt wokół praw kulturowych, wokół prawa do różnych narracji stał się kluczowym hasłem nowych symbolicznych i prawdziwych wojen, jasno wykazując, że jednorodna perspektywa z europejskiego centrum straciła znaczenie. Dlatego portugalski wieszcz narodowy Camões można uznać za dziwnego towarzysza dla wydziedziczonego imigranta z Afryki, ale czy rzeczywiście nim jest? „Kultura” to naprawdę słowo obciążone znaczeniami – z długą i ciężką tradycją władzy – słowo należące do najbardziej złożonych semantycznie w łacińskiej i germańskiej rodzinie językowej. Choć ostatnie konflikty wykazały, że kultura jest jedną ze złożonych powierzchni, po której przetaczały się walki potęg, to z pewnością może ona być także miejscem dochodzenia do rozwiązań i dialogu. Pozbawiony swych imperialnych szat, Camões może być więc źródłem zrozumienia kulturowego kontaktu, twardości i walki oraz wyzwani stojących przed Innym. Mogą do tego prowadzić badania nad kulturą jako metadyscyplina, która nie wyrasta ze sztywnego podziału na dyscypliny naukowe, lecz jest zorientowana problemowo, oparta na demokratycznym rozumieniu wspólnego człowieczeństwa i dlatego dobrze ulokowana jako program pewnej kosmopolitycznej epistemologii, która może pomóc w zrozumieniu złożoności przemian w akademii i w świecie.

Badania nad kulturą, jak w ogóle nauki humanistyczne, miały od wieków pieczęć narodowej tożsamości. Jako germanistka

ształcenia przypomnę, że jeszcze do niedawna studia germanistyczne były inspirowane modelem wziętym z *Wissenschaft vom Deutschen* Jakoba Grimma. Oparte na modelu czysto lingwistyczno-filologicznym badania nad obcą kulturą były w Portugalii lat 80. XX wieku, jak na większości europejskich uniwersytetów, ćwiczeniem filologicznym, które wzmagало specyfikę Innego z punktu widzenia ekscentryczności obcego badacza. Studiowanie innej kultury oznaczało dowartościowanie różnic między ludami, tj. narodami, i budowanie granic.

Badania dotyczące jakiejś kultury afrykańskiej często, a na pewno przed powstaniem badań postkolonialnych, podejmowały narrację różnicy dla uzasadnienia kulturowej i politycznej dominacji. Gdy wszakże potępiamy narrację tożsamości i wykluczenia, to wcale nie wynika z tego, że w badaniach nad kulturą należy w ogóle zarzucić badanie tożsamości. Powiedziałabym raczej, że potrzebne jest nowe znaczenie tożsamości i przeobrażenie jej w nową „wyjątkowość”. Narracja wyjątkowości skupiłaby się na przejściu zamiast na trwaniu, dopuszczając rewizję, samokrytykę i tym samym pokojowe rozwiązania. W seminaryjnym pokoju panarodowej Europy narracja kultury jako rzecz unikatowa ma kluczowe pole do testowania.

Po uśrednieniu europejskich szkół wyższych w latach ubiegłych kształcenie na kontynencie nie jest już ukierunkowane tylko na studentów rodzimych i tych z Europy. Takie programy, jak Erasmus Mundus, Alfa czy Atlantis nastawiają się na wzmacnianie euroamerykańskich sieci badawczych i innych międzynarodowych przedsięwzięć, dążą do uczynienia europejskiej przestrzeni badawczej bardziej konkurencyjną dla badaczy spoza strefy Schengen. Trend ten wpływa na nacjonalizm dyscyplin humanistycznych mocniej niż na inne pola badań, gdyż często akademicka histo-

ria tych dyscyplin pod maską narracji uniwersalizmu wiąże się z powstaniem i legitymizacją współczesnego europejskiego państwa narodowego.

Uznanie badań nad europejską kulturą za przedsięwzięcie lokalne opiera się na czterech głównych ideach. Pierwsza to rozpoznanie uniwersalnej i racjonalnej tradycji europejskiej nauki jako usytuowanej odpowiedzi na wyzwania historii z określonego miejsca w świecie, wystawionej na próbę złożoności wiedzy. Jest to regionalna odpowiedź ze światowymi ambicjami. Choć nowe trendy, takie jak badania postkolonialne i badania genderowe stały się wyzwaniem dla paradygmatu, wspierając świadomość prowincjonalizmu Europy, ważne jest, by unikać mówienia cudzym głosem. Zamiast mówić za innych, miejmy na tyle pokory, by mówić jedynie za siebie.

Druga idea to akceptacja odmiennych epistemologii, czy to z Południa, czy ze Wschodu, i zdolność do objęcia ich obcości dialogową wyjątkowością. Trzecia idea stanowi, że świadomość usytuowanego i prowincjonalnego charakteru humanistycznego uniwersalizmu może wspierać poczucie wspólnej kruchości i wrażliwości jako podstawy odmiennego pojmowania kultury. Bez politycznie poprawnej troski o szacunek dla mniejszości kolidującej z prawami większości, takich jak kobiety, uniwersalizm nie zostanie po prostu narzucony, lecz uznany za usytuowaną odpowiedź na kruchość samego życia.

Ostatni punkt to stworzenie prowincjonalnego *curriculum*, czyli *curriculum*, które nie będzie dążyć do mówienia za wszystkich, lecz, usytuowane na krawędzi granicy Północy i Południa, uzna europejski uniwersytet za właściwą odpowiedź na złożoną nowoczesność, którą zamieszkujemy. Jest to odpowiedź, która nie może dążyć do tego, by mieć zasięg globalny, ale może stać się modelowa w swej zdolności do tworzenia warunków do szerokiego dialogu między

regionalnymi odrębnościami jego członków. Ten projekt, prowincjonalny, ale kosmopolityczny w sensie rozpoznania narracji Innego i woli podzielenia jej, służyłby zrozumieniu kultury europejskiej poza dawnymi urzeczowionymi narracjami tożsamości.

Ten poprawiony kosmopolityzm wszystkich studentów nauk o kulturze w Europie można budować na doktrynach dawnej XVIII-wiecznej tradycji humanizmu i poszerzać uprzywilejowany nurt o świadomość wspólnoty istnienia. A literatura istotnie jest kluczem do tej rewizji kosmopolityzmu jako przestrzeni, w której można praktykować prawo do narracji europejskiej różnorodności. Literatura jest drogą do interpretacji narracji Ja i Innego w prowincjonalnej historii Europy. W hybrydycznej ambivalencji „obcych narodów” współczesności, jak mówi Homi Bhabha, modele przynależności, nowej dialogicznej pojedynczości testuje się i wprowadza właśnie w narracji. Prawo narracji pozwala niedoreprezentowanym grupom sięgnąć wymiaru symbolicznego. Ta narracja o przemieszczeniu i przynależności wypelnia to, co Homi Bhabha nazwał „potocznym kosmopolityzmem”, wpływającym na globalizację od dołu, przez reprezentację i edukację.

Myszę, że badania nad kulturą pozwalają nam dostrzec, jak stwierdziła Hannah Arendt, iż Inne może mieć rację także wtedy, gdy zmusza nas do przemyślenia tożsamości i zwrócenia się do dialogicznej wyjątkowości, która łączy badacza i studenta ponad podziałami narodowych kultur. Z drugiej strony kultura i tekst literacki jako jej narracyjny partner wzmacniają kosmopolityzm nadziei narzędziami demokratycznego humanistycznego krytycyzmu. Ciężar przeszłości Europy, ale także jej chwalebna zdolność do odrodzenia zapewniają europejskim instytucjom edukacyjnym nieporównywalny status. Dobrze poinformowane i krytyczne badania nad Europą, oparte na poczuciu jej ufundowanego w wyjątkowości kosmopolityzmu, nie są wyłącznie kluczem do

## Postęp Europa?

ambitnej przestrzeni wyższej edukacji europejskiej w dziedzinie nauk humanistycznych, ale także znakiem odnowionych dyscyplin uniwersyteckich, które przekroczyły narodowe granice i chcą pracować nad zrozumieniem europejskiej ponadkulturowej ekologii wiedzy, by Europa była kontynentem, gdzie ląd i morze rozmawiają, a nie zderzają się.

**Isabel Capelo Gil** jest profesorem nauk o literaturze i kulturze na Katolickim Uniwersytecie w Lizbonie. Liczne publikacje z zakresu teorii kultury, różnic płci, tańca i literatury. Profesury gościnne na uniwersytetach w Europie, USA i Brazylii. Jest członkiem honorowym University of London's School of Advanced Study.

Tak blisko, a przecież tak daleko Od czasu gdy Malta przystąpiła do Unii Europejskiej jedynie dwa utwory zostały przetłumaczone z języka maltańskiego na inny język europejski. Słaby plon czy mentalność wyspiarska? Mały kraj zadowolił się tym, że pozostaje na zewnątrz, ale jednocześnie tak się zachowuje, jakby był w centrum działań. *Immanuel Mifsud*



2 marca 2003 roku, w przeddzień referendum w sprawie przystąpienia Malty do Unii Europejskiej, lewicowy tygodnik „It-Torca” opublikował w dziale literackim okolicznościowy artykuł pisarzy maltańskich, którzy po części bardzo aktywnie działali w czasie literackiej rewolucji lat 60. XX wieku. Wspólnie złożyli oni uroczyste śluby lojalności wobec ojczyzny i wyjawili pragnienie zachowania niezależności zdobytej w 1964 roku. Opowiadali się za zachowaniem powszechnej wolności politycznej istniejącej od 1979 roku i postulowali zachowanie kultury, tradycji i tożsamości, które ich przodkowie osiągnęli nieustraszoną twardą pracą i umiłowaniem ojczyzny. Artykuł zawierał kilka niezwykle patriotycznych, romantycznych hymnów do macierzystego kraju, z

których niejeden powstał przed około 70 laty i znalazł zastosowanie podczas rewolucji kulturalnej lat 60. Artykuł kończył się uroczystą deklaracją, że podpisujący go pragną jedynie samodzielnie stanowionego przez obywateli Malty rządu – i nie życzą sobie jakichś zagranicznych władców. Czy te wynurzenia maltańskich pisarzy korespondują z członkostwem w UE?

W 2005 roku jedna z głównych oficyn Malty, wydawca m.in. „Timesa” i „Sunday Timesa” zaliczających się do najbardziej poczytnych maltańskich gazet, wstrzymała publikację pewnego zbioru opowiadań. Wyjaśniła, że poruszają one tematy, które są na Malcie najgłębszym tabu – między innymi kazirodstwo, męską prostytutkę i świat podziemia. Godne uwagi jest to, że podczas kampanii za przystąpieniem do UE „Times” należał do zdeklarowanych jego zwolenników. Opowiadając się za akcesją do UE, powołał się między innymi na przynależność Malty do europejskiego dziedzictwa kulturowego.

Moim zdaniem te dwa wydarzenia ukazują sprzeczną postawę, jaką przyjęła Malta wobec nowej Europy. Sprzecznosc jawi się jako jeszcze większa, jeśli pomyśleć, że wielu maltańskich autorów z różnych



epok wybierało Europę nie tylko jako punkt odniesienia swojej pracy, ale także swojej całościowej filozofii i orientacji politycznej.

Malte, mimo silnych arabskich wpływów na kulturę, a zwłaszcza na język, uważano jednak za kraj europejski. Z drugiej strony jasne jest, że ani sprzyjający Europie pisarze, ani opiniotwórczy politycy nie wiedzą, co to znaczy być europejskim. Trudno się temu dziwić, skoro ta niepewność cechuje wielu innych Europejczyków, którym definicja pojęcia „europejska tożsamość” również przysparza niesłychanych kłopotów. Można podejrzewać, że pojęcie to jest konstruktem polityków chcących stworzyć polityczną superpotęgę.

### *Europa pod wpływem arabskim*

W epoce kwestionującej geografii Europy, gdy granice kontynentu wydają się trochę zatarte, pojęcie tożsamości jest bardzo trudno uchwytnie. Tym bardziej dotyczy to kraju na najodleglejszych peryferiach politycznej i geograficznej rzeczywistości, którą nazywamy Europą. Malta nie odważyła się na konieczny skok, by należeć do innych, i w zamian uczepiła się statusu europejskiego kraju „down under” [na dole]. Dominujący dyskurs o kształtowaniu europejskiego paradygmatu kultury i tożsamości krótko po poszerzeniu UE wydaje się koncentrować głównie na podziale między starym Zachodem a nowym Wschodem. Ponieważ Malta nie należy do żadnego z dwóch bloków, zadowolili się pozostaniem na zewnątrz, działając zarazem tak, jakby była w centrum wydarzeń. Od czasu przystąpienia

do UE pojawiło się niewiele inicjatyw kulturalnych wspierających maltańską sztukę. Sztuki plastyczne i muzyka stanowią tutaj może wyjątek. Literatura niekoniecznie skorzystała na tym „przycumowaniu” do europejskiego stałego lądu. Od 2004 roku tylko dwa utwory literackie ukazały się w innym kraju europejskim: mój tomik wierszy ukazał się w ramach imprez zorganizowanych z okazji piastowania przez Cork tytułu ówczesnej Europejskiej Stolicy Kultury, a sztukę teatralną Clare Azzopardi wydano w 2008 roku w Paryżu.

Pod koniec 2009 roku National Arts Council of Ireland wydał w Irlandii dwujęzyczny tom wierszy (po maltańsku i angielsku) Adriana Grimy. Dochodzą jeszcze pojedyncze inicjatywy publikowania dzieł literackich w e-zinach, czasopismach literackich lub antologiach, które na zlecenie UE lub innej organizacji ukazują się jako dodatek do festiwalu literackich regularnie zapraszających maltańskich pisarzy. Jest to bardzo kiepski wynik na tle ogromnej liczby publikowanych przekładów.

Program UE dotyczący wspierania przekładów – „Kultura 2000” – nie doprowadził, co osobliwe, do oferowania przez wydawnictwa maltańskie większej liczby publikacji za granicą. Jak dotąd ani jedno nie wzięło udziału w takim projekcie. Dyrektor pewnego czołowego wydawnictwa Malty stwierdził publicznie, że program tłumaczeń UE jest finansowo o wiele bardziej korzystny dla tłumaczy niż dla pisarzy i ich wydawców. Niewątpliwie przekład to główna przeszkoda, bo w języku maltańskim pisze i mówi tylko 400 000 osób – nie jest on ważnym językiem europej-

skim, choć należy do języków urzędowych Unii Europejskiej. Założenie w 2007 roku na uniwersytecie w Bremie Internationale Vereinigung für Maltesische Linguistik [Międzynarodowy Związek na rzecz Lingwistyki Maltańskiej] z przewodniczącym w osobie Thomasa Stolza było krokiem bardzo obiecującym, choć to stowarzyszenie nie ma nic wspólnego z literaturą.

Malta, jak nie miała, tak wciąż nie ma działającej organizacji literackiej, która zajmowałaby się przekładami i upowszechnianiem maltańskiej literatury. Nie dysponuje ośrodkiem informacji o literaturze ani domem literatury.

Academy of Maltese mimo zadań sformułowanych i zawartych w akcie założycielskim z 1920 roku – propagowania maltańskiego języka i literatury – ogłosiła brak zainteresowania wspieraniem przekładów dzieł literackich z języka maltańskiego.

Powołana przez rząd National Book Council pracuje w niepełnym wymiarze godzin i mimo ogłoszenia planów stworzenia programu tłumaczeń nie dysponuje niezbędnymi do tego środkami. Literatura najwyraźniej nie cieszy się tą samą estymą, co inne obszary pejzażu kulturalnego wyspy. Choć Malta Council of Culture and the Arts regularnie wspiera pisarzy w poważnym traktowaniu ich europejskich zobowiązań, to w przeciwieństwie do podobnych instytucji kulturalnych innych krajów nie przedstawiła żadnego programu wspierania przekładów.

Malta jak dotąd nie ma żadnej oficjalnej polityki kulturalnej. Nie dysponuje ośrodkiem informacji o literaturze ani domem literatury.

W 2009 roku literaturę kompletnie pominięto podczas odbywającego się co-rocennie międzynarodowego festiwalu sztuki i kultury. Malta jak dotąd nie ma żadnej oficjalnej polityki kulturalnej, choć latem 2009 roku Minister Edukacji, Wychowania i Kultury Dolores Cristina obiecywała w „nadchodzących tygodniach” poddanie pod konsultacje projektu strategii polityki kulturalnej. Wcześniejsze rządy ciągle deklarowały plany utworzenia programu wspierania przekładów, jednak nigdy ich nie wprowadziły w czyn. W kolejnym wspólnym wystąpieniu ww. minister ds. edukacji, oraz Ministra Finansów Tonia Fenecha z 8 sierpnia 2009 roku zapowiedziano utworzenie maltańskiego funduszu kulturalnego wspieranego przez rząd kwotą 330 000 euro i przeznaczonego na dofinansowywanie różnych projektów, ale nie wspomniano w tym kontekście ani literatury, ani przekładów.

Maltańscy pisarze pracują w tych naprawdę ponurych warunkach i uznają za oczywistość, że nie mają żadnego wsparcia ze strony publicznej. Choć niektórzy może argumentują, że tej sytuacji winny jest brak środków finansowych, to trzeba by chyba dokładnie przemyśleć, co właściwie znaczy członkostwo w Unii Europejskiej.

Jeśli wyspiarska mentalność starszych pisarzy, o której wspomniałem na początku, będzie nadal rządziła umysłami, a maltańska literatura – zwłaszcza młodszej generacji – nadal będzie obserwowana nieufnie, to i w przyszłości nic nie wyjdzie z propagowania naszej literatury w innych krajach. Najtrudniejsza do pokonania przeszkoda w ukazaniu widocznej roli Malty na

literackiej scenie Europy to według mnie fakt, że nie docenia się roli przekładów literackich.

Matka Europa pozostaje gdzieś na zewnątrz: tak blisko, a przecież tak daleko, tak bardzo jest częścią nas, a jednak jest tak obca.

**Immanuel Mifsud** (ur. 1967 na Malcie) publikuje poezję, prozę, pisze książki dla dzieci. Wiersze zaczął pisać wieku 16 lat. Założył też wówczas grupę literacką Versati. Jego zbiór opowiadań *Strange Stories* (2002) zdobył państwową nagrodę literacką. Ostatnio ukazały się jego książki: *km* (2005), *Confidential Reports* (2005), *Happy Weekend* (2006), *Poland Pictures* (2007), *Stories Which Should Not Have Been Written* (2008).



abcdefghijklmnopqrstvwxyz

ABCDEFGHIJKLMNopqrstuvwxyz

1234567890

**Wydawca** polskiej wersji:

Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej  
00-108 Warszawa, ul. Zielna 37  
www.fwpm.org.pl, www.sdpz.org  
Redakcja polska: Ewa Baran  
Z języka niemieckiego na polski przełożyła: Agna Onysymow

Wydawca: Institut für Auslandsbeziehungen (Instytut Stosunków z Zagranicą) i Fundacja Roberta Boscha we współpracy z Fundacją Współpracy Polsko-Niemieckiej, British Council, Szwajcarską Fundacją Kultury Pro Helvetia i Fundacją Calouste Gulbenkiana.

Redakcja: Sebastian Körber, Jenni Roth  
Współpraca: Claudia Judt, Kornelia Serwotka  
Projekt: Eberhard Wolf

Adres: Charlottenplatz 17, 70173 Stuttgart  
Druk: Offizin Andersen Nexö Leipzig  
Tłumaczenie: William Billows, Andreas Bredenfeld, Tobias Eisermann, Annalena Heber, Halner Kober, Burkhard Kroeber, Orsolya Kurucz, Agna Onysymow, Ulrike Plath, Gregor Runge, Claudia Sinnig, Annalisa Viviani, Angelika Welt.

Artykuły odzwierciedlają osobiste poglądy autorów.  
Zdjęcia: s.10 Ekko von Schwichow, str.18 Daniel Thorpe, str.64 Brigitte Friedrich, str.76 Jana Chiellino, str.110 Root Leeb, str.118 Daniel Biskup, str. 126 Basso Canarsa, str.154 Jerry Bauer.

Ścieżka fotograficzna: Corbis (strony 8/9, 24/25, 54/55, 70/71, 90/91, 132/133, 184/185), buchcover.com (Carsten Koall str.108/109, Rudi Meisel str. 146/147)



ISBN 978-3-921970-95-9

# RAPORT O KULTURZE

**Postęp Europa**

Europejska literatura jest w świecie znana i lubiana. Jednak w samej Europie wzajemne zainteresowanie jest ograniczone. Ponad 50 procent wszystkich tłumaczeń na inne europejskie języki dokonywanych jest z angielskiego lub amerykańskiego. Trzecie wydanie „Raportu o kulturze” poświęcone jest literaturze w Europie i europejskiemu rynkowi książki. Tacy znani europejscy autorzy, jak m.in. Umberto Eco, Rafik Schami, Tim Parks czy Slavenka Drakulić doprecyzują ze swojego punktu widzenia rolę literatury i kultury w Europie.

ISBN 978-3-921970-95-9

ISSN 1897-7936